

ALICIA GIMENEZ-BARTLETT

ŚMIERTELNY TALK-SHOW

(Przełożył: Filip Łobodziński)

1

Melancholia dopadła mnie z samego rana. Od paru godzin po niebie pełzały obrzmiałe, czarne chmurzyska. Włosy aż mi się lepily od wilgoci. Ni stąd, ni zowąd ogarnęła mnie niewesoła i dojmująca świadomość wrażenia, jakie niewątpliwie muszę wywierać na innych: oto czterdziestoletnia kobieta, która niczego nie pamięta z poprzedniego dnia pracy, a w perspektywie ma kolejny. Westchnęłam. Czemu w takich chwilach się zamartwiam, jak mnie postrzegają obce osoby? Zazwyczaj przecież nie rozmyślam nad tą sprawą - nie dość, że nudne, to jeszcze może doprowadzić do obłądu. Ostatecznie wszyscy składamy się po części z rzeczywistości i z tego, czym chcielibyśmy być. Jesteśmy... zbiorowiskiem stanów ducha i stanów zdrowia, stopem genetyki i biografii, wrażliwości emocjonalnej i zwykłego pokarmu. Nie da się porównać Szweda, rozkoszującego się stołem szwedzkim, z mieszkańcem Walencji, który już ma potąd paelli. Inaczej spogląda kobieta z przeszłością, inaczej dopiero co wyklute dziewczątko. Charakter hipotetycznej córki Mae West musiałby zdecydowanie różnić się od charakteru (tym bardziej hipotetycznej) córki Matki Teresy z Kalkuty.

Temat moich rozważań wewnętrznych coraz bardziej mnie irytował. Skoro już atak melancholii - być może czysto meteorologicznej - sprawił, że zaczęłam filozofować, czemuż to nie znajdę sobie jakiegoś bardziej intelektualnego przedmiotu medytacji? Zawsze w niejaką dumę wprawiał mnie fakt, że nie zaliczam się do ostatnich głupków, że potrafię zadumać się nad losem ludzkości, a tu naraz zatruwają mi życie takie przyziemne kwestie. Jednakże owego poranka jakakolwiek refleksja o wyższym rejestrze była skazana na fiasko. Po zwojach mózgowych tłukło mi się niezmordowanie jak zwariowany meteor jedno zmartwienie: przygnębiające przekonanie, jakiego na mój temat mogliby nabrać bliźni.

Dopiero po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że to sygnał ostrzegawczy. Wizja była na tyle klarowna, że aż wzięła mnie ochota, by rozgłosić wszem wobec: intuicyjnie spodziewałam się, że stanie się to, co się stało. Na próżno jednak my, kobiety, przypisujemy sobie rolę Kasandry. Ludzie tak przywykli do naszych ponurych prorocत्व, wypowiedzianych z dużym wyprzedzeniem, że czują się znużeni na sam ich dźwięk, a co dopiero, gdy muszą je powiązać z późniejszymi wypadkami. Przyznaję, ciężko jest przewidywać wyłącznie złe rzeczy. Zgoda, przeczucia stanowią kiepską podstawę naukową i niewiele uczonych ksiąg przemawia w ich obronie, ale empirycznie są nie do obalenia. I nie potrafię znaleźć innego wytłumaczenia dla faktu, że mój melancholijny poranek miał konsekwencje w postaci sprawy mocno nietypowej. Sprawy, która rozgrywała się wokół wizerunku, wyglądu, oddziaływania na otoczenie i publicznego postrzegania pewnej postaci. Sprawy morderstwa, która wznieciła większy zamęt niż nagły najazd mongolski na pogrążone we śnie miasto.

Garzon wyrwał mnie z rozmyślań bez specjalnego pardonu. Wszedł do gabinetu, a widząc, że gapię się przez okno, wydał z siebie mocno niezrozumiały pomruk. Ostatnio nie pracowaliśmy razem, ale zawsze udawało mu się sforsować bramy mojej twierdzy, by zajrzeć do archiwum. Dzięki temu zdarzały się okazje do krótkich, niezobowiązujących pogawędek, a czasem nawet można było wypić razem kawę. Wspomniałam, że ów dzionek wstał mętny i nieprzyjemny, wylewając na ludzi pokłady złego humoru. Widząc, że mojemu koledze również udzielił się fatalny nastrój, postanowiłam przypuścić uprzejmy kontratak.

- Jak się masz, Fermin?
- Potwornie - wymamrotał. - Łeb mnie boli.
- Wziąłeś jakiś proszek?
- Tak - rzucił szorstko.
- I...?

- Skoro mówię, że mnie boli, to chyba jasne, że nie pomogło, nie?

Chmury to była pestka przy jego burzliwym humorze. Zmęczona okazywaniem nieuzasadnionej uprzejmości, rąbnęłam:

- A co powiesz na trepanację czaszki, a nuż to ci pomoże?

Zatrzasnął szufladę, w której właśnie grzebał, i odwrócił się do mnie.

- Ale dowcipniś z pani, pani inspektor. To chyba w ogóle najlepszy kawał, jaki zdarzyło się pani powiedzieć, odkąd się znamy. Nie wiem tylko, czy zdaje sobie pani sprawę, że nie ma specjalnie powodów do śmiechu.

- Czyżby? A to czemu?

- A to temu, że właśnie dostaliśmy sprawę z desantu.

- Co?

- To, co pani słyszy. Za godzinę komisarz oczekuje nas u siebie. Tyle że plotki rozchodzą się szybciej niż smród po gaciach, więc już wiem, co nam przypadło.

- Sprawa z desantu.

- Otóż to.

- A skąd ten desant?

- Z rąk inspektora Molinera i jego adiutanta Rodrigueza.

Aż zagwizdałam. Moliner i Rodriguez słynęli z tego, że zajmują się przypadkami najwyższego stopnia trudności, wymagającymi sporych umiejętności dyplomatycznych i jeszcze większej ostrożności. A mówiąc wprost: przestępstwami, które miały oddźwięk publiczny i mogły wywołać burzę prasową.

- A czemu ją na nas spuścili? Czy plotkologia stosowana potrafi na to odpowiedzieć?

- Bo obarczono ich inną sprawą. Taką, której zdaje się przyznano naprawdę klauzulę tajności.

- To wystarczający powód, by plotki przyniosły trochę więcej informacji.

- Żeby pani wiedziała. Podobno zamordowano jakąś elegancką pannę, a wszystko wskazuje na to, że była to kochanka jakiejś ważnej szczy.

- O kurwa!

- Sama pani więc rozumie, że przekazano ten przypadek Molinerowi i Rodriguezowi, a ten, którym się zajmowali, przypadł pani i mnie.

- Równie dobrze mogli rozwiązać obydwu, to największe asy. Co to za sprawa?

- Nie wiem.

- Wspaniale! Nie masz pojęcia o jedynej rzeczy, jaką pewnie miałeś prawo wiedzieć.

- Plotki nigdy nie dotyczą tego, czego się można dowiedzieć w prosty sposób.

- Od kiedy ją prowadzili?

- Od dwóch dni, nie dłużej.

- No to nie rozumiem, dlaczego ten spadek tak ci nie na rękę. Zdołamy go poprowadzić po swojemu.

- Zgoda, ale wie pani, jak nie lubię przejmować spraw po kimś, kto je rozpoczął.

- To się nazywa syndrom dziewictwa, typowy dla ludzi obarczonych uprzedzeniami, czyli, dajmy na to... dla staroświeckich mężczyzn.

Usiłowałam doprowadzić Garzona do pasji, ale w głębi duszy podzielałam jego obawy. Nieuczestniczenie w czynnościach wstępnych często wiele komplikuje. Może to kwestia przewrażliwienia, ale jeżeli śledztwo rozpoczęto wedle pewnych założeń, sporo wysiłku kosztowała weryfikacja, czy są to założenia optymalne. A już powrót do punktu zero i rozpoczęcie pracy z nowym spojrzeniem - to trudność najwyższego stopnia, niemal nie do pokonania. Ktoś mógłby zaproponować, twierdząc, że policjant to nie jest zawód twórczy i że najprawdopodobniej istnieje tylko jedna droga postępowania, wytyczona przez dowody. To by jednak oznaczało, że wszyscy detektywi są identyczni i że w naszym postępowaniu nie znajdziesz ani śladu osobowości. Czy mogłam sobie pozwolić na tak pozbawiającą motywacji refleksję na samym początku śledztwa, w dniu tak ciężkim od melancholii, a zwłaszcza z włosami polepionymi od wilgoci? Mowy nie ma. W drodze do gabinetu Coronasa wmawiałam sobie, że pod tym nowym dochodzeniem złożymy z Garzonem podpisy na miarę artystów, znaki firmowe albo chociaż proste symbole rzemieślnicze. I nie myliłam się. Szczerze mówiąc, wypaliliśmy oboje swoje inicjały pod sprawą, której zawdzięczamy może nie tyle chwałę, ile sławę w środowisku. I to znacznie większą, niżbyśmy sobie życzyli.

- Wiecie, kto to jest skurwysyn? - zapytał inspektor Coronas w ramach prezentacji zagadnienia.

W tym samym momencie, gdy Garzon odpowiadał bez wahania: „Tak, oczywiście”, ja wdałam się w niepotrzebną przemowę.

- No, nie wiem. W sumie to dziwne, że najgorsze obelgi skierowane przeciwko mężczyznom trafiają rykoszetem także w kobiety. Bo niech mi pan wytłumaczy, panie komisarzu: jeśli jakiś facet jest złośliwcem albo sukinsynem, dlaczego trzeba też obrażać jego matkę?

Coronas uniósł rękę, chcąc powstrzymać moje dialektyczne zapędy.

- Petra, nie wyciągaj słów z kontekstu. To po prostu takie określenie. Wiesz, kto to jest skurwysyn?

- Tak.

- O to chodzi. Otóż przypadło wam w udziale śledztwo w sprawie zabójstwa pewnego skurwysyna. Znalaziono go dwa dni temu we własnym mieszkaniu, zabitego z pistoletu. Jak wynika z oględzin, po wszystkim poderżnięto mu gardło. Przypadek bezwzględnie okrucieństwa.

- Tak umierają skurwysyny - zauważył sentencjonalnie podinspektor.

I znowu - choć tym razem powstrzymałam się od uwag - nie mogłam się zgodzić z przedmówcą. Powszechnie znany jest fakt, że skurwysyny wcale nie zawsze umierają tak, jak na to zasłużyły. Zauważyłam wręcz, że prawdziwe, rasowe skurwysyny wykazują niebezpieczną tendencję do uchodzenia z życiem z najgorszych oparów, a nawet do długowieczności.

- Załatwili go o północy. Weszli do domu, stosując stary numer z fałszywym roznosicielem pizzy. Czyściutka robota, żadnych niepotrzebnych ruchów. Nieznaczące dowody walki, bo facet się bronił, przewrócone lampa i szklanka. Poza tym niewiele. Najmniejszych śladów. Nie pojawiły się na razie żadne tropy. Jedno mało przekonujące zeznanie. Sąsiadka widziała jakiegoś dobrze ubranego gościa, który oddalał się biegiem. Nie zdołałaby go zidentyfikować, bo mieszka na trzecim piętrze i miała słabą widoczność. Sprawa dla ludzi kompetentnych, szanowni państwo, w dodatku doświadczonych i z wyobraźnią.

- Jak na przykład Moliner i Rodriguez - rzucił zjadliwie Garzon.

- Tamci mają już co robić - odparł niewzruszony komisarz. - Ale jeżeli ta historia nie licuje z waszym statusem, mogę wam zawsze dorzucić jakąś niewyjaśnioną bójkę pijacką.

- Nie, panie komisarzu, pan mnie źle zrozumiał. Chodziło mi o to, że mam osobiście nadzieję dorównać tak znakomitym kolegom. I spodziewam się, że inspektor Delicado czuje to samo.

- Cokolwiek macie do zarzucenia swoim poprzednikom, wołałbym, żebyście powiedzieli im to wprost. Oczekują was właśnie w pokoju obok, mają wam przekazać narzędzia śmierci.

Średnia metafora, gdy mowa o zbrodni, choć przytyk Garzona też nie należał do najlepszych. Tym bardziej że nasi koledzy Moliner i Rodriguez nie chępli się szczególnie swoją gwiazdorską pozycją na firmamencie komisariatu. Jeżeli przypisywali już sobie jakąś wagę, to tylko dlatego, że rzeczywiście byli detektywami z krwi i kości. Czy mam przez to na myśli, że Garzon i ja jesteśmy gliniarzami do bicia? Nie, ale kusi mnie, żeby traktować nas samych jako normalnych ludzi, którzy w godzinach pracy wykonują swój zawód i basta. Tymczasem w Molinera i Rodrigueza w dniu Stworzenia z pewnością tchnięto policyjnego ducha. Czy ktoś inny potrafił tak nosić marynarki, na wpół byle jak, na wpół bojowo? Czy ktokolwiek równie stylowo badał podejrzanych, wymuszając szacunek samą swoją obecnością? Co zaś się tyczy słownika i żargonu, tysiące razy zastanawiałam się, jak to jest, że posługuję się tym samym językiem co oni, a jednak w ich ustach brzmi on jak w doskonałej interpretacji Humphreya Bogarta. Choćbym wkładała w wypowiedzi maksimum zachwalstwa, nigdy nie uzyskam takiego efektu. Ale tak już jest i gdyby trzeba było przechować w muzeum w Sevres platynowo-irydowy wzorec funkcjonariusza policji, trzeba by tam umieścić właśnie Molinera i Rodrigueza, gdyby zaś Noe musiał zabrać na arkę oprócz zwierząt także przedstawicieli ludzkich profesji, Molinera i Rodrigueza ocaliliby z potopu w przedziale dla policji.

- Czyli że skurwysyn, tak wam Coronas nagadał? - Inspektor Moliner zaśmiał się w ramach zagajenia. - W sumie chyba niewiele się myli. Jak sądzicie?

- O co ci chodzi? - spytałam, nie rozumiejąc ni w ząb tego, co mówi.

- No, chyba znacie denata, nie możecie go nie znać! Przecież to Ernesto Valdes.

- Nie! - krzyknął Garzon, jakby dostał nagle cios w samo serce.

- Tak! - Rodriguez nie posiadał się z radości, że pierwszy sprzedał nam tę rewelację.

- I jak to się dzieje, że media o tym nie huczą?

- Fermin, przecież mamy sposoby, żeby sprawę nieco zbunkrować. Ale prędzej czy później

bomba wybuchnie. Współczuję wam, bo...

Choć to nieuprzejme, weszłam mu gwałtownie w słowo.

- Chwileczkę, chwileczkę, czy to znaczy, że niejaki Ernesto Valdes jest znany wam trzem?

Wlepili we mnie oczy, jakby się zastanawiali, skąd na tym zebraniu wzięła się jakaś kosmitka.

Moliner przejął inicjatywę.

- No wiesz, Petra, Ernesto Valdes, dziennikarz number one prasy plotkarskiej.

- Otóż nie, nie wiem - odrzekłam ze spokojem ducha, jaki daje znajomość dzieł filozofa transcendencji.

Rodriguezowi zebrało się na żarciki.

- A ogląda pani czasem telewizję, czyta pani gazety? Może chociaż zdarzyło się pani przejrzeć jakieś piśmko u fryzjera?

- Ona czyta tylko poważne książki i słucha Chopina. - Garzon przyłączył się do fali szyderstw.

Moliner przerwał tę zabawę naszych podwładnych, zapewne w trosce o moją cześć i honor.

- Dziwi nas, że o nim nie słyszałaś, bo Ernesto Valdes jest znany nie tylko dzięki prasie plotkarskiej. To jeden z tych agresywnych, bezwzględnych dziennikarzy, których programy i artykuły często komentują inne media. Jego specjalność to skandale: tajne śluby, rozwody, romanse sławnych ludzi, czujesz sprawę?

- To ten koleś, co właściwie obraża swoich rozmówców?

- We własnej osobie. Pracuje w telewizji i w paru pismach.

- Z czego go zastrzelono? - spytał podinspektor.

- Półautomat dziewiątka. Precyzyjny strzał w skroń, co raczej świadczy o profesjonalście.

- Płatny zabójca jeszcze by mu podrzynał gardło?

- Bywają zadania złożone.

- Ale najpierw wystrzelił?

- Tak wykazuje sekcja.

- Czyli ryzykował, pozostając jeszcze chwilę i dobijając go białą bronią.

- Jeśli mu zapłacono, żeby dokonał na nim zemsty...

- To wasza hipoteza?

- Szczerze mówiąc, nie postawiliśmy jeszcze hipotezy, chociaż klub poszkodowanych przez tego typa jest już dość liczny. Nie wykluczamy zemsty.

- Mogę sobie wyobrazić.

- Żebyś się nie zdziwiła. Robił reportaże bez zezwolenia. Publikował kompromitujące zdjęcia.

Babrał się w najintymniejszych sprawkach. Był facetem... jak to nazwać? Dosyć niemoralnym nawet jak na tę profesję.

- Ja wolę określenie, którym posłużył się komisarz - wtrącił Rodriguez.

- Ale żadna zbrodnia nie może być usprawiedliwiona - zakończył Moliner z ironicznym uśmiechem.

- Jak świadek opisała tego, co podobno uciekał?

- Wysoki, dobrze ubrany, atletycznej budowy, poruszał się pewnie. Nie potrafiła powiedzieć nic bardziej konkretnego, dlatego musimy być ostrożni i traktować to zeznanie bardzo wstrzeźliwie.

- W jakim punkcie śledztwa jesteście?

- W martwym. Zebraliśmy wyniki z sekcji zwłok, z badania balistycznego, no i relację tego ni-by-świadka. Właściwie to dopiero punkt wyjścia.

- Środowisko denata?

- Żył sam. Rozwiedziony od siedmiu lat. Ma siedemnastoletnią córkę, która mieszka z matką. Nie wiadomo nic o jakichś głębszych przyjaźniach ani nawet o ulotnych. Całkowicie poświęcał się pracy.

- Przesłuchaliście już byłą żonę?

- Jeszcze nie.

- Podejrzewasz kogoś raczej z kręgu zawodowego?

- Obawiam się, że tak, co znacznie komplikuje sytuację. Czyli że witamy w świecie cekinów i przepychu! Petra, masz jakiś strój wieczorowy?

- Zawsze śpię w piżamie.

- A u ciebie, Fermin, znajdzie się w szafie jakiś smoking?

- Nie, rzuciłem palenie dawno temu.

Zaśmiała się serdecznie. Miała wrażenie, że przekazując nam trupa z całym dobrodziejstwem inwentarza, tamci dwaj zrzucają z siebie jakieś brzemienie. Nie potrafiłam jednak orzec, czy to korzystny, czy też niekorzystny spadek. Jeszcze było za wcześnie, jeszcze nie pojawiły się żadne kolejne elementy: nowi świadkowie, niespodziewane donosy... Trzeciego dnia po morderstwie sprawa jest wciąż białą kartą, na której można swobodnie pisać. Zresztą Molinerowi i Rodriguezowi również wcale nie zazdrościłam. Ich ofiara była martwa już od tygodnia, ale kiedy pojawiły się dowody, że to kochanka jakiejś grubej ryby, odebrano sprawę innej parze i przekazano ją Molinerowi. Ot, kolejny desant.

- I co pani sądzi? - zagadnął mnie Garzon, kiedy zostaliśmy sami.

- Nic szczególnego. Sądzę, że trzeba się wziąć do roboty.

- Jakaś wizyta grzecznościowa na początek?

- Choćby i nieproszona.

Rzadko zdarzało mi się widywać Valdesa w telewizji, ale kojarzył mi się z typem dość nieokrzesanym. Jego profil duchowy był tak sugestywny, że z wielkim trudem zdołałabym obiektywnie oddzielić powierzchowność od wnętrza. Mętnie rysował mi się w pamięci: oczy łasiczki, nos lekko haczykowany, nieszczególnie gęsty wąsik i usta starej wieśniaczki, ustawicznie toczącej pianę. Bez wątplenia typ, na którego widok robiło się niedobrze. Może dlatego tak pasowała mu ta śmierć. Dodała mu splendoru. Teraz, gdy wylaniał się z celofanowego pokrowca niczym poczwarka z kokonu, sprawiał nawet dość ludzkie wrażenie. Dobrze było widać otwór po kuli w lewej skroni, a na szyi szramę po rozcięciu, którą lekarze zdążyli już elegancko zszyć. Jego martwa twarz nie wyrażała niczego.

- Wreszcie zamknął gębę - rzucił sentencjonalnie Fermin.

- In saecula saeculorum.

- Pytanie: czy załatwili go, żeby zamilkł?

- Można dorzucić inne pytanie: czy może załatwili go, bo za dużo gadał?

- Niewątpliwie precyzja strzału pozwala sądzić, że mamy do czynienia ze szczególną perswazją: skoro nie żyje, to nie będzie więcej gadał. Ale brutalne ciach po gardle sugeruje zemstę.

- To dwa możliwe tropy, Fermin. Chociaż nie jestem skłonna wykluczyć porachunków prywatnych.

- Tego nigdy nie można wykluczyć.

- Czy myślisz, że facet miałby coś przeciwko temu, żebyśmy zbadali jego dom?

- Podobno nic specjalnego tam nie zostało. Na biurku leżało trochę papierów, Rodriguez zabrał je na komisariat, a ten drań nie używał komputera.

- Nieważne. Chciałabym zobaczyć, jak mieszkał. Masz przy sobie raport Molinera i Rodrigueza?

- Proszę.

- No to porównajmy go ze stanem faktycznym.

Możliwe, że operuję bardziej banalnymi kategoriami myślowymi, niż byłabym się w stanie przyznać, lecz, szczerze mówiąc, zupełnie inaczej wyobrażałam sobie opieczętowane lokum Valdesa. Nie wiem, jak to dokładnie wyrazić, ale obraz, jaki sobie wówczas wyrobiłam, oscylował między wnętrzem w stylu amerykańskich powieści kryminalnych a mieszkankiem typowego sknery z sąsiedztwa. Poważny błąd. Nora tego szakała medialnego była urządzona jak dla nowożeńców. Wzorzyste zasłony pod kolor sofy, ściany na kremowo, dyskretne dywany, ogromne kokardy na tapicerce krzesel, a zewsząd zwisała masa jedwabnych frędzelków. Jeśli powiedzenie „pokaż mi, jak mieszkasz, a powiem ci, kim jesteś” jest choć odrobinę wiarygodne, to coś tu nie pasowało. Albo nie był to dom Ernesta Valdesa, albo nasz ptaszek co innego demonstrował na zewnątrz, a co innego skrywał pod podszewką.

- Co myślisz o tym wystroju?

Garzon wzruszył ramionami i bąknął:

- Pretensjonalne, nie?

- Aż za bardzo, żeby można było uwierzyć. Poza tym to wszystko jest nowiutkie. Jakby dopiero co kupione.

- To ma znaczenie?

- Może świadczyć o zmianach w życiu Valdesa.

Mój kolega spojrział na mnie z powątpiewaniem.

Postanowiłam go przebadać.

- Fermin, w jakiej sytuacji zmieniałbyś u siebie zasłonki?

- Nigdy ich nie zmieniam. Ciągłe wiszą te, które mi pani doradziła, jak się wprowadzałem.

- W porządku, ale abstrahując od tego konkretnego przypadku, to kiedy byś je zmienił?

Zamyślił się, jakby to proste pytanie było gorsze od zadania arytmetycznego.

- No więc... - wymamrotał wreszcie - no więc bym je zmienił, gdyby te stare zaatakowały mole.

- Jesteś niemożliwy!

- Dlaczego?

- Dlatego! Bo już nie ma takich moli, które atakują jak szwadrony śmierci, a poza tym nie takiej odpowiedzi oczekiwałam! Chociaż i taka nie jest najgorsza. Zmieniłbyś zasłonki tylko w nagłym przypadku, jeśli dobrze rozumiem?

- Chyba tak.

- A cały wystrój mieszkania zmieniałbyś tylko w razie trzęsienia ziemi.

- Nie wiem, do czego pani zmierza.

- Do tego, że musiał być jakiś bardzo istotny powód, żeby rozwodnik pogrążony po uszy w absorbującej robocie postanowił tak upiększyć sobie mieszkanko.

- Kobieta?

- Na przykład kobieta, z którą zamierzał zamieszkać. No i co ty na taką hipotezę?

- Że sam bym jej nie postawił nawet za tysiąc lat.

- I pewnie uważasz, że nie warto jej stawiać przez następne tysiąc.

- Tak z ręką na sercu, pani inspektor, upierać się, że mamy trop, bo koleś postanowił sobie zmienić meble, to co najmniej... lekkomyślność.

- Jasne! Ale zapominasz, że lekkomyślność to sedno rzeczywistości, a czasem nawet jej siła sprawcza. Rozumiesz?

- Skoro okazuje się, że mole są gatunkiem na wymarciu, to ja już nic nie myślę.

- A wiesz, co w Peru oznacza słowo „mól”¹?

- Litości, pani inspektor! Możemy wrócić do naszej sprawy?

W drodze powrotnej do komisariatu bawiłam się jeszcze w molierowską uczoną białogłową, głównie po to, żeby podreźczyć Garzona. Od czasu do czasu lubiłam się z nim podrażnić, inaczej doszlibyśmy do takiego stopnia wzajemnego zrozumienia, że nigdy byśmy się nie kłócili i byłoby nudno. Zresztą sam na to przystał, co mi bardzo odpowiadało. Czy istnieje dla kobiety większy sukces towarzyski niż mężczyzna - wszystko jedno, ojciec, kochanek, mąż czy kolega - który znosi jej uszczypliwości, i to nawet z niejakim zadowoleniem?

Papiery Valdesa zabrane z jego domu leżały już na moim biurku jako część dosyć pękatego dossier. Uważnie je zbadałam i przekonałam się, że stanowią klasyczny zestaw dokumentów obecnych w przeciętnym gospodarstwie: faktury, kwity z ubezpieczalni, rachunki i wyciągi z konta, deklaracje podatkowe z lat ubiegłych, umowy kredytowe i inne... Nic nietypowego czy istotnego. Moliner i Rodriguez zdążyli już przebadać wyczerpująco jego billing telefoniczny. Wszystko w normie: kontakt z dwoma miejscami pracy (telewizją i periodykami), zamówienia posiłków z dostawą do domu, pojedyncze rozmowy z byłą żoną... Nie pojawiło się nic, co by nas zaalarmowało. Z kwitów bankowych też nie zdołaliśmy wywnioskować niczego podejrzanego. Rzetelne i regularne. Jak wynikało z odręcznych notatek, sporządzonych dłonią Molinera, rzeczywiste wpływy na konto Valdesa zgadzały się z sumami, jakie zarabiał. Przykładowy obywatel? Tak jest w przypadku większości ludzi, nie należy więc wyciągać pochopnych wniosków.

Idąc śladem mego lekkomyślnego tropu śledczego, szperałam w tych papierach w poszukiwaniu jakichś rachunków ze sklepów meblarskich czy ze sprzętem gospodarstwa domowego. Znalazłam, owszem, choć niezupełnie to, czego szukałam. Był to rachunek wystawiony przez dekoratora: „Juan Mallofre. Grafik i projektant. Całościowy wystrój wnętrz”. Valdes miał mu zapłacić trzy miliony. Facet miał pracownię w dzielnicy Bonanova. Poprosiłam wciąż sceptycznie nastawionego

¹ Polilla (dosł. mól) w Peru jest potocznym określeniem prostytutki (wszystkie przypisy tłumacza)

Garzona, żeby sprawdził, czy konto Valdesa było obciążone jakiś miesiąc wcześniej właśnie taką sumą. Kiedy zajął się moim poleceniem, otworzyła kopertę, której zawartość została przez naszych poprzedników skatalogowana jako ważny dowód rzeczowy. Był to terminarz Valdesa. Jednak fakt, że nikt go wcześniej nie zabrał z mieszkania, a raczej, że morderca go stamtąd nie zabrał, nie zapowiadał, byśmy mogli znaleźć tam motyw zbrodni. Strony terminarza wypełnione były licznymi nazwiskami i numerami telefonów, a wszystko maczkiem.

Wspomniałam o tym Garzonowi, kiedy się pojawił, a ten natychmiast wyciągnął wniosek.

- Czyli że nie zabił go ktoś, kto chciał zataić jakąś informację. Koncepcja z zemstą nabiera mocy. Chyba że morderca wiedział świetnie, że w terminarzu nie ma nic, co by go zdradzało.

- A co może być interesującego w terminarzu faceta, który nawet nie ma komputera, żeby zapewnić sobie dyskrecję we wszystkich swoich poczynaniach?

- Niech pani pamięta, że to mógł być płatny zabójca, a to często są matoly. Miał zlecenie zabić, więc nie zwrócił już uwagi na nic więcej. A jeśli ten terminarz jest pełen kluczowych informacji?

- Wątpię, ale powiedz mi jedno: skąd szanowny pan podinspektor ma taką wiedzę o zawodowych mordercach?

Zażartował bez przekonania:

- No, nie jest to moja specjalizacja. Wie pani co, pani inspektor? Tam się coś nie zgadza.

- Co?

- Valdes nie brał z banku trzech milionów w ciągu ostatniego miesiąca, nie podpisał na tę sumę ani jednego czeku, czy to na nazwisko Mallofre, czy na okaziciela.

- A to ciekawe, prawda?

- Może zamówił na krechę.

- Sprawdzimy. A na razie idziemy.

- Dokąd?

- Porozmawiać z byłą żoną.

- Jak pani myśli, jest przygnębiona tym morderstwem?

- A ty byś był?

- Chyba nie. Gdybym był eks-żoną Valdesa, napiłbym się szampana.

- Nie bądź taki pewien. Widziałeś, ile dostawała co miesiąc alimentów?

- Sporo. Ożeż, kurwa! Jakim cudem facet zgarniał tyle kasy, grzebiąc się w bagnie?

- Przecież tam właśnie leżą grudki złota, nie?

- A powinny być wszędzie, przynajmniej w komisariacie! Potrafiłaby pani wybulić trzy bańki lekką rączką, żeby sobie sprawić nowe umeblowanie do salonu?

- Nie, nawet gdyby mnie zaatakowała cała armia dzikich, rozwścieczonych moli!

Popatrzył na mnie spođe łba, ale kiedy wybuchnęłam śmiechem, zawtórował.

Eks-żona Valdesa mieszkała pod miastem w Sant Cugat, w luksusowym domu z ogrodem. Od razu przy wejściu zaczęły nam oblizywać dłonie dwa labradory. Gospodyni była wysoka, atrakcyjna, ale na jej twarzy malował się grymas cierpienia bądź złego humoru, odcisnięty tam już chyba na zawsze. Chociaż z drugiej strony nie była nieprzyjemna. Może spodziewała się naszych odwiedzin jak przykrości, której nie da się uniknąć. Spoglądała na nas z absolutną obojętnością, bez cienia zainteresowania w oczach.

Salon urządzony był z konwencjonalnym przepychem. Zaserwowała nam kawę, po czym usiadła, gotowa raczej słuchać niż mówić. Zdążyliśmy już wcześniej potwierdzić, że spadkobierczynią majątku Valdesa-nawiasem mówiąc, niezbyt wielkiego - była córka ich obojga, Raquel. Dziewczyźnie nie przysługiwało żadne odszkodowanie z tytułu ubezpieczenia na życie, tu mogliśmy więc oszczędzić sobie pytań. Eks-żona właściwie nie wyglądała na kogoś, kto mógłby bezpośrednio skorzystać finansowo na śmierci Ernesta. Może go nienawidziła, może po rozwodzie ich stosunki stały się w jakiś sposób nie do wytrzymania, może Valdes ją nękał? Na moją salwę pytań odpowiedziała z uśmiechem głębokiej pogardy.

- Nie, Ernesto wcale mnie nie nękał, zachowywał się przyzwoicie.

Zapaliła papierosa, tymczasem my z Garzonem wyczekiwaliśmy, aż powie coś jeszcze. Ona jednak, dotarłszy do kropki, ograniczyła się znów do uśmiechu - mechanicznego, zawodowego, bez wyrazu. Przyszło mi do głowy, że jeśli pracuje, część swoich obowiązków wykonuje za pomocą ta-

kiego uśmiechu.

- Pani Marto, czy pani pracuje?

- Tak, jestem PR w firmie jubilerskiej.

- Mimo to były mąż nigdy nie przestał wysyłać pani alimentów.

- Robił to dla córki. Pieniądze przychodziły do banku na moje nazwisko, bo początkowo dziewczyna była niepełnoletnia. Potem też tego nie zmieniłam, zapomniałam chyba, ale to ona dostawała pieniądze.

I znów zapadła cisza, która najwyraźniej jej nie przeszkadzała.

- Czy przez te wszystkie lata miała pani jakieś problemy z panem Valdesem?

- Nie, mówiłam już, że zachowywał się przyzwoicie.

- Co pani przez to rozumie?

- Płacił, dzwonił co jakiś czas zapytać o córkę... Nie rozstaliśmy się w gniewie. Wszystko się skończyło bez dramatów. Szczerze mówiąc...

- Co takiego?

- Lepiej pojmuję, czemu za niego wyszłam, niż czemu się z nim rozwiódłam. Mogliśmy jeszcze długo żyć tak, jak żyliśmy.

- A mogę zapytać, o co poszło?

Prychnęła, jakby chcąc zbagatelizować zawczasu słowa, które miała wypowiedzieć.

- No, sama nie wiem, coraz bardziej pochłaniała go robota... poza tym... może państwo uznają to, co powiem, za idiotyzm, ale niewątpliwie przynależeliśmy obydwój do różnych klas społecznych. Mój ojciec był notariuszem, a jego fryzjerem. Z początku się wydaje, że to nie ma znaczenia, ale potem...

Wyobrażałam sobie, co w tym momencie mógł pomyśleć Garzon.

- Ale nie dzieliła państwa wrogość...

- Nie, grzechy młodości należy traktować właśnie tak jak grzechy młodości.

Tu wtrącił się Garzon - tonem równie neutralnym jak ten, którym przemawiała ona.

- Czy była pani na bieżąco informowana o jego codziennym życiu?

Pokręciła głową, aż jej zafalowały poprzetykane pasemkami włosy.

- Wolałam za dużo nie wiedzieć. Widziałam go kilkakrotnie w telewizji.

- A czy może córka wspominała pani, że Ernesto Valdes miał jakieś romanse albo że spotykał się z kimś ostatnimi czasy?

- Nie, nie mam zielonego pojęcia. Ernesto rzadko widywał się z naszą córką. Nie wiem, z kim się spotykał.

- A córka jest w domu?

Pierwszy raz dała wyraźniej odczuć swoją gorycz, a może gniew.

- Nie, nie ma jej. Uznałam, że powinna normalnie chodzić do szkoły, jakby nic się nie stało.

- Będziemy musieli z nią także porozmawiać.

Skrzyżowała i rozkrzyżowała nogi, obleczone w spodnie z czarnego aksamitu. Przez chwilę przyglądałam się jej wysokim, rdzawym butom z pięknej, błyszczącej skóry.

- Spodziewam się. Mocno to przeżywa, w końcu zamordowano jej ojca.

- Nie unikniemy tego.

- Dobrze, proszę przyjść jutro.

Z tą samą niewzruszoną miną odprowadziła nas do drzwi. Pomyślałam, że może zawdzięczała wyraz twarzy zwykłej nudzie. Wrażenie to potęgowała aseptyczna okolica. Kilka młodych kobiet przechadzało się z latoroślami w wózkach, inne wyladowywały zakupy z samochodów. Wyobraziłam sobie ich życie w tej niewątpliwie bogatej sypialni podmiejskiej. Przeciągająca się nieobecność mężów, wszyscy wkoło jednakowi. Długie przedpołudnia, urozmaicane jedynie paroma filiżankami kawy. Wieczory, gdy słońce opada ku horyzontowi, dzieci wracają ze szkoły... telewizja...

- Nie wygląda na kobietę zdolną popełnić zbrodnię w afekcie, no nie? - zauważył Garzon, gdy wsiedliśmy do wozu.

- Jeżeli w ogóle przeżyła kiedyś afekt, to dawno o nim zapomniała.

- Co ona widziała w takim Valdesie?

- Mój drogi Ferminie, z czasem powstają i rany, i zmiany.

- A pani znowu filozofuje. Co pani, do cholery, przez to rozumie?

- Że z pewnością, kiedy się poznali, Valdes był młodym, ale zaprawionym w bojach dzienni-

karzem i wielbił „rewolucję goździków”.

- Pewnie tak, a ona była romantyczną córką notariusza.
- Jakoś tak.
- I z tego wszystkiego została nam tylko córka notariusza.
- No i trup Valdesa.
- A właśnie, sędzia śledczy zezwolił już na pochówek. Odbędzie się dziś po południu.
- Chyba powinniśmy przejść się na cmentarz.
- Po co?
- Nie wiem, powęszyć.

Węszenie podczas pogrzebu Valdesa nie przyniosło specjalnych rezultatów, aczkolwiek udało nam się zgromadzić kilka wskazówek na temat jego osobowości. Na przykład zaobserwowaliśmy, że miał niewielu przyjaciół nawet pośród kolegów z pracy. W uroczystości uczestniczył jego szef, paru reporterów i niewielka liczba krewnych. Przybyły także eks-małżonka i córka - tylko ona zresztą płakała. Był to pod każdym względem nadzwyczaj chłodny pogrzeb, zaczekaliśmy więc na jego zakończenie już poza bramą cmentarza.

- Nie chciałam tak skończyć - napomknęłam.

- A mnie, jak będzie po wszystkim, ceremonia pożegnalna guzik obchodzi - zaproponował podinspektor. - Zechcą mnie spalić? Proszę bardzo! Chcą pogrzebu z mszą? Nie będę się sprzeciwiał... Nawet mogą mnie poszatkować i rzucić lwom w zoo na pożarcie.

- Fermin, jesteś okropny!
- Serio mówię! Jakie to ma znaczenie na tamtym świecie?
- A ostatnia wola, ostatnie potwierdzenie naszej osobowości?
- Do dupy tam z osobowością, jak ktoś nie żyje! A ostatnią wolą i tak nikt się nie przejmuje.
- Może i masz rację.

Eks-żona Valdesa w towarzystwie córki opuszczała cmentarz. Zbliżyłam się do nich na moment.

- Wiem, że teraz to nie najlepsza chwila, ale chciałam wiedzieć, kiedy możemy się umówić z pani córką na spotkanie.

Spojrzała na mnie z odrazą, która nie pozostawiała wątpliwości co do mojego nietaktu.

- Jutro o piątej. Będzie akurat po zajęciach.

Garzona zdumiało, że tak ją osaczyłam.

- Chcę, by miała świadomość, że wciąż będziemy się wokół niej kręcić - wyjaśniłam mu.
- A będziemy?
- Jeszcze nie jestem pewna. W każdym razie przynajmniej teraz wszyscy nas widzieli.
- I po to tu przyszliśmy?
- Powiedzmy, że był to taki ogólny komunikat.
- Uwaga na psy, bo depczą wam po piętach?
- Na przykład.
- Wolałbym deptać po piętach mordercy, choćby zostawiał za sobą ledwie widoczną smugę.
- Kto wie, może właśnie to robisz?

Sklep Juana Mallofre, projektanta i dekoratora, z pewnością nie gościł wielu policjantów. Recepcjonistka nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia naszej obecności. Garzon, chcąc wpuścić nieco światła w ten mętny umysł, uświadomił ją zatem, że jesteśmy z wydziału zabójstw. Dziewczyna postanowiła przede wszystkim zasłonić nas przed wzrokiem przechadzających się po wnętrzu klientów, jakbyśmy byli parą niemodnych stojaków na parasole.

- Proszę tam usiąść - wskazała najgłębszy zakątek sali. - Idę po pana Mallofre.

- Raczej sobie pospacerujemy - odparłam jakby nigdy nic i razem z Garzonem jeliśmy przypartywać się wystawionym w przestronnym wnętrzu meblom.

Podinspektor zwracał uwagę na pokoiki i jadalnie, fałszywe okna z zasłonkami i lampy stojące, mijając je, jak gdyby były przyczajonymi dzikimi bestiami.

- Nie podobają ci się? - zapytałam.

- Nie wiem - odparł niechętnie, obserwując podstawę stołu w kształcie słonia. - Chyba nigdy nie przyzwyczaiałbym się do mieszkania wśród tyłu... przeszkód.

- Ja też nie - wyznałam szczerze.

- Całe szczęście, myślałam, że mnie się nie podobają, bo jestem burakiem!

- Ależ skąd - ściszyłam głos. - To styl niezwykle afektowany i tradycyjny.

- Nowobogacki?

- Raczej wolnomyślicielski, od powolnego myślenia. Recepcjonistka przyglądała się nam uważnie, jakby w obawie, że możemy ukraść któryś z tych mamucich sprzętów.

- Ale prycza! - krzyknął Garzon nieco głośniejszym głosem, niżby należało. Aczkolwiek rzeczywiście prycza była niczego sobie: czwórka zgiętych orientalnych niewolników o wyeksponowanej muskulaturze wspierała kolumny barokowego baldachimu. - Ma pani pojęcie, pani inspektor? Jakbym chciał sprawić sobie taki sprzącznik, musiałbym ścianę wywalić. Jak pani myśli, na co to?

- Nie rozumiem pytania.

- No, bo z tymi facetami w turbanach i zasłonkami to na pewno nie tylko do spania.

- Może pobudza co nieco natchnienie - odparłam złośliwie.

Zza pleców dobiegło nas powitanie:

- Dzień dobry! Jak się państwo miewają?

Mallofre należał do typu handlarzy artystów, którzy każdego klienta traktują jak najserdeczniejszego przyjaciela. Zaprosił nas do swojego gabinetu, demonstrując wręcz podejrzaną naturalność i opanowanie. Czyżby nasza wizyta wzbudziła w nim taki niepokój, że musi go skrywać pod maską nadmiernej uprzejmości?

- Proszę pana, przyszedliśmy do pana w związku ze śmiercią Ernesta Valdesa.

- Czyż to nie przerażające? Dowiedziałem się o tym rano z gazety.

- Pan przeczytał o tym dziś, natomiast do zabójstwa doszło już jakiś czas temu. Wystarczająco dawno, byśmy zdążyli przejrzeć papiery denata. Wynika z nich, że był pańskim klientem, nie myślę się?

- Był bardzo znaną postacią, bardzo popularną.

Jego niezdecydowanie zbiło mnie z tropu.

- Ale był pana klientem, tak czy nie?

- Tak, tak, znałem go, wpadał tu czasem.

Garzon dał mi znak spojrzeniem, że chce przejąć inicjatywę.

- Pani Mallofre, znaleźliśmy w dokumentach Valdesa rachunek wystawiony przez pana pracownię. Na trzy miliony peset. Datowany niedawno, więc chyba się zgadza.

Zauważyłam, że dekorator poci się cały, a powietrze rozsadza mu płuca.

- Naturalnie! Urządzałem mu salon. Jestem bardzo zadowolony z tego zlecenia. Styl prosty, ale uroczy.

- Czy Valdes panu zapłacił?

Z ust wyrwał mu się sztuczny, teatralny śmiech, bardziej podobny do okrzyku przerażenia.

- Czy policja reguluje długi ofiar?

Garzon bezlitośnie ciągnął przesłuchanie.

- Pośród dokumentów bankowych Valdesa nie figuruje żaden czek wystawiony na pańskie nazwisko ani żaden przelew, który zgadzałby się co do daty albo sumy.

Mallofre nagle zmiękł i zwrócił się do mnie, zapominając o swych światowych manierach.

- Pani inspektor, moimi klientami są ludzie wpływowi, o dużych zarobkach, odprowadzający spore sumy do skarbcza publicznego. Ja też zapewniam panią, że mam porządek w deklaracjach podatkowych, płacę wszystko co do grosza. Ale jeśli kiedyś... to znaczy, skoro tak wynika...

Zrozumiałam.

- Nie jesteśmy kontrolerami Ministerstwa Skarbu, ten teren nas nie interesuje.

- Nie chciałbym, żeby przez jakąś głupotę...

- Może pan być spokojny, nie puścimy pary z gęby. Nas interesuje co innego. Valdes zapłacił panu brudnymi pieniędzmi, prawda?

- Nalegał. Mówił, że ma pewne sumy bez podkładki, a ja... W końcu to tylko trzy miliony, nic takiego.

Garzon wyciągnął notes i jał zapisywać. Kiedy zadałam następne pytanie, aż uniósł wzrok ze zdziwienia.

- Ile razy spotkał się pan z Valdesem?

- No... nie umiem powiedzieć, dwa, trzy... Chyba trzy, dwa razy u niego i raz tu przyszedł.

- Był wtedy sam?

Garzon już nie krył zdumienia. Jego uniesione brwi świadczyły, że domaga się wyjaśnień.

Mallofre odparł z lekkim zakłopotaniem:

- Eee... był z kobietą, chyba żoną.

- Jak wyglądała?

Dekorator odprężył się i zaczął się zachowywać tak, jak przystało jego zdaniem na świadka.

- Średniego wzrostu, po trzydziestce, włosy krótkie, szatynka. .. normalna kobieta.

- Dlaczego uznał pan, że to żona?

- Nie wiem, pani inspektor, ona wybierała kolory, meble... Świetnie się znała na wystroju wnętrza! Style, marki, trendy... Aż się zdziwiłem, bo to rzadkość.

- A on odnosił się do niej jak mąż do żony?

- No... szczerze mówiąc, ciągle do niego wydzwaniali na komórkę i raz po raz wychodził z pokoju.

- Zwracał się do niej w jakiś sposób?

- Nie pamiętam. Przecież pan Valdes był żonaty...?

- Żył sam. Rozwiedziony.

To go zaintrygowało.

- W takim razie...

Zlekceważyłam jego nagle zrodzoną ciekawość, wstałam i wyszłam niemal galopem. To najlepszy system: krótkie „dziękuję” i definitywne „do widzenia”.

- Obawiam się, że mamy co zrobić - odezwał się Fermin.

- Co na pierwszy ogień, pieniądze czy miłość?

- Oczywiście pieniądze!

- Mam poprosić o raport o finansach Valdesa?

- I to wyczerpujący.

Inspektor Sanguesa, nasz ekspert do spraw gospodarczych, przyrzekł działać błyskawicznie. Na pierwszy rzut oka łatwiej było stwierdzić, czy Valdes miał konta na swoje nazwisko w innych bankach, trudniej za to wytropić spółki typu krzak, które mógł pozakładać. Zlokalizowanie poczynionych przezeń inwestycji mogło potrwać kilka dni, bez wątpienia najwięcej pracy wymagało dochodzenie w bankach szwajcarskich. Jakkolwiek by było, pełnej informacji mogliśmy się spodziewać nawet po miesiącu. Pomyślałam, że mimo dotychczasowej sprawności w tym miejscu ostatecznie musieliśmy ugrzęznąć. Informacja o finansach była kluczowa i o ile nie pojawi się nagle żadna rewelacja, należało po prostu odczekać, wznowić z dnia na dzień śledztwo i cierpliwie iść do przodu. Iluzja rychłego zakończenia sprawy rozwiązała się w powietrzu. Nie rozumiem, czemu wszyscy policjanci marzą o szybkim tempie pracy, skoro nigdy właściwie nie uda się go osiągnąć. W każdym razie Garzon powtarzał, że nie wolno nam przysypiać i że nawet w pierwszych dniach możemy oboje dokonać znaczącego postępu w śledztwie. Nie śmiałam oponować, czekała nas taka masa czynności dochodzeniowych, że nie zamierzałam wcale pracować na akord. Tyle że odczuwałam zmęczenie. Zapominałam często, że mój partner ma werwę i energię przytłaczającą wszystkich wokół. Garzon starzał się powoli i do tego ładnie. Nie miał skrzywień psychicznych. Kiedy wstawał rano, rzucał się w wir terażniejszości, jak gdyby przeszłość rozwiązała się wraz ze snem, a przyszłość obejmowała najbliższą dobę. Taki charakter to boże błogosławieństwo. Zupełnie inaczej było ze mną. Ja targałam za sobą cały wóz wspomnień, sprzeczności, pomyłek i frustracji. Majdan, który trzeba ciągnąć z całych sił. Potem tych sił brakowało mi na pozostałe sprawy. Nie wspominając już o przyszłości, która jawiła się zawalona wątpliwościami aż po horyzont, te zaś w każdej chwili mogły się okazać nieprzewidzianymi przeszkodami. Jednak Garzon miał rację, twierdząc, że musimy iść naprzód jak najszybciej. Na razie wyglądało na to, że mamy do czynienia z zabójstwem dosyć normalnym. Raczej ewidentne tło finansowe, eks-żona w bliskim otoczeniu, a w cieniu nawet jakaś tajemnicza kobieta. Po prostu ortodoksyjnie typowa zbrodnia z wyższych sfer. Mimo wszystko wszakże nie było pewne, czy parametry się nie zmieniają, gdy będziemy musieli wejść w świat zawodowy Valdesa. Prasa bulwarowa, czyli szmatławce, periodyki plotkarskie. Co to za obszar? Przyznam się, że nie miałam bladego pojęcia, ale a priori postrzegałam go jak wielkie bagno, w którym ludzie brodzą pośród śmierdzących rozbryzgów. Jeżeli śledztwo pójdzie w tym kierunku, jeśli wykroczy poza rodzinne środowisko Valdesa, jesteśmy nieźle urządzeni. Nie byłam

pewna, czy sformułowany przez podinspektora postulat wysokiego tempa i precyzji działań wynikał z podobnych obaw, jakie nurtowały i mnie, ale niewątpliwie on też wietrzył nadchodzące problemy. Jakież, u diabła, mogliśmy mieć rozeznanie w kwestii miłostek, porażek i skandali, będących udziałem wielkich sław? A w ogóle zacznijmy od tego: kim są te sławy? Nie chodziło nawet o to, że nie znamy jakiegoś tam środowiska; wchodząc w nie, musieliśmy stawić czoło gmatwaninie, bo zamieszanych postaci musiało być sporo. Czułam, jak przez ciało przechodzi mi mentalny dreszcz. Czyżbym przyspieszała przyszłe wydarzenia? Gdybym zadała to pytanie Garzonowi, na pewno odpowiedziałby, że tak - ale nie przyszło mi do głowy go pytać. Wiadomo, na optymistów trzeba uważać. Skrzyżowałam palce, coraz mniej przekonana, że ścieżka, którą mamy się posuwać, jest wolna od cieni i przeszkód.

Nazajutrz czekało nas przesłuchanie Raquel, córki Valdesa. Tylko w wypadku, gdyby dziewczyna była jako tako poinformowana o prywatnym życiu ojca, mogliśmy liczyć na krok do przodu. Szczęście jednakże nam nie dopisało. Raquel odziedziczyła usposobienie po matce, zachowywała się z lodowatą obojętnością. Skryta za zasłoną swych pięknych, ciemnych oczu, zaprzeczała wszystkiemu, o co ją pytaliśmy. „Ojciec mówił ci o swojej pracy?” „Nie”. „Zwierzał ci się?” „Nie”. „Wspominał, że ktoś mu grozi?” „Nie”. Nie, nie, bez przerwy nie. Po co tracimy czas? - zastanawiałam się, aż wreszcie powiedziałam jej to na głos, zirytowana ciągłym zaprzeczaniem. O dziwo, zmiana tonu zmusiła ją do reakcji i do minimalnej dozy szczerości.

- Przepraszam, że tracą państwo czas. To nie tak, że ja nie chcę mówić. Rzecz w tym, że ja nigdy nie wiedziałam zbyt dużo o moim ojcu. Wolałam nie wiedzieć. Za każdym razem, jak chciał mi opowiedzieć coś o swoim życiu albo o pracy, przerywała mu. W końcu przestał mi mówić cokolwiek.

- A mogę wiedzieć, skąd wynika twoja postawa?

Uniosła oczy ku sufitowi, nie kryjąc, że nie było to łatwe pytanie. Podejrzewałam już, że nie odpowie, ale w końcu zwróciła się do mnie i zripostowała pytaniem:

- Podobały się pani reportaże mojego ojca?

Zakrzusiałam się, przyłapana na niewiedzy.

- No, cóż... muszę przyznać, że nie śledziłam ich zbyt uważnie.

- A ja tak - wypalił Garzon.

Dziewczyna spojrzała nań wyzywająco i atakowała dalej.

- I co pan o nich sądzi?

- Totalny rynsztok - odrzekł Garzon bez zmrużenia oka.

Raquel Valdes uśmiechnęła się ze smutkiem.

- I wszystko jasne, nie ma co dalej gadać. Jadałam z nim czasami obiady w niedziele, bo był moim ojcem, spotykaliśmy się, szliśmy razem na spacer w pełnej zgodzie. Ale nigdy nie miałam najmniejszego zamiaru babrać się w tych świństwach.

- A jego życie prywatne to też świństwa?

- Tego nie wiem. Nigdy nic na ten temat nie wspominał.

Uznałam, że przesłuchanie, które nie wnosi żadnych interesujących danych, należy przerwać.

- W porządku, Raquel, jesteś wolna.

Nie wiedzieć czemu dziewczynę zdumiał ten mój rozkaz do odejścia. Na jej twarzy zakwitło coś na kształt poczucia winy. Odezwała się przeprosającym tonem.

- Zapewniam państwa, że nic więcej nie wiem.

- Tak, tak, dobrze. Możesz już iść.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Bo to wygląda, że zabili mi ojca, a ja jestem taka spokojna i nie chcę współpracować.

Postanowiłam wyjaśnić jej dziwną reakcję.

- A tak nie jest?

- Oczywiście, że nie! Ale co mogę zrobić? Tak, pewnie by mi coś powiedział, tyle że mówił często bez ładu i składu.

- Na przykład?

- No... ostatnio powiedział, że poznał fantastyczną dziewczynę i że w jego życiu znajdzie wielka zmiana.

W moich uszach gwałtownie otwarły się drzwiczki. Garzon wbił w nią spojrzenie jak orzeł w

jagnię i z wątpliwą delikatnością zapytał:

- Kogo?

- Przysięgam państwu, że nic więcej nie wiem.

Przysunęłam krzesło bliżej, starając się stworzyć intymniejszy nastrój.

- Raquel, chyba rozumiesz, że cokolwiek sobie przypominisz, może być przydatne. Masz tego świadomość?

Zawahała się, jakby jeszcze nie pojmowała wagi swoich zeznań.

- Mówi pani o tej dziewczynie? Ale to nie pierwszy raz, jak mój ojciec coś takiego gadał. Czasami przysięgał, że jeszcze się ożeni i założy nową rodzinę... a potem w ogóle do tego nie wracał.

- Wspominał coś jeszcze o tej dziewczynie, mówił, jak się nazywa, jak wygląda, co robi, ile ma lat?

- Nie. Tylko powiedział, że ją poznał i że zajdą zmiany w jego życiu.

- A mówił o wystroju mieszkania?

Spojrzała na mnie, jakbym przemawiała w obcym języku.

- Co?

- Byłaś u niego ostatnio?

- Ja nigdy nie byłam u niego w domu! - wybuchnęła.

- I nie powiedział ci, że zmienił meble w salonie?

Wstała z wyrazem skrajnego obrzydzenia i pierwszy raz przemówiła z pogardą.

- Ja tam nie wiem, co państwo sobie wyobrażają na temat naszych stosunków, ale zapewniam, że nie były to normalne stosunki ojca z córką. Jak mówiłam: jedliśmy czasem niedzielny obiad, nic więcej. Nie mam pojęcia, czy urządzał sobie salon, i w ogóle mnie to nie obchodzi. Mogę już iść?

Skinęłam głową i chcąc uniknąć spojrzenia dziewczyny, wbiłam wzrok w papiery na biurku.

Kiedy zostaliśmy sami, Garzon nie posiadał się z oburzenia.

- Kurwa, co za córunia! Może też się będzie brzydzić spadkiem po ojcu?

- Wcale nie musi dziedziczyć wszystkiego, co naprawdę posiadał. Niewykluczone, że ktoś już położył łapę na części majątku jej sprytnego tatusia.

- Ma pani na myśli tę kobietę? Dokąd doprowadzi nas ten trop?

- Źle postawione pytanie. Właściwe pytanie brzmi: co nas może doprowadzić do tej kobiety?

- Konta, które odkryje Sanguesa?

Trzasnęłam wściekle ołówkiem o blat biurka.

- Chciałam tego uniknąć, ale...

- Ale co?

- Masz kalosze, Fermin?

Garzon, coraz bardziej zdezorientowany, wpatrywał się we mnie z najwyższą uwagą.

- Kalosze? Po co?

- Bo jeśli Bóg się nad nami nie zmiłuje, będziemy musieli się zanurzyć w bajoro szmatławców.

2

Zawsze marzyłam, żeby zjeść śniadanie w łóżku, otoczona czasopismami. Pewnie zobaczyłam taką scenę w jakimś filmie z lat pięćdziesiątych i potem przez całe życie uznawałam to za szczyt wyrafinowania. Owego ranka wreszcie dałam upust pragnieniom. Zabrałam prasę ze skrzynki i zrobiłam sobie mocną kawę. Była beznadziejna sobota, jeden z tych dni, kiedy nawet nie planujesz żadnych zajęć, aczkolwiek nie znaczy to, że nie dopadnie cię masa informacji i nieoczekiwanych zobowiązań. Trudno uciec przeznaczeniu, zwłaszcza zawodowemu. Otóż z każdej strony z wiadomościami krajowymi spoglądała na mnie odrażająca facjata Ernesta Valdesa. Informacja o jego śmierci przeciekła poprzedniego dnia, ale sensacyjność wydarzenia uprawniała gazety do walcowania tematu. Pisano o oddźwięku, jaki miała praca Valdesa w świecie dziennikarskim, o tym, że swoim nieortodoksyjnym stylem wpłynął na prasę plotkarską, aż zaczęła staczać się na bruk. O ile mogłam się zorientować, Valdes przestał traktować sławnych ludzi z uwielbieniem, atakował ich perfidnie, a nawet ośmieszał. Formuła się sprawdziła, zwłaszcza w telewizji, chociaż w czasopiśmie konwencjonalnych napotykała zdecydowanych oponentów, którzy odmawiali udziału w na-

gonce na ludzi z górnej półki, bo przecież w końcu z nich żyli. Zaciekawilo mnie to wszystko - do-tychczas to dziennikarze dostarczali faktów policjantom, a nie odwrotnie. Z uwagą przeczytałam artykuł poświęcony funkcjonowaniu różowej mafii. Wynikało z niego, że istnieją agencje, które sprzedają informacje pismom i programom telewizyjnym, informacje zdobyte nie zawsze czystymi metodami przez konfidentów i paparazzi działających na własną rękę. Jeśli ktoś wątpiłby w znaczenie całego procederu, przekonałyby go bająnskie sumy wypłacane przez redakcje pism: prasa plotkarska ma coś około dwunastu milionów czytelników, siedem najważniejszych czasopism dzieliło między siebie roczny zysk dwudziestu pięciu miliardów peset ze sprzedaży nakładu i czterestu miliardów z reklam. Liczby dotyczące programów telewizyjnych były też niesamowite. Cóż, równanie wydaje się oczywiste: gdzie są pieniądze, tam przypuszczalnie jest i przestępczość. Pojęłam, że mamy do czynienia ze sprawą o bardzo poważnych rozgałęzieniach. Hipoteza o płatnym zabójcy od razu zyskiwała na prawdopodobieństwie. W środowisku, gdzie miliony latają jak gołębie nad placem miejskim, łatwiej było załatwić faceta rękami zawodowca, niż samemu podejmować ryzyko. Coraz mniej sensu widziałam w kuszącej ewentualności, że to była żona w przypływie zazdrości zastrzeliła Valdesa, po czym jeszcze poderżnęła mu gardło. Po co doszukiwać się afektu, jeśli w grę wchodzi pieniądze? Tylko w podłej jakości bestsellerach te dwie rzeczy idą w parze, na czym traci często wiarygodność historii. Poza tym komu chce się mścić na eks-mężu po tylu latach? Nie, stawialiśmy pierwsze kroki na dopiero odkrytej planecie i należało się na nowo nauczyć sztuki chodzenia.

Artykuł stwierdzał dalej, że najcenniejsze informacje poufne dotyczyły spraw związanych z reprodukcją. To znaczy: ciąży, narodzin, chrztów, dzieci naturalnych i adoptowanych. Coraz mniej smakowała mi kawa. Nie potrafiłam pojąć, dlaczego ktoś miałby zapłacić choćby jedną pesetę, żeby dowiedzieć się tego typu rzeczy na temat obcych osób. Przecież wszystkie noworodki są do siebie podobne! To takie niezwykle zobaczyć ich zdjęcie? Niewątpliwie zagadnienie otaczał mistyczny nimb, dla mnie kompletnie niedostępny. U fryzjera nigdy nie zdarzyło mi się nawet przekartkować takiego pisma. Zawsze wolałam pisma kobiece mówiące o modzie, pielęgnacji urody, urządzaniu mieszkań i tym podobnych frywolnych rozkoszach. To wielka przyjemność, na przykład, podziwiać reklamę kosmetyku i czytać ilustrujący ją artykuł: zagłębiać się w trudne nazwy produktów chemicznych, tak wspaniale ujędrniających skórę, patrzeć na zdjęcia młodych twarzy, które są po prostu piękne, obok fotografii aromatycznych kremów, apetycznych jak lody czy ciastka. Któż potrafi obronić się przed taką fascynacją, kogóż nie zachwyca leżąca w zasięgu ręki możliwość zapewnienia sobie urody? Na dodatek ostatnio zauważyłam, że w tego typu publikacjach rozpleniły się fotografie przystojnych mężczyzn. Modeli o pełnych ustach, którzy usiłują wypaść przed obiektywem jak najbardziej sexy. Aktorów pozujących w obcisłych majtkach. Doszłam do wniosku, że ten zanik wszelkich tabu jest całkiem podniecający. Nie była to zresztą wyłącznie kwestia obrazków: ilekroć oddawałam się przyjemności lektury, systematycznie zdumiewał mnie język artykułów i wyraziste deklaracje swobody. Takie na przykład: „Twój facet jest nieśmiały w łóżku? Oto dwadzieścia sposobów, żeby go rozochocić” - było dowodem, że współczesne dziewczyny są znacznie bardziej wyzwolone, niż się to śniło jakiegokolwiek kobiecie z mojego pokolenia. Takie jest życie - pomyślałam - teraz zabawą stało się to, o co rozpętałyśmy ongiś rewolucję. Może rzeczywistość za zabawę trzeba zapłacić cenę w postaci rewolucji. Szczerze mówiąc, niewiele mnie te rozmyślenia pocieszyły, ale przynajmniej nie czułam się taką idiotką.

Porzuciłam stertę czasopism i postanowiłam wziąć prysznic. Miałam już potąd Ernesta Valdesa; niech koleś nie waży się wtrzywać nosa w moje życie prywatne, jak to wyczyniał z innymi! Niełatwo jednak było się od niego uwolnić. Po prysznicu udałam się do kuchni, żeby zrobić sobie jajka i grzanki, a następnie włączyłam telewizor i po upływie zaledwie dwóch minut znów pojawił się Valdes ze swoją gębą czarnego jastrzębia. Prezenter dziennika stwierdzał, że w grę mogła wchodzić zbrodnia w afekcie i że policja nie dysponuje jeszcze znaczącymi tropami. W dupę, co za jakiś niedorozwinięty rzecznik przekazał mediom taką wersję?! Do głowy przychodziły mi nazwiska różnych kolegów, ale postanowiłam sobie odpuścić. Dobrze jest, niech gadają, co chcą, niech sprawa nabierze trochę gorączkowych rumieńców. Dziennikarze potrzebują tego do pracy, a ja nie zamierzam wygłaszać żadnych oświadczeń. Chcą mieć afekt? Proszę bardzo, dostają afekt! Może zresztą wcale tak bardzo nie błądzą. W gruncie rzeczy całe to zamieszanie należało się społeczeństwu: facet zarabiał na życie, zaglądając innym w pościel, a teraz naród zagląda mu pod całun.

Pożarłam jajka i od razu poczułam się lepiej. Tak się wyluzowałam, że nawet nie wkurzył

mnie telefon Garzona z propozycją pracy. Odpowiedziałam mu z pełną kulturą:

- Nie, dziś mi nie płacą, więc czuję się zwolniona z obowiązku.

- Pani inspektor, ale nie chodzi o pracę w ścisłym sensie. Przyjrzymy się tylko materiałom, jakie zgromadziłem.

- Ostre porno?

- Można to tak nazwać. Skombinowałem taśmy z programami Valdesa i jego ostatnie reportaże prasowe. Pomyślałem, że nie byłoby od rzeczy zerknąć, czym się zajmował, a że w normalnym czasie pracy nie mamy kiedy...

Wydałam z siebie dźwięk trudny do zinterpretowania.

- Coś pani mówiła? - spytał.

- Nie, tylko wyrzygałam śniadanie na wieść o tym, że mam obejrzeć programy z Valdesem.

- To tylko parę godzin. Akurat wystarczy, żebyśmy się napili i pogadali.

- Dziś przed południem nie mogę, idę na wystawę Chagalla.

- A wieczorem?

- Też nie, idę do kina. Jest film, o którym marzę od dawna.

- Pewnie znowu z napisami...

- Oczywiście, duński! Może w niedzielę wieczorem?

- No tak, akurat w niedzielę wieczorem!

- No co? Spokój, nic się nie dzieje...

- Ale w telewizji jest ważny mecz piłkarski!

- Fermin, nie kompromituj się, przecież mecze są do siebie podobne!

- Obrazy Chagalla są jeszcze bardziej do siebie podobne! Nic dziwnego zresztą, facio nie żyje i nie może namalować nowych!

- Założmy, że masz rację, ale nie mnie przyszło do głowy, żeby pracować w weekend, tylko tobie.

Poddał się. Nie miał wyboru, jeśli naprawdę usiłował, jak zwykle, wypełnić porządnie swój obowiązek. Na czym polegała tajemnica Fermina Garzona? Na serio praca tak mu się podobała, że nie mógł się od niej oderwać? Obawiałam się, że to kwestia wieku i przyzwyczajenia, a stąd z kolei płynął wniosek, że i mnie to kiedyś spotka.

Kiedy nadszedł niedzielny wieczór, zorientowałam się, że nie ustaliliśmy, w którym domu się spotykamy. Zadzwoiłam. Zdumiał mnie, mówiąc, że przygotował już przekąski przed kolacją, zatem stanęłam pod jego drzwiami punktualnie o dziewiątej.

Wszystko było przygotowane do pracowitej sesji roboczej. Na niskim stoliku piętrzyły się plotkarskie periodyki, obok nich spoczywał stosik kaset wideo. Czy ja dam radę? Garzon podnosił mnie na duchu. Nie mam się co przejmować, trochę brudów to tylko trochę brudów, nic więcej, a może wolę rynsztoki ubogich dzielnic, które często przychodzi nam odwiedzać?

- Nie wiem, Fermin, w ubogich dzielnicach przynajmniej spodziewasz się, że trafisz na margines społeczny. A tu mamy do czynienia ze świństwami, którymi uwielbia się rozkoszować osiemdziesiąt procent ludzi.

- I co z tego? To tym lepiej. Inaczej musielibyśmy uznać, że przestępcy należą do odrębnej rasy, a sama pani wie, że tak nie jest. Okazuje się, że wszyscy pożądamy płotek, zakulisowych donosów o życiu rodzinnym, świństwach... Nikt nie jest czysty, pani inspektor.

- Zgoda, ale zmysł estetyczny...

Otworzyłam na chybił trafił jedno z pism. Grupa gości na jakichś chrzcinach ścisnęła się w zwarty kłęb, żeby zmieścić się na fotografii. Wyglądali ogólnie jak potwory: kobiety w pastelowych, obcisłych sukienkach odsłaniających przekwitłe kolana, w słomianych kapelusikach porzucanych na głowach jak gruz na wysypisku, w biżuterii połyskującej złoto z każdego prześwitu. Mężczyźni stali opięci w garnitury z opalizującej alpaki, szyje mieli ściśnięte jasnoblękitnymi krawatami, a stopy ugniatały im ciasne lakierki z czubkami w szpic. Trupa tresowanych małą wyglądały ładniej.

- A ci faceci o wyglądzie buraków to kto, do licha ciężkiego?

Garzon zerknął na zdjęcie.

- Ja pierdołę, pani Petro, skoro ich bierze pani za buraków... Pani spojrz na tytuł, to chrzciny dzieci markiza i markizy de Hoz, a cała ta czereda to przedstawiciele szlachty.

- Myślałam, że szlachta uległa już kompletnej degeneracji, ale, jak widzę, jeszcze zostało im kilka stopni do dna.

- Pani poczeka, dalej są też śpiewacy trzeciego sortu, tancerki ludowe, prezentereczki telewizyjne, dzieci sławnych ludzi w wieku w sam raz, żeby...

- Nie kończ, już mogłabym złożyć rezygnację.

- Niech się pani nie załamuje, zobaczy pani, Valdes specjalizuje się w robieniu im koło pióra. Jeszcze go pani polubi. Proszę otworzyć to pismo na jego rubryce.

Niechętnie kartkowałam gazetkę, na każdej stronie widniały jakieś monstra i koszmary. Wreszcie dotarłam do kolumny, na której Garzon kazał mi się zatrzymać.

- No, niech pani czyta! - zawołał uradowany.

Przeczytałam z radykalnie mniejszym entuzjazmem:

„Albertito de las Heras, który w Marbelli pozostawił niezliczonych wierzycieli i niezapłacone rachunki, zapowiada obecnie, że otworzy w Madrycie restaurację. Prawdę mówiąc, nie wiemy, w którym dziale firmy ma zamiar funkcjonować, jako pomocnik kucharza czy może przy kasie fiskalnej, by móc gmerać w finansach, zanim pracownicy dostaną wypłatę. Najprawdopodobniej jednak będzie spędzał czas z klientami, a raczej z klientkami, które z pewnością będą za nim przepadały. Zawsze tak było, jako że Albertito znany jest z jednego: żyje dla dam, dzięki nim i z nich - i wcale nie mam na myśli dam szachowych czy karcianych!”

Zaniemówiłam. Podniosłam oczy na podinspektora, który przypatrywał się moim reakcjom ufnie jak pies.

- Widzi pani? Wiedziałem, że to panią zaskoczy.

- Ależ on go obraża bez najmniejszej żenady! Jest tu coś, czego nie rozumiem, Fermin: dlaczego ten facet, o którym czytam, nie wytoczył mu natychmiast procesu?

- Bo ten cały Albertito musi być bardzo ostrożnym gagatkiem, może zresztą lubi, jak o nim się mówi, nawet w takim świetle. Większość tych ludzi żyje dzięki temu, że ktoś im zrobi reklamę albo antyreklamę, wszystko jedno.

- Ale czasem to im może zaszkodzić.

- Święta racja, lecz i to zniosą, bo nieraz te obelgi trafiają w samo sedno i lepiej nie ruszać gówna. Zresztą są skargi na Valdesa, protesty i polemiki ze strony tych, których wychłostał, jednak procesów miał bardzo mało.

Garzon nieźle udokumentował temat w trakcie naszego śledztwa. Chyba musiał być pewien, że jak zakończymy przesłuchania w kręgu prywatnym, i tak będziemy musieli wpłynąć na szerokie wody zawodowej działalności denata. Zaczęłam czytać na głos dalej, zdjęta nagłą ciekawością.

„Nacha Dominguez, najmłodsza córka Dominguezów, zapewne wreszcie wyjdzie za mąż za kolejnego, świeżo upieczonego narzeczonego, latynoskiego śpiewaka Chucha Alvareza. Nie wiemy, jakimi sukcesami może się poszczycić Chucho w swoim kraju, tu jednakże nikt o nim nie słyszał. To zresztą bez znaczenia, para nie ma kłopotów finansowych, ponieważ, jak powszechnie wiadomo, nasza oblubienica odziedziczyła po babci kawał szmalu. Nie wiemy tylko, czy czasem nie przeputała go w całości na operację plastyczną, jakiej się poddała z okazji ślubu. Niewykluczone więc, że nigdy nie będzie już kobietą bogatą, ale bez wątpienia będzie mogła całować swego oblubieńca z niezwykłą namiętnością, a to dzięki silikonowi, którym wypchała sobie usta”.

Kilkakrotnie zabełkotałam, nim zdołałam powiedzieć:

- Fermin, przecież to jest okropne, hańba!

Garzon odpowiedział mi donośnym śmiechem.

- A co pani myślała, pani inspektor?

- Jak można być tak podłym, tak niegodziwym, pisać tak plugawe teksty?!

- Valdesowi przychodziło to w sposób całkowicie naturalny, nic go to nie kosztowało.

- Co za typek!

Taki był Valdes i taki był świat, w którym się obracał. A począwszy od tej chwili, będziemy się w nim obracali również my.

- Spodziewałam się, dlatego wolałam jak najpóźniej włączyć się do tego tańca, ale nigdy nie przypuszczałam, że można osiągnąć aż taki poziom niegodziwości.

- Przegryźmy coś, a potem zajmijmy się telewizją.

- Nie wiem, czy mój żołądek będzie mógł trawić.

- Zobaczy pani moje paszteciki, to wróci pani apetyt.

Choćby nie wiem ile składników władował mój partner do pasztecików, nie byłby w stanie zniwelować poczucia niesmaku, wściekłości i chamstwa, które stanowiły podstawę kuchni Valdesa. Pojęłam, na czym polega zmiana stylu w prasie plotkarskiej, o którym czytałam poprzedniego dnia w gazecie, ale nadal nie rozumiałam, skąd się wziął ten gigantyczny sukces. Kto mógłby nurzać się dla przyjemności w podobnym szambie? Niewątpliwie osoby, na które spadały najprzedniejsze elementy tych dziennikarskich pomyj, nigdy nie zostałyby laureatami Nagrody Nobla, nie były wybitnymi postaciami ani dobroczyńcami ludzkości. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można było stwierdzić, że nie uchodziły nawet za prawe ani porządne, ale co za przyjemność upokarzać je publicznie?

Garzon nie mógł się ze mną zgodzić. Uważał, że większość gatunku ludzkiego jest co najmniej zgnębiona wskutek dokuczliwości życia codziennego. W pracy, w domu, w stosunkach międzyludzkich - przeciętny obywatel musi z alarmującą częstotliwością pochylać kark i smakować goryczy.

- Dlatego tak lubią się przekonywać, że ci, którym pozornie wiedzie się dużo lepiej, ostatecznie trafiają pod ten sam topór! - dokończył, przelitykając okruchy pasztecika.

- Smętna to pociecha.

- Nie ma wesołej pociechy, pani inspektor, a ta w dodatku jest niedroga, można o tym pogadać ze znajomymi, można wyolbrzymić to i owo, porównać ze znanymi przypadkami i...

- Zaraz mi będziesz wmawiał, że mamy do czynienia ze społecznym panaceum!

- W pewnym sensie tak, chociaż nie twierdzę, że to właśnie powód, dla którego taka formuła wciąż się rozwija. Raczej chodzi o pieniądze, które generuje.

- Formuła brudna i przyziemna.

- Ziemiaki też są brudne i przyziemne, a sama pani wie, ilu ludzi się nimi żywi. A propos jedzenia, jak tam moje paszteciki?

- Szczerze wyznam, że nieziemskie. Jak je zrobiłeś?

- Zastosowałem cierpliwość i uwielbienie.

- I nie zdradzisz przepisu?

- Nie wypada, żeby policyjni najemnicy wymieniali się przepisami kulinarnymi. Zamiast tego proponuję na deser konfiturę z rynsztoka.

Włożył kasetę do magnetowidu i przyciemnił światło.

- Gotowa? Rozweselmy się teraz chwalebnyymi czynami naszego nieboszczyka, jak cieszyliśmy się postępkami walecznego Cyda.

Krzykliwe napisy informowały, że rozpoczyna się program pod tytułem Namienności. Na platformie w ostrych barwach ukazało się półkole z krzesłami, na których zasiadali różni ludzie, mężczyźni i kobiety. Przodem do nich widniało coś na kształt podium z jednym fotelem; spoczywał na nim honorowy gość widowiska. Garzon szepnął, że trybunał składa się z zaufanych dziennikarzy pod wodzą Valdesa, zasiadającego na wyodrębnionym miejscu i dyrygującego pytaniami i odpowiedziami. Na pierwszy ogień szła pewna napuszona dziewczyna. „To żona aktora Victora Domenico, który właśnie porzucił ją dla stewardesy Iberii” - suflował mi mój partner. Przyglądaliśmy się przedziwnemu spektaklowi, swego rodzaju obrzydliwej grze, podczas której dziennikarze namawiali bohaterkę do składania ostrych i zjadliwych oświadczeń wymierzonych przeciw dawnemu ukochanemu, a obecnie wrogowi. W zagadkowy sposób, wiedząc o mechanizmach ludzkiej psychiki i o prawdopodobnie niewielkim intelekcie panienci, państwo z półkolegi dotykali zaognionych punktów, mogli więc być pewni, że zaproszona zaleje ich potokiem gniewnych słów. Otóż kiedy właśnie ich zalewała, kiedy relacjonowała wybryki męża, kiedy zdradzała, że to awanturnik i ukryty pijak albo że wynajął adwokata, by ją zrujnować - nadchodził moment, gdy sam Valdes rzucił się na nią i z oskarżycielki zmieniał w oskarżoną. Z oczami jak spodki wpatrywałam się w tego chłopinę o przenikliwym spojrzeniu i haczykowatym nosie, wyrzucającego z siebie pełne furii zdania w rodzaju: „A może nieprawdą jest, że sama wpędzałaś go w alkoholizm, nieustannie flirtując z jego przyjaciółmi?” albo „Przecież sama wynajęłaś wyjątkowo perfidnego adwokata, który potrafi opłacić fałszywych świadków”. Biedaczka broniła się co siłą, chwilami dając dowód, że nawet kretyнки mają gruczoł z jadem, którym mogą opluć przeciwnika. Szczerze mówiąc, wszystko razem sprawiało wrażenie okropnego przedstawienia, napawającego dziwnym wstydem i jednocześnie żalem, że wilki są gatunkiem wymierającym, zmuszonym ustąpić miejsca człowiekowi cywilizowanemu.

Kiedy wreszcie całe to hałaśliwe nieporozumienie dobiegło końca, podinspektor w milczeniu przewinął taśmę do początku i spojrział na mnie pytającym wzrokiem.

- Co pani sądzi?

- Obrażliwe.

- Wiedziałem, że się pani zgorszy.

- To, co ja o tym myślę, Fermin, jest najmniej ważne. Najgorsze są wypływające z tego wnioski. Każda, absolutnie każda z osób, które Valdes tak upokarzał, mogła go sprzątnąć.

- Ale pani naiwna, pani Petro! Ludzie, których on zaprasza, dostają pieniądze za udział i doskonale wiedzą, w co się ładują.

- Chyba nie znasz meandrów, jakimi wędruje ludzka dusza. Wyobrażam sobie, że faktycznie gotowi są na wszystko, gdy meldują się tam w roli łatwego łupu dla drapieżnika, ale potem, kiedy w samotności ochłoną, kiedy mają szansę zastanowić się i porzygać na sarną myśl o tym, co zaszło...? Jestem przekonana, że ktoś mógł poniewczasie nie zdzierżyć. Wejdz w skórę człowieka, który został właśnie zmalretowany publicznie przez tego faceta i próbuje zasnąć. Nie wykwitłyby ci w pamięci fragmenty widowiska, złowroga twarz atakującego Valdesa, jego plugawe spojrzenie, plwociny, jakimi bluzga?

Garzon się zamyślił. Chyba naprawdę wyświetlał sobie ujęcie po ujęciu z melodramatycznej sceny, jaką mu odmalowałam.

- Ej... w takim razie... skłaniamy się ku koncepcji zemsty!

- Chwileczkę, nic z tych rzeczy! Nie skłaniamy się ku niczemu ani nikomu! Chcę tylko powiedzieć, że absolutnie powinniśmy poszperać w miejscu pracy naszej ofiary.

- Nie tracąc z oczu eks-żony.

- Ani córki, ani kochanki-widma.

- Niczego i nikogo.

- Właśnie. Fermin, słuchaj, umów nas na spotkanie w obydwu pismach, gdzie pracował, a także w telewizji. Zorientuj się w strukturze: kto był jego szefem, kto mu podlegał, godziny pracy, środki, jakich używał na potrzeby programu...

- Pisma mieszczą się w Barcelonie, ale do telewizji trzeba będzie polecieć do Madrytu. Valdes spędzał tam dwa dni w tygodniu, nagrywał program i wracał.

- Dobra, pogadaj z Coronasem, będziemy potrzebowali swojego człowieka w którymś komisariacie madryckim. Dowiedz się, gdzie Valdes zatrzymywał się w stolicy, jak tam przyjeżdżał.

- Wszystkim się zajmę, niech się pani nie martwi.

- I jest coś, o czym ciągle zapominamy.

- Co?

- Masz jakieś wieści o ewentualnym płatnym zabójcy?

- Nie, ale jestem jutro umówiony z inspektorem Abascalem. Razem z pomocnikami dysponują w komisariacie pełną informacją o mordercach do wynajęcia i już zaczęli konfrontować nasze dane.

- Świetnie.

- Tyle że przy tych wszystkich zleceniach od pani nie wiem, czy się wyrobię na jutro na dziesiątą rano.

- To ja pogadam z Abascalem. Jest coś szczególnego, co powinnam wiedzieć?

- Musi pani tylko słuchać, co oni będą gadać, nic więcej.

- W moim wieku przynajmniej wiem, że tego nauczyłam się do perfekcji.

Zorganizowaliśmy sobie robotę błyskawicznie i precyzyjnie, poświęcając na to cały wolny od pracy wieczór. Zasłużyliśmy na medal, ale ponieważ wiedziałam, że i tak nikt nam go nie przyzna, rozsądnie ograniczyłam się do odczuwania wewnętrznej satysfakcji. Wróciłam do domu z myślą o rychłym pójściu spać, aczkolwiek jeśli miały mi stanąć przed oczami sceny z obejrzanych programów, to z pewnością długo mogłam nie zmrużyć oka. Przechodząc przez salon, dostrzegłam migające światelko sekretarki automatycznej. Ze sporym zdziwieniem usłyszałam głos mojej siostry Amandy: „Petra, zadzwoń do mnie jeszcze dziś, pora nie ma znaczenia”. Zerknęłam na zegarek: północ. W normalnych warunkach nigdy bym do niej o takiej godzinie nie telefonowała. Amanda należała do kobiet porządných, zasadniczych i przestrzegających konwenansów. Wyszła za mąż za szanowanego chirurga, dochowała się dwójki dorastających dzieci. Po ślubie przenieśli się do Geron, gdzie pędziła spokojny, szczęśliwy żywot gospodyni domowej. Wprawdzie była tylko dwa

lata starsza ode mnie, zawsze jednak sprawiała wrażenie bardziej rozsądnej i dorosłej. Dlatego tak mnie zaskoczyła ta wiadomość i prośba, bym zakłóciła jej spokój nocy późnym telefonem.

Głos w słuchawce zabrzmiał obco i chłodno.

- Coś się stało? - rzuciłam zaniepokojona.

- Nie, chciałabym tylko przyjechać i zatrzymać się u ciebie na kilka dni, mogę?

- Jasne! Tyle że ja nie mogę przerwać pracy.

- Liczyłam się z tym. Nie będę zawadzać.

- Zostawię ci klucz w barze na rogu. Jak przyjedziesz, powiedz, że jesteś moją siostrą, nie powinno być żadnego problemu. Na pewno nic się nie stało?

- Pogadamy - burknęła, dodając mi tym samym nowych zmartwień.

Odwiesiłam słuchawkę i zaczęłam się zastanawiać nad przyczyną tajemniczych, niespodziewanych odwiedzin siostry. Wszystko, co przychodziło mi do głowy, mogło mieć realne podstawy: kłopoty z dzieckiem, diagnoza poważnej choroby, niewierność Enrique, jej męża... Żadne przypadkowe czy błahe powody nie wchodziły w grę. Amanda nie należała do kobiet, które nagle w niedzielę wieczór postanawiają jechać na zakupy do Barcelony. Spekulacje nie miały sensu, to moje skrzywienie zawodowe. Dlatego też położyłam się do łóżka z książką, w której nie było mowy o zbrodniach ani plotkach z wyższych sfer.

Na spotkanie z Abascalem stawiałam się kwadrans przed czasem. W drzwiach gabinetu, ku memu zdziwieniu, zderzyłam się z Molinerem, który dokładnie w tym samym momencie stamtąd wychodził. Też zasięgał informacji u Abascała. Zdaje się, że zabójca wykwintnej kobiety mógł być wynajętym zawodowcem. Ale na twarzy mojego kolegi nie malowało się szczególne zadowolenie.

- Ani śladu! Zbadali sposób popełnienia morderstwa i nie mają, kurwa, pojęcia, kto to może być. Jakiś facet o żelaznych nerwach, który pracuje na własną rękę. Doceniasz stopień precyzji? Dał mi parę kontaktów i tyle.

- Miałeś nadzieję, że morderca zostawi więcej śladów?

- Prawdę mówiąc, tak. Popieprzona sprawa, ale nic, zobaczymy, w którą stronę muszę pójść.

- Nikt nie mówił, że będzie łatwo.

- A żebyś wiedziała! Słuchaj, masz czas na kawę? Abascal nie przyjmie cię punktualnie, bo właśnie dzwonili do niego z Madrytu.

Powłócząc nogami, udaliśmy się naprzeciwko do „La Jarra de Oro”. Moliner był w paskudnym humorze, non stop przeklinał, a to na nieuchwytnych morderców, a to na zbyt małe środki, jakimi dysponowaliśmy, żeby dopaść płatnych zbirów. Nigdy nie byliśmy w zbyt bliskich kontaktach, ale o ile go znałam, zawsze robił wrażenie serdecznego optymisty. Nagle spojrzał na mnie w napięciu znad filiżanki mocnej kawy i rzucił:

- Petra, ty dwa razy byłaś mężatką, prawda?

Zaskoczona nagłą zmianą tematu, usiłowałam zbagatelizować sprawę.

- Płatne zabójstwa natchnęły cię do żeniaczki?

Jego następne słowa zamknęły mi usta.

- Do niczego dobrego mnie nie natchnęły. Moja żona odchodzi.

Jak możesz zareagować na oświadczenie takiego kalibru, które pada z ust słabo znanej ci osoby? Na pewno nie wolno się uśmiechać, więc spoważniałam i wymamrotałam:

- Ożeż, na Boga!

- Tak, na Boga, do diabła, faktem jest, że mnie zostawia.

Staralam się odzyskać spokój. Ostatecznie to nic dziwnego, że ktoś opowiada ci o swoim życiu. Ludzie potrzebują się wygadać wobec osób, z którymi nic ich nie łączy. Zaryzykowałam pytanie:

- Dlaczego odchodzi?

- Nie wiem, Petra, nie wiem. Mniej rozumiem, co zaszło, niż w sprawie tego zabójstwa kobiety, nad którym siedzę. Jestem rozkojarzony, ot co.

- Jakie powody podała?

- Mówi, że jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat i że nigdy się nią naprawdę nie zajmowałam, że nie odpowiada mi jej osobowość, że nigdy nie czuła, by grała ważną rolę w tym związku. Możesz mi to wytłumaczyć? Ważną rolę! Czego ona chce, żebym teraz nakręcił dla niej film ze scenami miłosnymi?

- No, zawsze poświęcałeś się pracy w policji, a my, kobiety, czasami potrzebujemy całej waszej uwagi. Choć sędzę, że niedługo wyjdzie z tego kryzysu.

- Tak, tylko że przy wyjściu będzie na nią czekać inny.

- Jak to?

- Odchodzi z facetem dużo młodszym od siebie. Konkretnie ze swoim trenerem od aerobiku.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Touchee. Niewątpliwie kobiety coraz wyżej ostatnio latają. Co miałam mu powiedzieć, że się cieszę? Że w głębi duszy odejście od niechcianego mężczyzny uważam za wyzwolenie? Ale Moliner wpatrywał się we mnie, jakby oczekiwał jakiejś oficjalnej wypowiedzi w imieniu płci pięknej. Odchrząknęłam. Z przerażeniem skonstatowałam, że nie mam nawet pojęcia, jak mu dali na chrzcie.

- Macie dzieci?

- Nie.

- Czyli pójdzie łatwo, nie uważasz?

- Komu?

- Słuchaj, Moliner, nie wiem, co ci powiedzieć. Nie znam twojej żony...

- Dobra, ale ty też myślisz po kobiecemu, dwa razy się rozwodziłaś, może coś mi wyjaśnisz.

Nie mogłam wyjść ze zdumienia. Trudno będzie wytłumaczyć mojemu koledze, że kobiety nie myślą identycznie, że nie stanowią części jakiejś jednej, kolektywnej świadomości, że mają na nas wpływ charakter, ideologia, epoka i dziedzictwo, że nie można porównać Marilyn Monroe z Marią Curie. Obawiałam się, że nic nie zrozumie, zdecydowałam się więc na argumentację zdroworoządkową, dopuszczalną w dowolnych okolicznościach.

- Posłuchaj, Moliner. Przede wszystkim ważny jest spokój. Pozwól jej ochłonąć, nie naciskaj, nie rób żadnych głupstw.

Właściwie mógł posłać mnie do wszystkich diabłów, ale chyba trafiłam w jakiś czuły punkt, który funkcjonował prawidłowo, bo Moliner się uspokoił.

- Dzięki, Petra. Wiem, wiem, żadnych głupstw. Zbyt wiele widziałem z miejsca, gdzie stoję, żeby samemu wędrować na skraj przepaści.

Zatem i ja się uspokoiłam. Nie wiedziałam, czy Moliner jest człowiekiem wybuchowym, ale z naładowaną bronią zawsze trzeba się obchodzić bardzo ostrożnie.

Wciąż zaaferowana dopiero co zakończoną rozmową, wkroczyłam do gabinetu Abascala. Informacje, jakie mi przedstawił, nie należały do tych, od których aż ci się chce skakać z radości. Z jego punktu widzenia zbrodnię mógł popełnić jakiś profesjonalista. Jak jednak wytłumaczyć późniejsze podejrzenie gardła? Zważywszy na to, że - jak wykazała sekcja - nastąpiło zaraz po strzale, można było wydedukować, że domniemany zleceniobiorca otrzymał wyraźny nakaz okrutnego obejścia się z ofiarą. Mogła zatem wchodzić w grę zemsta. Coś jakby morderstwo typu „szef kuchni poleca”.

- To normalne?

- Nie - przyznał inspektor. - Łatwo zrozumieć, że podobne zlecenia rzadko są dogadane aż do takich szczegółów. Bywają przypadki, zwłaszcza w środowisku mafijnym, że dochodzi do aktów okrucieństwa, ale gdy trzeba załatwić gościa jak najszybciej, wtedy wystarczy pistolet.

- Powiedzmy wobec tego, że taka zemsta jest nieprawdopodobna, ale nie niemożliwa.

- Całkiem zgrabnie to ujęłaś. Ktoś wykonał zadanie wystrzałem, a następnie dołożył przejaw wściekłości.

- Chyba że chciał wyraźnie podkreślić, że chodzi o zemstę, by nas zmylić.

Pokiwał głową, godząc się i na taką ewentualność.

- A co powiesz o wykonawcy?

- Dam ci namiary na paru konfidentów, którzy znają ludzi z taką amunicją, ale ostrzegam, że strasznie ciężko cokolwiek z nich wydobyć.

- Konfidenti średnio godni zaufania?

- Zawodowy morderca to poważna sprawa, Petro. Kiedy rozpytujesz o zawodowca, to tak, jakbyś mówiła o diable. Niebezpieczny grunt, wszyscy to wiedzą.

Podsunał mi papier z nazwiskami i namiarami. Westchnęłam. Mnie też wcale nie bawiła perspektywa zanurzenia się w morze płatnych zabójców. Wolalabym konwencjonalne, zwyczajne, amatorskie cięcie nożem. Ogólne informacje na temat postępowania płatnych zabójców w Hiszpanii, które mi następnie przekazał, też nie napawały optymizmem. Opowiedział mi, że jeszcze kilka

lat temu wszyscy byli obcokrajowcami, ludźmi bez grosza albo nielegalnymi imigrantami. Wtedy zlecenie takiemu roboty, od pobicia po morderstwo, było tanim przedsięwzięciem, a i pochwylenie gościa nie nastęczało trudności. Potem sprawy zaczęły się komplikować, zrodził się popyt na morderców lepiej przygotowanych, również z zagranicy. Ciężko było ich dopaść, bo po popełnieniu przestępstwa ulatniali się czekającym na nich samolotem i musieliśmy się uciekać do pomocy Interpolu. Ceny za usługę wzrosły nawet do pół miliona. Ponieważ interes zaczął być opłacalny, do akcji wkroczyli też krajowi najemnicy. Ich atutem było bezpieczeństwo, bo rzadko byli gotowi opuścić Hiszpanię. Poruszali się z nadzwyczajną dyskrecją i nikt nie chciał ich sypnąć, jeśli nie miał zagwarantowanej gigantycznej forsy. Obecnie honoraria zabójców oscylowały wokół dwóch milionów. Niektórzy ukrywali się w firmach windykacyjnych, które wprawdzie skrupulatnie badano, ale nigdy nie znajdowano dowodów, pozwalających ich przyskrzynić.

- Mówisz, jakby Hiszpania była idealnym krajem dla płatnych morderców.

- Za wszystko ponosi winę nasz cudowny klimat. Znów zjeżdżają się obcokrajowcy, ogromne masy mafiosów i zbiegłych zbrodniarzy postanawiają schronić się w naszych granicach. Słyszałaś o Marbelli.

- Tak, i podejrzewam, że taka gruba zwierzyna nie podchodzi zbyt łatwo pod strzał.

- Słuszny wniosek, Petro. Miej więc oczy otwarte, nawet gdyby wpadł ci paproch.

Tak - pomyślałam - paproch w oku, bagno w butach, mało kto by mi pozazdrościł.

Garzon czekał na mnie w komisariacie z kompletnym dossier. Podałam mu kartkę od Abascała z nazwiskami dwóch konfidentów. Popatrzył na nią, mrużąc poczciwe, sarnie oczy.

- Mówią ci coś?

- Nie, nie są z mojego działu. Moi konfidenti, pani inspektor, to ludzie małego kalibru. Z nimi nigdy nie dopadniemy płatnego zabójcy.

- O co chodzi z tymi zawodowcami? Stanowią jakąś elitę czy co?

- Dobrzy, tak. Kiepscy to najgorsze nieboraki pod słońcem. Takich wyłapujemy w trzy dni. Albo należą do marginesu, albo są nieuleczalnie chorzy i nie mają nic do stracenia, albo też to zwykli przestępcy, którym doskwiera brak pieniędzy. Chałturnicy.

- Nasz chyba nie jest chałturnikiem. Abascał twierdzi, że to rzetelny zawodowiec.

- W takim razie na moich konfidentów nie mamy co liczyć. Niech się pani nie kłopotce, przesłucham tych dwóch z kartki.

- Nie trzeba, sama to zrobię.

- To może być niebezpieczne. Każdy konfident to potencjalnie podwójny agent.

Przez chwilę uśmiechałam się do niego, aż wreszcie stracił pewność siebie.

- Co się dzieje? - spytał w końcu.

- Jak brzmi niepisana umowa, Fermin? Że ty załatwiasz sprawy niebezpieczne, a ja umiarkowanie niebezpieczne?

- Nie, skądże, pani inspektor. Ja tylko chciałem być dżentelmeński.

- Tak mi się wydawało.

Spoglądał na mnie z niechęcią. Miał rację w tym momencie, myśląc, że nie zasłużył na taką przełożoną jak ja.

To prawda, pojawienie się płatnego zabójcy na widnokręgu poważnie mnie zaniepokoiło. Moje doświadczenie w policji tak daleko nie sięgało. Było niemal tyle warte co puszenie się pawia. A jednak przyznać się Garzonowi do tego, co mnie uwiera, oznaczało ipso facto oddać się mu pod opiekę, a na to nie mogłam się zgodzić. Garzon w wersji paternalistycznej był nie do zniesienia. Musiałabym zachowywać ostrożną równowagę i nie przyjmować żadnej odpowiedzialności bez uprzedniego doinformowania. Na domiar złego raport z analizy terminarza Valdesa nie rzucił ani odrobiny dodatkowego światła. Zanotowane tam numery telefonów były zwykłymi kontaktami zawodowymi oraz osobistymi typu dentysta. Facet specjalnie pozostawił za sobą jedynie ślady w powietrzu.

Pismo barcelońskie, w którym pracował Valdes, nie należało właściwie do plotkarskich szmatławców. Oficjalnie określało się jako „aktualności dla kobiet” i nosiło tytuł „Mujer Moderna” (Nowoczesna Kobieta). Przejrzałam je skwapliwie przed pojawieniem się w redakcji, ale nie znalazłam tam niczego, co mogłoby uchodzić za „aktualność”. Nie przesadzam, wszystko, co tam figurowało, mogłoby uchodzić za aktualność nawet w starożytnym Egipcie. Moda, makijaż, fryzury, wystrój

wnętrz, przepisy kulinarne i parę ploteczek ze świata show-biznesu, wyższych sfer i finansjery. W tym ostatnim dziale pojawiała się rubryka Valdesa. Przeczytałam, co tam było, nie spodziewając się żadnych rewelacji. I słusznie. Valdes pisał o prezyderach telewizyjnych, których nazwisk w życiu nie słyszałam, oraz o śpiewakach i tancerkach, dla mnie równie anonimowych. Coś jednak zabrzmiało tu znajomo: ten sam zjadliwy, bezczelny i lekceważący styl jego prozy. Nie zrozumiałam tylko, co on robi w takim miejscu. Dlaczego pani, która chce się dowiedzieć, co poradzić na cellulitis albo co włożyć na proszoną kolację, albo jak przyrządzić solę - dlaczego miałyby chcieć się nużyć w takich pomyjach? Zasadniczo całe czasopismo prezentowało się niezwykle łagodnie, bez cienia agresji. Jaki logiczny związek łączył informację o modnych zasłonkach do salonu z donosem o rozpadzie małżeństwa w środowisku teatralnym? Nagle kolejne takie z głupia frant zadane pytanie kazało mi się cofnąć o parę stron. Odszukałam strony poświęcone wystrojowi wnętrz. No i znalazłam: redagowała je kobieta, Pepita Lizarran. Jej fotografii nie było. Zaczęłam od razu sprawdzać, czy meble na zdjęciach mają coś wspólnego z tymi, które Valdes kupił sobie do domu. Nie byłam tak oblatana w sztuce dekoratorskiej, żeby móc dostrzec jakieś cechy konkretne. Wszystko wydawało się podobne: zasłonki w dyskretnych kolorach, abstrakcyjne obrazy... Tekst również nie dostarczył mi danych na temat osobowości autorki. Mogła być dziewczyną, kobietą w średnim wieku albo dojrzałą panią. O fotelu w kolorze ciemnej butelki pisała: „Jakość tapicerki wespół z formą, pomyślaną specjalnie dla wygody, zapewnią nam długie godziny lektury i wypoczynku. To rozkosz na czterech nóżkach”. Kurwa! Czy w ogóle można przemycić choćby drobny szczegół o sobie, pisząc na temat fotela? Gdyby mnie zaproponowali napisanie tych paru linijek, jestem przekonana, że też bym pojechała po takich komunałach. Zastanawiające, co zrobiłaby Pepita Lizarran, gdyby w następnym numerze miała opisać inny fotel. Ale nie były to pytania, które powinnam sobie stawiać - najwidoczniej za bardzo ponosiły mnie frywolne klimaty tego środowiska. Poszłam poszukać Garrona.

- No, podinspektorze, może byś poszedł ze mną wykonać czynności śledcze w „Mujer Moderna”?

- Jeszcze nie skończyłem szykować preliminarza naszej wyprawy do Madrytu...

- Skończysz później, chcę, żebyś mi tam towarzyszył.

- Z całym szacunkiem, pani inspektor, nie chce pani, żebym był przy pani podczas spotkania z bandziorem, za to do pisma kobiecego to owszem? Nie kapuję.

- Chciałabym, żebyś zobiektywizował mój subiektywizm. Teraz kapujesz?

- Jeszcze mniej.

- Wszystko jedno. Gdybyśmy robili tylko to, co rozumiemy, przesiedzielibyśmy całe życie w fotelu, rozkoszy na czterech nóżkach.

- Co pani rozkaże, pani inspektor! Jakżeby nie?!

Dał się poprowadzić jak niemowlę, przekonany, że lepiej by mu się służyło pod rozkazami Groucho Marxa. Ale z jakiego powodu miałabym zachowywać się logiczniej niż otaczające nas społeczeństwo? Społeczeństwo, w którym tacy Valdesowie najpierw triumfowali, później byli zarzynani, a prasa dostarczała szczegółowych opisów kolejnych foteli?

Redakcja „Mujer Moderna” mieściła się na antresoli budynku przy Diagonal*. Na czele stała kobieta koło czterdziestki, która najwyraźniej postarzała się o kolejne dziesięć lat na wieść, że jesteśmy policjantami. Splendor nie przygotował jej na podobny cios. Natychmiast się zdenerwowała i nie wiedziała, czy ma się przed nami wypląkiwać nad śmiercią Valdesa, jakbyśmy byli jego rodziną, czy też ograniczyć się do postawy powściągliwie profesjonalnej. Na nasze nieszczęście zdecydowała się na to pierwsze, płacząc się w długąnych pochwałach zmarłego, których końca nie było widać. Wreszcie przerwałam jej bez ceregieli.

- Proszę pani, nie mamy wątpliwości, że Valdes był dobrym dziennikarzem i wspaniałym kolegą. Nie zaprzeczy pani jednak, że wielu uważało go za kawał skur... i tak dalej. Zgadza się?

Wyprowadziła swój kruchy stateczek dialektyczny na burzliwe wody.

- Wie pani, pani inspektor, w pewnych zawodach solidne wykonywanie obowiązków spotyka się z nieprzychylną oceną ze strony pozostałych. Na przykład państwo...

- Sugeruje pani, że policjanci też mają opinię skurwieli?

Soczysty rumieniec na jej policzkach wszedł w ostry kontrast z przepiękną białą, jedwabną

* Avinguda Diagonal (katal. aleja Średnicowa) - jedna z głównych alei Barcelony

bluzką. Wybełkotała:

- Pani inspektor, ja...

Garzonowi absolutnie się nie spodobało, że usunęła go na dalszy plan, toteż natychmiast przystąpił do pełnienia obowiązków tłumacza.

- Pani inspektor Delicado twierdzi, że kąśliwy język artykułów redaktora Valdesa mógł, być może, przysporzyć mu paru wrogów. Czy docierały do niego jakieś groźby albo protesty, telefonicznie bądź listownie? Słyszała pani coś o tym?

Zaprzeciżyła zdecydowanym ruchem głowy.

- Miał w redakcji swój komputer?

- Tak, pisał tu artykuły, ale następnie je kasował. Wysoko sobie cenił poufność, wiedzą państwo, jaki był. Jeśli państwo chcą, mogę przegrać jego archiwum na dyskietki, ale jestem przekonana, że nic tam nie ma.

- Może pani dla nas zrobić jeszcze jedno. Czy jest dziś obecna redaktorka działu wewnętrznego?

Spojrzała na mnie, jakby moje pytanie osiągnęło szczyty ekscentryzmu.

- Tak, oczywiście, jest w pracy.

- Możemy z nią chwilę porozmawiać?

Poszła po nią, Garzon tymczasem rzucił się na mnie z subtelnie ironiczną filipiką.

- Pani też chciałaby sobie zmienić salon?

- Sam widzisz, dlatego chciałam, żebyś tu był i sprowadzał mnie z manowców subiektywizmu, jeśli pobłądzą.

- Muszę przyznać, że subiektywizm to ma pani niekiepski.

- To znaczy?

- Trochę brutalnie pani się obeszała z redaktorką.

Ściszyłam głos:

- Wkurwia mnie ta gazetka, Fermin.

- Przecież nawet nie jest plotkarska!

- Wiem, ale... potem ci powiem.

Odgłosy kroków na korytarzu poprzedziły pojawienie się najpierw redaktorki naczelnej, a zaraz za nią Pepity Lizarran. Drobna, ani brzydka, ani ładna, wystraszona... Czy to właśnie jest Kochanka Valdesa, kobieta, która sprawiła, że kamienne serce zmiękło, ta, która miała odmienić jego życie, ta, która już zdążyła urządzić mu salon? Szczerze mówiąc, nie potrafiłam odgadnąć na pierwszy rzut oka. Pozornie nie wyglądała na dziewczynę, dla której chciałoby się zmienić cokolwiek, choćby wodę w wazonie. Ale też i Valdes nie był zwykłym człowiekiem; w tej zasuszonej musze mógł odnaleźć idealny kontrpunkt dla swojego ryzykownego trybu życia. Jej zachowanie też nie zdradzało niczego podejrzanego. Miała minę typową dla kogoś, komu niedawno zamordowano kolegę z pracy.

Stwierdziłam, że naczelna zamierza być obecna przy dalszym przesłuchaniu, dlatego pożegnałam ją bez podania powodu. Zrozumiała, poszła sobie.

- Pani wybaczy, chcemy tylko zadać kilka pytań na temat pani kolegi, pana Valdesa.

- Słucham.

Głosik miała drżący, a w okrągłych oczach widać było wieczny strach.

- Utrzymywała pani z panem Valdesem jakieś stosunki pozazawodowe?

- Ależ skąd! Nigdy nie mieliśmy okazji nawet kawy razem wypić, Ernesto krótko tu przesiadywał. Ledwie kończył artykuł, i już go nie było. Co tydzień wyjeżdżał do Madrytu na nagranie programu, pracował bez przerwy.

Zauważyłam, że strasznie się rozgadała po tak prostym pytaniu. Kiepski symptom dla wykrywacza kłamstw.

- Czy, zważywszy na pani orientację w tej materii, pomagała mu pani przy urządzaniu salonu?

- Ja? Nie, nie prosił mnie o to.

- Gdzie pani była dwudziestego trzeciego o dziewiątej wieczorem?

- Na zjeździe dekoratorów w hotelu „Majestic”. Zbierałam materiały dla pisma.

- Oczywiście może to pani udowodnić.

- Tak, miałam akredytację prasową i dysponuję zrobionymi podczas zjazdu zdjęciami, na których jestem w towarzystwie paru kolegów.

Po powrocie do samochodu Garzon stwierdził, że Lizarran ma doskonałe alibi. Poza tym uznał, że nie miałyby powodu kłamać na temat relacji z Valdesem. Mogłaby przecież spokojnie przyznać, że udzieliła koledze pomocy w kwestii wystroju mieszkania.

- Mowy nie ma! To by świadczyło, że była u niego w domu, że pewnie zna zabójcę... to oznaczałoby problemy.

- Ale dlaczego zaprzeczać czemuś czy też potwierdzać coś, co z powodzeniem możemy sprawdzić, sami rozpytując wśród innych dziennikarzy, którzy z nimi współpracowali?

- O ile się mogę zorientować, utrzymywali swój związek w sekrecie. Wielu pewnie próbowało wściubić nos w życie prywatne takiego faceta.

- Pani inspektor, zostałem tu wezwany, żeby pohamować panią w razie przekroczenia granic dopuszczalnego subiektywizmu. I właśnie panią hamuję.

- Jako obiektywny dowód mogę przedstawić frędzelek.

Przestał badać wzrokiem sytuację na jezdni i spojrzął na mnie, jakbym wypuściła gołębia z rękawa.

- O co chodzi, jaki frędzelek?

Zaszeleściłam mu przy uchu kartkami „Mujer Moderna”.

- Na zdjęciach w rubryce o wnętrzach wszystko jest udekorowane frędzelkami w kolorze cynamonowym: zasłonki, tapicerka foteli, kapy... A wiesz, co za zbieg okoliczności? Salon Valdesa też był pełen frędzelków.

- Kurwa, pewnie są modne!

- Panie podinspektorze, pan się zupełnie nie znasz ani na modzie, ani na wystroju wnętrz!

- Nie znam się absolutnie na niczym, zgoda. Nie znam też powodów, dla których ma pani obsesję na punkcie tego pisma.

- Już ci usiłowałam wytłumaczyć. Uważam, że takie pisma są jeszcze gorsze od plotkarskich. W końcu afery sławnych ludzi to temat bardzo ogólny, tu zaś propagują prawdziwe niewolnictwo kobiet.

Skorzystałam z postoju na światłach i pokazałam mu parę stron.

- Poczytaj sobie, proszę. Dział urody: dbaj o swoją skórę, stosując odpowiednie kremy. Masz cały wybór: oczyszczający, na rano, na noc, na słońce, na po słońcu, pod oczy, do ust, do peelingu, do ciała, na piersi. Dział zdrowia: zdrowe diety na odchudzanie, na niezbyt błyszczące włosy, na wzmocnienie paznokci. Ćwiczenia gimnastyczne na każdy dzień. Sesje w solarium. Możliwość zabiegów w zakresie chirurgii plastycznej: powieki, odsysanie tłuszczu, powiększanie albo zmniejszanie biustu, powiększanie warg. Dział kuchni: jadłospis pozwalający twojej rodzinie jadać codziennie co innego. Dział wnętrz: bądź modna. Sama możesz zmienić tapetę.

Już od dłuższego czasu znowu jechaliśmy.

- Mam mówić dalej?

Podinspektor potrząsnął głową i popadł w głębokie milczenie. Doszłam do wniosku, że rozmyśla, podsunęłam mu więc drobną konkluzję własną, żeby sprawdzić, czy kombinujemy podobnie.

- Uważasz, że kobieta jest w stanie przejmować się wszystkimi tymi rzeczami naraz? Uważasz, że miałyby odrobinę miejsca w głowie albo w rozkładzie dnia na coś naprawdę interesującego czy choćby na jakies przyjemności?

Dalej nic nie mówił. Już miałam kontynuować przemowę, która przemieniła się w dosyć dogmatyczną tyradę, kiedy nagle mruknął:

- Faceci też czytają prasę sportową.

- I?

- Jak zaczynasz się pasjonować ustawieniem drużyny, zmianami trenerów, punktami w rozgrywkach ligowych, wypowiedziami graczy i tym podobnymi idiotyzmami, też możesz ująć za półgłówka.

- Świetnie, wreszcie pod wieczór zaczynamy się zgadzać przynajmniej w jednej kwestii! Odwieszysz mnie do domu, Fermin? Na dzisiaj dosyć.

- A frędzelki?

- Jak to?

- Co pani chce zrobić z Pepitą Lizarran?

- Postaramy się, żeby Mallofre ją zidentyfikował.

- Co?! A jak, u diabła, pani zamierza tego dokonać?

- Coś wymyślę. Nie mam teraz czasu się nad tym zastanawiać, muszę zdecydować, jakiego kremu użyję przed włożeniem piżamy.

Zobaczyłam, że w kuchni się pali, zanim weszłam do domu. Czyżbym zapomniała o Aman-dzie? Wykluczone. Pamiętałam doskonale, że zawiadomiła mnie o swoim przyjeździe, zaplanowa-łam też wypad na kolację do pobliskiej knajpy. Zawołałam ją natychmiast, jak tylko przekroczyłam próg. Pojawiła się i gdy stanęła przede mną, zrozumiałam, że jej rysy zatarły mi się w pamięci od ostatniego spotkania. To było dziwne odczucie, jakby pełnia szczęścia, przekonanie, że po długich miesiącach przerwy znów mogę się cieszyć jej wspianą bliskością.

Objęłyśmy się ze śmiechem na środku przedpokoju, uradowane faktem, że jesteśmy siostrami. I wtedy, ni stąd, ni zowąd, zdałam sobie sprawę, że Amanda przeszła niepostrzeżenie od śmiechu do płaczu.

3

Zrobiłam jej herbaty. To taki sposób na pocieszenie, który z niewiadomych mi powodów dzia-ła wśród Anglików. Siadłyśmy przy stole w kuchni, żeby porozmawiać. Amanda usiłowała się uspokoić, ocierając łzy z oczu.

- Chodzi o Enrique. - Początek był klasyczny. - Ma romans z pielęgniarką i pewnie odejdzie.

- Dokąd?

- Petra, tak się mówi! Po prostu najprawdopodobniej zamieszkają razem, Enrique mnie opuści.

- Tak ci powiedział?

- Rozmawialiśmy. On za nią szaleje, tak się wyraził. Nie wie, jak będzie w przyszłości, ale ja jestem pewna, że odejdzie.

- Już rozumiem.

- Tamta jest ode mnie dużo młodsza.

- Znasz ją?

- Może widziałam ją kiedyś w szpitalu, ale nie wiem, która to.

- Żonaty lekarz, który się zakochuje w młodej pielęgniarence, to znany motyw, co?

- Chyba te historie zawsze wyglądają podobnie.

- Możesz być pewna. Co zamierzasz?

- Na razie przyjechałam do ciebie, żeby wszystko przemyśleć. Zostawiłam go samego z dzieć-mi. Doskonale dadzą sobie radę pod moją nieobecność.

Wpatrywała się we mnie bacznie, niewątpliwie oczekując jakiejś bardziej konkretnej reakcji z mojej strony. Wreszcie westchnęła melancholijnie i oznajmiła:

- Życie jest do dupy.

- Pieprzone życie, fakt. Jemu też chcesz dać czas do namysłu?

- Nie wiem, czego chcę, nawet nie mogłam się nad tym spokojnie zastanowić.

- Ja bym ci radziła poszukać jakiejś pracy.

W jej głosie dosłyszałam coś między oburzeniem a niedowierzaniem.

- Petra, doceniam twój zmysł praktyczny, ale ja, zanim cokolwiek zrobię, przede wszystkim chciałabym zrozumieć.

- Zrozumieć co?

- Postępowanie mojego męża.

- Amanda, miłość nie podlega analizie, albo się ją odczuwa, albo nie. I raczej nie ma tu udziału żaden czynnik racjonalny.

Odstawiła filiżankę na stół z nieco większym impetem, niż się przyjęło wśród ludzi.

- Czynnik racjonalny! Ładnieś to nazwała! Ten zimny styl zawdzięczasz pewnie policji?

- Amanda, ja mówię o...

- Powiedz mi, czy widzisz jakiś czynnik racjonalny w tym, że spędziliśmy ze sobą tyle lat, że mamy dwoje dzieci, że dla niego rzuciłam studia!

- No, zgoda, nieszczęśliwie się wyraziłam, ale w gruncie rzeczy chodzi o to samo: Enrique nie zdoła podać ci dobrych powodów, które byś zaakceptowała, bo po prostu ich nie znajdzie.

- Co takiego cenią mężczyźni? Na pewno wiesz, byłaś dwukrotnie zamężna. Jak funkcjonują te ptasie mózdzki?

Siły ze mnie opadły i poczułam, jak mięśnie mi ciężą. W krótkim czasie to samo pytanie. Mężczyźni i kobiety. Nieuprawnione uogólnienia. Pragnienie maksymalnej depersonalizacji bólu po to, by móc się nim podzielić w odwiecznej wspólnotce płci. Czemu tu się dziwić? Może tylko temu, że ktoś uznaje mnie za specjalistkę w tej materii, mimo że w moim dossier są same klęski. Bo czyż rozwód nie jest następstwem przegranego małżeństwa? Co ja mogę wiedzieć o perypetiach kolejnych pokoleń Adama i Ewy po wygnaniu z raju? Aczkolwiek z drugiej strony zapewne nikt nie oczekiwał, że coś odpowiem, widzieli we mnie tylko cierpliwą i miłą słuchaczkę.

- Mężczyźni są strasznymi egoistami - zdołałam wyrzucić z siebie nad wyraz banalną uwagę.

- Enrique był idealnym mężem.

- To w takim razie...

- W takim razie...?

- W takim razie puść go wolno i nie miej żalu.

Znów zaczęła płakać z goryczą, której aż się przestraszyłam. Łzy spadały jej cicho prosto na sweter. Pomyślałam, że gdyby ludzie potrafili uniknąć zawodów miłosnych, byłiby wszechpotężną rasą. Tu się nie sprawdza żadna pociecha. Przecież ona sama nie wiedziała, z czego się bierze jej rozpacz: z cierpienia po stracie, ze strachu przed przyszłością, ze zranionego ego, z publicznego upokorzenia, z rozczarowania, z poczucia marnotrawionego czasu... Po upływie kilku lat podobna mieszanka zostałaby uznana za doświadczenie życiowe i Amanda mogłaby ją zaliczyć na swoją korzyść. Czy jej ulży, jeśli to powiem? Nie, z pewnością ryzykowałabym błyskawiczny cios czajniczką w głowę. Poza tym nie byłam przekonana, czy wiedza i doświadczenie mają ze sobą cokolwiek wspólnego. Może lepiej ślęczyć nad książkami, medytować o absolicie, zamiast potykać się na wyboistej drodze egzystencji? Czy tak zwane doświadczenie nie odejmuje nam władzy sądenia?

Nalałam nam jeszcze po filiżance. Moja siostra płacze jak bóbr, a ja mam w głowie tylko dywagacje filozoficzne. Czego można się w takiej sytuacji po mnie spodziewać? Nie było potrzeby udawać, każdy jest, jaki jest, zwróciłam się więc do Amandy z pytaniem:

- Uważasz, że uczucia stanowią część powszechnego poznania?

Znów się zaśmiała, nie przestając szlochać.

- Petra, na miłość boską, w ten sposób rozwiązujesz zagadki kryminalne? Kiedy trafiasz w kostnicę na faceta z wyprutymi bebechami, to też go przepytujesz z bytu i niebytu?

Teraz i ja wybuchnęłam śmiechem.

- Zdarza się. Co strasznie wkurza mojego partnera, niejakiego Garzona.

- Współczuję mu.

Obydwu nam wpajano od dzieciństwa poczucie humoru. Nie ma wspanialszego dziedzictwa. Skorzystałam z tej uchylonej furki, by Amanda wreszcie się otworzyła, przynajmniej tej nocy.

- A właśnie, prowadzę sprawę, która przybliżyła mnie do problemu rozkoszy bycia kobietą.

- Cudownie, potrafię dać im świadectwo!

- Świetnie, opowiem ci wszystko, do czego nie zobowiązuje mnie tajemnica śledztwa. Ale na razie posłuchaj, co zrobimy. Jutro po południu wezmę wolne i pójdziemy doświadczyć tych rzeczy, których teoretycznie nienawidzę, a które w rzeczywistości może wcale nie są takie złe.

- Masz wobec mnie jakieś zamiary?

- Każemy sobie zrobić masaż relaksujący, drenujący i tym podobne. Potem peeling. Następnie fryzjer. Makijaż, manikiur, pedikiur i solarium. A po wszystkim postaramy się przedrzeć przez tłum wielbicieli oszalałych na punkcie naszej urody i udamy się na kolację.

- Tyle zachodu, żeby wylądować u Chińczyka?

- U Chińczyka, mówisz? U Chińczyka? Kochana, zaprowadzę cię do restauracji, gdzie podają rzeczy niewiarygodne: afrodyzjaki, miód pitny i zakąski z manny.

- Będą potrafili usmażyć mi dobry befsztyk?

- Podadzą ci nawet zrumienione żebro Adama.

- W takim razie nie rękę, że nie stanie mi w gardle.

Zaśmiałyśmy się serdecznie i nie czekając, aż śmiech znów zmieni się w płacz, poszłyśmy przygotować pokój i łóżko.

Świt następnego ranka był dla mnie jak cios między oczy, ale jeśli istotnie miałam wziąć wolne popołudnie na rzecz siostry, musiałam pokornie usłuchać budzika. Do komisariatu dotarłam w porze, która wydała mi się środkiem nocy. Zapytałam o wiadomości, wzięłam adresy zostawione przez Abascala i wyleciałam galopem, zanim ktokolwiek stanął mi na drodze. Musiałam mieć jasny umysł. Nigdy mnie nie uczono, jak należy się obchodzić z konfidentami, zanosilo się więc na to, że będę zmuszona sięgnąć do niezgłęzionych arkanów improwizacji.

Pierwszy adres od Abascala zaprowadził mnie do baru. Konfident nazywał się Francisco Pazos. Spytałam o niego właścicielkę, na co usłyszałam, że facet zazwyczaj przychodzi na śniadanie koło dziesiątej. Czyli mogłam jeszcze parę godzin pospać - pomyślałam i opadłam ciężko na stół jak dziwka po pracowitej nocy. Właścicielka coś musiała zauważyć, bo zwróciła się do mnie bez ceregieli.

- Chcesz kawy? Nie możesz tu siedzieć bez zamówienia.

- Tak, jasne, kawy i rogalika.

Westchnęła ciężko i pokręciła głową. Niewątpliwie współczuła mi pogmatwanego życia. Przejrzałam się w poobijanym lustrze zdobiącym ladę. Naprawdę wyglądam jak prostytutka? Tafla z odrazą odbiła moją nieporządną podobiznę. Włosy miałam w nieładzie, na sobie czarny sweter jak po dziadku, a znamion katastrofy dopełniał płaszcz, też już nie pierwszej młodości. No, jeśli nadal będę obojętna na swój fatalny wizerunek, w końcu wyląduję na dwadzieścia cztery godziny w komisariacie pod zarzutem żebractwa. Żadna prostytutka nie śmiałyby wyjść na ulicę w takim stanie. W głębi duszy nawet było zabawne odgrywać kobietę z marginesu. Czy mogłabym też uchodzić za ćpunkę w średnim wieku? Kiedy dostałam kawę, naszła mnie ochota na występ. Przywołałam na twarz wyraz kompletnego zmęczenia, oparłam się łokciem o blat i westchnęłam niemal prosto w filiżankę. Barmanka przyjrzała mi się i wreszcie rzekła:

- Kiepska noc, nie?

- Fatalna - odparłam zachęcająco.

- Spędzać tu noce to tylko dla odważnych, serio. Często sobie myślę o was i o tym waszym podłym życiu. Nie ma naprawdę innych sposobów na zarobek?

- Może i są - zaryzykowałam.

- Tylko za bardzo trzeba zapieprzać, co?

Rzuciłam jakiś dowcip, nie chcąc zabrnąć w tym qui pro quo za daleko. Umoczyłam rogalik w kawie i zaczęłam błagać niebiosa, żeby tamta wreszcie się odczepiła. Żarty się skończyły. Niebiosa jednak mnie nie wysłuchały i zaraz usłyszałam następne pytanie:

- Dzieci masz?

- Nie.

- I tak lepiej. Najgorzej to jak niewinne istoty muszą płacić za naszą nędzę.

Rozważałam, czy nie posłać jej do wszystkich diabłów i nie poprosić wprost, by dała mi spokój. W tym momencie jednak rozmowa obrała kurs nieprzewidywalny.

- Niedawno odeszła dziewczyna, która pomagała tu w kuchni. Podobno znalazła coś lepszego. Jej sprawa. W każdym razie zostałam bez żadnej pomocy. Z rana i pod wieczór jeszcze daję radę, ale w południe przyłazi sporo klientów na obiad. Trzeba dla nich poprzedniego dnia przygotować ziemniaki i warzywa, już obrane, a jako że jestem trochę nerwowa...

Z pewnym opóźnieniem zdałam sobie sprawę, że kobieta, ni stąd, ni zowąd, proponuje mi pracę.

- Jakbyś chciała zostać... Nie mogę dużo zapłacić, ale wyżyć się da, jeżeli nie masz wygórowanych potrzeb.

Wpatrywałam się w nią z przestrawieniem. Prawie się zakrztusiłam.

W tym momencie pojawił się jakiś typek o szubienicznym image'u, który wszelako wyglądał mi na prawdziwego zbawcę. Tamta przerwała i wskazując na przybyłego ze wzgardą, rzuciła:

- Pytałaś o niego.

Zwróciłam się w stronę człowieka, zidentyfikowanego jako Francisco Pazos, i biorąc swoją filiżankę, dałam mu znak głową, żeby usiadł ze mną przy stoliku. Tylko tego brakowało, żeby właścicielka podsłuchiwała teraz naszą rozmowę.

Jak można się było spodziewać, koleś zapytał:

- Kim pani jest?

A ja, usadowiona wraz z kawą poza zasięgiem słuchu mojej dobrodziejki, odrzekłam:

- Jestem Petra Delicado, inspektor policji.

Facet siadał z miną nieco obrażoną, ale na dźwięk moich słów aż podskoczył, nawet dość zabawnie, i wrzasnął:

- Co? Ja pierdzielę! Czego tu pani, u kurwy nędzy, szuka?

Kobieta natychmiast wystrzeliła zza baru.

- Miarkuj się, Pazos, u mnie żadnych takich! Ani mru-mru, bo wiesz, że zawołać policję to nic nie kosztuje, jasne?

Zniżył głos, patrząc na mnie z wyrazem beznadziei.

- Co się stało, że się tu spotykamy?

- A zna pan lepsze miejsce?

Westchnął, jakby miał do czynienia z najbardziej tępym uczniem w klasie, i natychmiast w jego oczach pojawiło się przerażenie.

- Ma pani samochód?

- Na parkingu przy ulicy Comerc.

- Pani idzie, ja za panią.

Zapłaciłam rachunek, czując na sobie wścibski wzrok właścicielki. Już miałam otworzyć drzwi, gdy tamta rzuciła:

- Słuchaj, pomyśl o tym, co mówiłam! Przynajmniej nie będziesz się musiała męczyć z takimi jak on. Może będzie ci lepiej w życiu!

- Pomyślę - odparłam półgębkiem.

I usłyszałam, jak woła za mną zrezygnowanym głosem:

- Akurat, pomyślisz...!

Szłam ulicą, co chwila ostrożnie się oglądając. Pazos kroczył za moimi plecami. Kiedy tylko znalazłam się w wozie, natychmiast otworzył drugie drzwi i siadł obok mnie. Był oburzony.

- Tyle razy mówiłem komisarzowi, że jak nie będziecie uważać, to koniec z raportami! Kto to słyszał, żeby przyłączyć do baru, gdzie zawsze jem śniadanie?!

Najwidoczniej popełniłam gafę, i to taką, że mogłam już tylko zdyskontować własny błąd. Przybrałam grobowy ton, który nawet mnie samej wydał się nie z tej ziemi.

- Przestań pieprzyć, Pazos. Przychodząc do baru, chciałam odświeżyć ci pamięć na wypadek, gdyby coś szwankowało.

Wcale się nie wystraszył. Raczej zdumiał.

- Co? A kim pani jest, do cholery? Policja nigdy tak ze mną nie gada.

- Przykro mi, taki mam styl i nie będę go zmieniać w trosce o twoją wrażliwość.

Z oburzeniem pokręcił głową.

- Czego pani, kurwa, chce?

- Ernesto Valdes, dziennikarz, został załatwiony przez zawodowca. Uważamy, że możesz wiedzieć, kto to zrobił.

Zaśmiał się sztucznie, wypełniając rechotem cały samochód.

- O, w dupę! Mam pani podać nazwisko, czy woli pani faksem do komisariatu?

- Wcale mnie to nie śmieszy - burknęłam.

- Posłucha pani, ja o zamordowaniu tego Valdesa nie wiem nic a nic. Wie pani, ile kosztuje się wywiedzieć, kto zrobił fachową robotę?

- Zapłacimy ci więcej niż normalnie.

- Nie o to chodzi, tylko o to, że ja nic nie wiem. To nie tak jak w szkole, kiedy pani pyta dzieci. Po prostu nie wiem, dotarło to już do pani?

Nie mogłam znieść, że ktoś mi tu podskakuje tylko dlatego, że przyłapał mnie na braku doświadczenia. Wyciągnęłam pistolet i przytknęłam mu do genitaliów. Aż zeszytniał zaskoczony, przywierając plecami do oparcia.

- Słuchaj, wujek, ja nie jestem żadna pani w klasie, ale może czegoś cię nauczę. Albo mi zaraz powiesz wszystko, co wiesz, albo ten mały flaczek odfrunie ci w cholerę.

- Policja nigdy mi...

- Skończ tę nawijkę! W tej chwili to ja jestem policja. A jeśli cię to nie przekonuje, zaraz ci mogę udowodnić. Będę łązić za tobą wszędzie, Pazos, w mundurze. Sam widziałeś, że niewiele mnie kosztuje, żeby się ujawnić. Będę łązić za tobą, będę czekać pod twoimi drzwiami. Będę cię wytykać palcem. I jeśli w ciągu paru dni nikt cię nie zabije, to ja sama cię wykastruję, jak mi Bóg

miły.

Zaczął oblewać go pot. Najwidoczniej dotarło do niego, że nietykalność osobista konfidenta jest poważnie zagrożona wobec mojego ataku szału.

- Przepraszam, pani inspektor, naprawdę przepraszam. Nie chciałem pani obrazić, jak pragnę zdrowia. Ale przysięgam, że nie znam faceta, który załatwił Valdesa.

- Powiedz mi, co się gada na mieście.

- Niedawno Higinio Fuentes coś mówił, ale pewnie też od kogoś tam usłyszał.

- Co?

- Nic takiego. Że gliny łatwo tej sprawy nie rozgryzą, coś w tym rodzaju. Sama pani widzi, że niewiele. Pani z nim pogada.

Schowałam broń. Westchnął głęboko. Już nie śmiał mi się tu buntować, ale wciąż patrzył na mnie jak na wariatkę.

- Nie wiem, co za giez panią ukąsił, pani inspektor. Nie ma pani powodu mnie tak traktować, ja jestem dobry współpracownik.

- Czym się zajmujesz, jak nie współpracujesz?

- No, tym i owym.

- Jesteś stręczycielem, prawda?

- Mam kilka dziewczynek i jakoś sobie radzę.

- Nie wiem, Pazos, co mnie w tobie bardziej brzydzi, czy to, że jesteś alfonsem, czy że szpiclem. Nieważne, brzydzę się. Już cię tu nie ma! I, jak mówiłam, jeżeli się dowiem, że coś wiesz, a nie piśniesz słówka, odwiedzę cię w mundurze. W mundurze mi do twarzy.

Dał drapak jak niepyszny, pewien, że w Korpusie Policyjnym coś przestało działać jak należy. Podejrzywałam, że trochę przeholowałam, ale cały numer wcale, wcale mi się spodobał. Po tym, jak właścicielka baru wyraziła mi swoje współczucie, poczułam się naprawdę dowartościowana. Tak, praca na ulicy absolutnie nie jest żadną gratką, zwłaszcza gdy jesteś pod opieką aniołków w rodzaju Pazosa.

Sprawdziłam, że Higinio Fuentes to kolejne nazwisko na liście Abascala. Czyli jestem na dobrym tropie. Zadzwoiłam pod numer Fuentesa i umówiłam się z nim na następny dzień w barze w Miasteczku Olimpijskim. Nieźle, tropienie zawodowych morderców okazało się nie tak trudną sprawą. Trzeba się tylko porządnie wściec i rzucić do gardła odpowiedniej osobie. Mimo wszystko miałam świadomość, że zapowiadane trudności to nie kwestia pesymistycznego nastawienia czy nadmiaru wyobraźni. Na pewno łatwo tej historii nie rozgryzę.

Przed południem spotkałam się z Garzonem. Opowiedziałam mu o swoich postępach w rozmowach z konfidentami, starannie unikając szczegółów, które mogłyby mnie odbrzązować. Chociaż, prawdę mówiąc, zaraz po przyjeździe do komisariatu pobiegłam do toalety. Chciałam się uczesać i trochę upiększyć, żeby zniwelować przygnębiające wrażenie, jakie pewnie wywierałam. Pracując nad wizerunkiem, doszłam do wniosku, że okoliczności śledztwa wpływają na jego uczestników.

Garzon zapytał mnie, co, u diabła, mam zamiar zrobić z Pepitą Lizarran.

- Zadzwoń do niej, żeby stawiała się w komisariacie.

- Po co?

- I zadzwoń też po Mallofre.

- Ale, pani inspektor, w ten sposób kładziemy całą dyskrecję. Myślałem, że pani ją chce śledzić na wypadek, gdyby okazała się tą, za którą ją pani bierze. Może zaprowadziłaby nas pod jakiś interesujący adres.

- Nie jojcz mi tu, Fermin. Szkoda czasu na tę zdechłą muchę. Ściągamy ją tu, naciskamy i spokój. Jeśli naprawdę coś ją łączyło z Valdesem, a ona to ukrywa, będzie się musiała wytłumaczyć. A jeżeli robi to nieudolnie, postara się lepiej przed sądem. Trzeba naciskać. Wtedy wyśpiewa.

- No, nie wiem, pani sprawa. Mnie tam teoria frędzelków jakoś nie trafia do przekonania.

- Bo jesteś człowiekiem malej wiary, a poza tym lubisz mnie podkurwiać.

- Coś pani strasznie dziś ostra.

- Odkąd mam się spotykać z konfidentami i zabójcami, zmieniłam ton. Wiesz, że zaproponowano mi pracę podkuchennej w nędznym barze?

- Fantastycznie! Bierze pani?

- Rzucę okiem na szefa kuchni i jak będzie mniejszą piłą niż ty...

- Niech mi pani da znać. Przyjdę na ziemniaki w ostrym sosie, na pewno będą niezapomniane.

Uwielbiał tę szermierkę słowną przed codzienną bieżączką, bo dzięki temu wyostrzał sobie intelekt i zwiększał motywację do pracy. Nagle zwrócił się do mnie, jakby doświadczył zwątpienia religijnego.

- Kogo umówić najpierw, Lizarran czy Mallofre?

- Obydwoje naraz. Niech się nie widzą przed wejściem. Najpierw wpuścisz ją, potem dekoratora.

- Lubi pani afery, pani inspektor.

Pośród gatunków mieszczących się między wodewilem a tragedią klasyczną znajdował się też jeden, należący do poślednich, ale stanowiący moją codzienność: kronika. Włączyłam komputer i wzięłam się do szczegółowego raportu o tym, co się wydarzyło od świtu. To jeden z najbardziej uciążliwych obowiązków - zwłaszcza ze względu na konieczność przełożenia wydarzeń na język urzędowy. Nigdy nie byłam w stanie się przyzwyczaić, że dla policji „rzut oka” to „wizja lokalna”. Nie mówiąc już o zwrotach typu „stawić się osobiście”, „wykonać czynności” albo „zastosować działania”. Z początku opierałam się używaniu tych stereotypowych form, ale gdy się zorientowałam, że nikt za mnie raportu dziennego nie zredaguje, dałam sobie spokój z kulturą języka i zaczęłam to robić na odwal się. „Osobnik stawił się osobiście, uniemożliwiając organom wykonanie czynności” - i do diabła z pięknym stylem!

- Jak ci wiadomo, wodewil to moja pasja.

Godzinę później, kiedy zbliżałam się już do końca ślicznego biurokratycznego zakalca, Garzon uchylił drzwi, wsunął ostrożnie głowę w szparę i zaanonsował:

- Pani inspektor, przyszła panna Lizarran.

Pepita Lizarran, równie afektowana i niepozorna jak poprzednim razem, weszła do gabinetu, nawet nie próbując ukryć przerażenia. Jeśli to prawda, że psy atakują tego, kto wyraźnie się boi, to pierwszy lepszy brytan zeżarłby tę muchę razem ze szpikiem. Przyszła ubrana na bladobeżowo, a podłużne okulary dodatkowo odbierały jej resztki wdzięku. Z trudem powstrzymałam się przed uśmiechem i innymi oznakami uprzejmości.

- Proszę siadać - powiedziałam niemal rozkazującym tonem.

Garzon, ze szczyptą ironii tak subtelnej, że tylko moje wyczulone ucho mogło ją odnotować, zapytał:

- Czy życzy sobie pani, bym pozostał?

- Nie, proszę wracać do siebie i czekać na dalsze polecenia.

Tak nieprzejednana odpowiedź sparaliżowała kompletnie znawczynię frędzelków. Patrzyła na mnie z rozpaczliwą nadzieją, że wszystko minie raz-dwa.

- Proszę mi wybaczyć, że drugi raz panią niepokoję, ale muszę potwierdzić pani zeznanie złożone w redakcji.

- Tak - odparła wątłym głosem.

- Podtrzymuje pani oświadczenie, że nie łączył panią ze zmarłym Ernestem Valdesem żaden związek uczuciowy, choćby przyjacielski?

- Ja... - otworzyła usta, jakby szukała powietrza i jakichś kategoriycznych słów.

Nie dałam jej skończyć.

- Nie była pani ani jego przyjaciółką, ani kochanką, tak mam to rozumieć?

- Właśnie.

- Nie świadczyła mu pani także żadnych usług w zakresie doradztwa?

Wbrew moim oczekiwaniom odrzekła stanowczo:

- Nie, nigdy.

Niby zdechła, a jeszcze podryguje. Czyżbym się myliła co do jej braku zdecydowania? Podniosłam słuchawkę.

- Panie inspektorze, czy wszystko tam gotowe?

Garzon odpowiedział:

- Wszystko jak trzeba.

- Oczekuję pana u siebie.

Nie patrzyłam na nią. Jęłam przeglądać papiery, jakby niecierpiąca zwłoki sprawa wymagała z mojej strony totalnej uwagi. W powietrzu czuć było napięcie, ale kobietka zachowywała milczenie. Wytrzymała bestia. Chwilę później zjawił się mój podwładny w towarzystwie Mallofre. Wskaza-

łam mu wolne krzesło obok panny Pepity. Przez moment miałam wrażenie, że nic z tego, bo początkowo żadne z nich nie zdradzało oznak, jakoby się znali. Dopiero po sekundzie w oczach dekoratora dostrzegłam iskierkę domyślności, a w jej oczach - śmiercionośną błyskawicę. Przybyły, nie wiedząc, jak się powinien znaleźć, po prostu się z nią przywitał.

- Witam, co u pani słychać?

Pepicie Lizarran nie pozostało nic innego, jak skinąć głową. Wszystko zaczyna się układać. Nie czekając, co się wydarzy, przejęłam inicjatywę.

- Proszę pana, czy rozpoznaje pan tę panią?

Zdziwił się, jakby nie wiedział, czego się po nim spodziewamy.

- Tak, naturalnie. Bardzo mi przykro z powodu pana Valdesa - zwrócił się do niej jak gdyby nigdy nic.

- Czy może mi pan zdradzić, w jakich okolicznościach poznał pan obecną tu pannę Pepitę Lizarran?

Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że wezwano go właśnie w celu identyfikacji. Mimo wszystko odczuwał dyskomfort, zeznając w obecności delikwentki.

- No, poznaliśmy się w moim studiu. Ta pani przyszła w towarzystwie świętej pamięci pana Valdesa i doradzała mu przy wyborze mebli. Pamięta pani, prawda? - zapytał, chcąc złagodzić brutalność zajścia.

Pepita Lizarran nie uznała za stosowne ani zaprzeczyć, ani nawet się odezwać. Kiwnęła tylko głową.

- Już jest pan wolny, panie Mallofre. Proszę nam wybaczyć, że tak nagle zawracaliśmy panu głowę.

Biedaczyna był najwyraźniej zakłopotany, ale nie krył też zaciekawienia, jakie obudziła w nim naraz osoba, którą miał rozpoznać. Spoglądał z ukosa na Pepitę Lizarran, ryzykując trwały kręcz karku. Podejrzewam, że po wyjściu zadał podinspektorowi parę pytań.

Zostałam z tą kobietą sam na sam. Pod naciskiem mojego spojrzenia spuściła wzrok, nie będąc w stanie znieść napięcia. Nienawidziłam samej siebie za to, że zachowuję się, jakby mi to sprawiało jakąś frajdę. Wcale nie sprawiało.

- Ma mi pani coś do powiedzenia, panno Lizarran?

Wybuchnęła płaczem. Płacz potrafi zrazu przywrócić godność w każdej sytuacji, ale po jakimś czasie każda manifestacja godności może obudzić niecierpliwość.

- Proszę się uspokoić i zacząć mówić. Znajdujemy się w komisariacie.

Chyba mało ją obchodziło, gdzie się znajduje. Płakała jak bóbr. Przeklinałam na samą myśl o tym, że ostatnio wszyscy się uparli uczynić mnie świadkiem swych cierpień. Wyjęła z torebki chusteczkę, wytarła nos, spojrzała w sufit i na koniec wystartowała z opowieścią, której oczekiwałam, z coraz mniejszą zresztą nadzieją. Po pierwszych jej słowach przypomniałam sobie, że poruszamy się w świecie prasy plotkarskiej.

- Pani inspektor, mam spustoszoną duszę. Ernesto był dla mnie wszystkim. Zналиśmy się od dwóch lat i kochaliśmy do szaleństwa.

- Czemu pani ukrywała to przede mną?

- Uzналиśmy, że przez jakiś czas nie będziemy się z tym ujawniać. Na pewno pani wie, że Ernesto miał mnóstwo wrogów. Żadne sprawy osobiste, tylko te łobuzy, których obnażał w swoich programach. Może mi pani wierzyć, że prywatnie Ernesto był mężczyzną wyjątkowym, czułym i delikatnym. No i do tego dochodzi jego była żona.

- Co z byłą żoną?

- Jest zimna, kapryśna, prawdziwa maszynka do wyłudzenia. Chyba obie z córką się umówiły, że go zrujnują, ciągle się domagały coraz więcej pieniędzy, dręczyły, napastowały. Ona nigdy nie pogodziła się z tym, że mąż od niej odszedł.

- Nie sprawiała takiego wrażenia, kiedy ją przesłuchiwałam.

- Niech pani nie wierzy pozorom, pani inspektor.

- Nigdy nie wierzę. Nieważne, nadal nie rozumiem, co to wszystko ma do rzeczy wobec faktu, że postanowiła pani ukrywać prawdę przed policją.

- A co miałam robić? Nikt nie wiedział, że jesteśmy ze sobą, to była nasza głęboka tajemnica. Postanowiliśmy wreszcie się ujawnić i wziąć ślub w przyszłym miesiącu. Kiedy go zamordowali, byłam przerażona.

I znów płacz. Odezwałam się twardo:

- Co mogliby zrobić wrogowie Valdesa na wieść o jego ślubie?

Spojrzała na mnie, jakby nie rozumiała, dlaczego ja nie rozumiem.

- Bardzo by ich to uradowało, pani inspektor. Wyciągnęliby sprawę rozwodu, wywlekli na wierzch jego nieszczęścia, bo przecież cierpiał jak wszyscy ludzie. Dla mnie życie stałoby się nie do zniesienia. Pograżyliby go.

- Czyli coś takiego jak to, co on robił z innymi?

- Jesteśmy tu po to, żeby wydawać na niego wyrok?

Zdechła mucha kąsała ostro, ale miała rację.

- Nie, jesteśmy tu po to, żeby zeznała pani wszystko, co pani wie o zabójstwie.

- Myśli pani, że gdybym coś wiedziała, tobym milczała?

- Niezależnie od wszystkiego, panno Lizarran, pani zadaniem jest odpowiadać na pytania, a nie je zadawać. Proszę mi powiedzieć, z kim pan Valdes utrzymywał kontakty w ostatnich dniach życia.

- Nigdy nie mówił mi o swojej pracy.

- A czy może podejrzewa pani przynajmniej, że zamordował go ktoś, kto ma związek z jego pracą?

- Ernesto nie miał wielu przyjaciół, jego życie osobiste wypełniałam tylko ja. I oczywiście była żona i córka, chociaż prawie się nie widywali.

- Wiem. Ale może coś wspominał, choćby zdawkowo?

- Nie przychodzi mi nic do głowy.

- To niech pani przyjdzie. Dam pani mój numer komórki, proszę natychmiast mnie powiadomić, jak sobie pani cokolwiek przypomni. A na pewno będzie pani musiała tu wrócić, żeby złożyć oficjalne zeznanie i wyjaśnić sędziemu śledczemu, dlaczego ukrywała pani prawdę. Teraz jest pani wolna.

Widziałam w jej oczach, że uznała mnie za osobę potwornie gruboskórną. I nie była daleka od prawdy, bo w tej sprawie znieczuliłam się zupełnie na cierpienia całego gatunku ludzkiego. Może powoli docierało do mnie, że życie uczuciowe jest tylko towarem.

Garzon wsunął do gabinetu swą rumianą twarz, na której malowała się ogromna ciekawość.

- Kochanka - rzuciłam, nim zdążył zapytać.

- A czemu się nie przyznała?

- Ze strachu przed aferą. Nikt nie wiedział, że byli ze sobą.

- A ona coś wie?

- Mówi, że nie, ale wycelowała armaty w stronę pani eks.

- Rywalki. - Wniosek podinspektora był rodem z romansu w odcinkach.

Spoglądaliśmy na siebie bez słowa. W tym duecie wypracowaliśmy tak zgrany i płynny styl porozumiewania, że dość szybko mogliśmy przejść na wydawanie pojedynczych dźwięków bez uszczerbku dla jasności komunikatu. Jak u zwierząt.

- No, w takim razie można pójść na obiad.

- Nie czekaj na mnie. Zjem kanapkę. Jestem umówiona w salonie piękności.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Twój komentarz nie wydaje mi się dowcipny.

- Ale ja nie żartuję!

- Wobec tego przyjmij do wiadomości, że biorę wolne po południu. A wiesz, po co? Otóż po to, żeby rozmasowali mi mięśnie na puszystą masę, żeby pławić się w wonnych piankach, żeby mnie natarli kremem nawilżającym... krótko mówiąc, żeby zrobili ze mnie precudny kwiat.

- Z pani już jest taki kwiat...

- Świetnie, Fermin, ten komentarz był nieco lepszy. Potem idę na kolację z siostrą, która przyjechała do mnie w odwiedziny. Może się przyłączysz?

- Też będę musiał się natrzeć?

- Wystarczy, że zmienisz koszulę.

- Dobrze, niech pani zadzwoni i powie, gdzie panie będą.

- Zgodna. Aha, dziś po południu pracujesz za nas dwoje, mam nadzieję!

Uniósł brwi z istic sokratęjską zadumą filozoficzną. Po co go zaprosiłam? To przecież wykluczało jakąkolwiek intymną rozmowę między moją siostrą a mną. Tak, pewnie właśnie dlatego.

Poza tym Amanda chciała się dowiedzieć czegoś o męskim sposobie myślenia, a ja jej przyprowadzę żywego mężczyznę. Niech sama go zapyta.

Siostra czekała już na mnie przy wejściu do salonu piękności. Dzięki okularom słonecznym nie było widać, że oczy ma zaczerwienione od płaczu. Dlaczego my, kobiety, płaczymy aż do odwodnienia? Naprawdę nie mamy innych sposobów na okazanie dezaprobaty?

- Płakałaś? - zapytałam niepotrzebnie.

- Nie! - skłamała.

- W takim razie klimat Barcelony źle działa ci na oczy. Ale tu w środku się tym zajmą. Goto-wa?

Uśmiechnęła się nieprzytomnie i obydwie wkroczyłyśmy do instytutu ochrony próżności.

W dziale masażu zajęła się mną jakaś dziewczyna silna jak dąb. Rozciągnięta na leżance jak mnie Pan Bóg stworzył, bezbronna i pozbawiona wszelkich atrybutów, zaczęłam odczuwać syndrom trupa w kostnicy, co mnie trochę podminowało. Jędrna panna natychmiast to spostrzegła i upomniała się o odrobinę współdziałania z mojej strony.

- Czego się pani nie rozluźni?

A niby czego miałam się rozluźnić? Zostawiłam rozgrzebaną sprawę, holowałam siostrę z problemem małżeńskim i zupełnie nie mogłam się oswoić z tym, że ktoś zajmuje się mną jak bezwładnym cielskiem. Podejrzewam, że na skutek tych myśli moje mięśnie napięły się jeszcze bardziej. Masażystka przerwała pracę i nachyliła się, by zajrzeć mi w twarz.

- Proszę pani, kiedy się ktoś panią ostatnio zajmował?

- Co, mną? Zajmował? - Ależ mnie zaskoczyła!

- A nie sądzi pani, że panią też trzeba się zająć, że zasłużyła pani na to? Słowo daję, pani na to zasługuje, proszę się zastanowić. Serio.

Uśmiechnęłam się głupio. Czułam się jak kretynka.

- A czy pani by się mną zajęła, gdyby nikt pani nie płacił?

- Oczywiście, że tak, zajęłabym się, pewnie! Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że musi pani odetchnąć, pomyśleć, że czas pani nie goni, zrobić sobie masaż, poświęcić cały dzień tylko dla siebie, jeśli ma pani ochotę. Nie trzeba ciągle wysilać się jak wół pociągowy i zadreć sumienia. Każda kobieta powinna zdać sobie z tego wreszcie sprawę.

Pewnie poczęstowała mnie wyuczoną lekcją z zakresu psychoanalizy. A może nie, wszystko jedno. Może to prawdziwa psychoanalitik, tyle że bez pracy. W każdym razie miała rację. Od jak dawna nikt się mną nie zajmował, nawet ja sama? Najbliższa troski o mnie była chyba tamta baba w barze, która zaproponowała mi stanowisko pomagiera w kuchni. I co, czy jest jakiś problem? Nie, nie potrzebuję niczyjej troski, sama potrafię się sobą zająć albo zapłacić komuś, żeby zrobił to za mnie. Tak, ta pulchna panienka ma rację. Rozluźniłam się.

Kiedy skończyła, poczułam się jak nowo narodzona. Podziękowałam jej z całego serca i zupełnie pozbawiona wstydu udałam się do łaźni, owinięta tylko w skromny ręczniczek. Amanda już tam była, ledwie widoczna zza gęstych obłoków pary. Oprócz niej siedziało tam na marmurowych posadzkach jeszcze kilka kobiet w różnym wieku.

- I jak? - spytałam.

- Od razu lepiej. Jeszcze dwie godziny, i w ogóle zapomnę, że miałam męża.

Dałam jej znak, żeby nie gadała tak głośno, bo inne kąpielowiczki mogą usłyszeć, ale wzruszyła ramionami. Zaraz zrozumiałam dlaczego, bo jakaś dama po sześćdziesiątce, z zamkniętymi oczyma, skomentowała:

- Szczęściara z pani! Od trzydziestu pięciu lat jestem mężatką i nie udało mi się o tym zapomnieć ani na sekundę.

Ze wszystkich stron rozległy się śmiechy, nagie ciała kobiet nagle się wyprostowały.

- Ale mąż od pani nie odszedł, prawda?

- Kotek, nie chce pani powiedzieć, że pani mąż tak...

Nieprawdopodobne, nie mogłam w to uwierzyć: moja własna siostra opowiada na głos jakimś kompletnie nieznanym babom o swoim kryzysie małżeńskim! Przy czym ta poufalskość wcale jeszcze nie była najgorsza. Najgorsze było to, że wszystkie kobiety, starsze i młodsze, bez różnicy, żywo zainteresowały się tą opowieścią, bez żenady zrewanżowały się natychmiast swoimi historiami, a następnie zaczęły odmawiać istny różaniec nieubłaganych opinii na temat mężczyzn, ich fa-

talnego zachowania, słabości wewnętrznej, niezdolności stawienia czoła wiekowi... Ćwiartowanie bywała w rzeźni to nic przy tym, co usłyszałam. Na szczęście uszanowano moje milczenie, bo przyznam, że nie umiałabym dorzucić ani słowa do tego kolektywnego linczu. W końcu któraś westchnęła i rzuciła od niechcienia:

- Tak, ale co poradzimy? Chłopy są, jakie są.

Te słowa przyjęto jednomyślnie i niedawne obelgi zmieniły się jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki w wyrazy aprobaty i rezygnacji, by przeistoczyć się w łagodne żarciki. Krótka seria kpin na temat przeciętnej długości i grubości męskiego członka zakończyła zaimprovizowaną de-batę łaźiebnią. Korzystając z chwili prywatności, objechałam Amandę.

- Jak mogłaś, tak przy wszystkich!

- Ależ, Petra! A jak myślisz, co robiły rzymskie matrony, jak szły do term? To przecież od-wieczna tradycja.

- Słowo daję, nic nie rozumiem.

- Chyba za długo przebywaś w męskim świecie. My, kobiety, mówimy to, co myślimy. Nie ma się czego wstydzić, prawda?

- Wstydzić nie, ale chodzi o sprawy intymne...

- Intymność wymyślono po to, żebyśmy się same zmagaly ze swoim cierpieniem.

Nie mogłam tego pojąć. Możliwe, że moja siostra miała rację, ale ja nie potrafiłabym się tak zachować. Za długo siedzę w męskim świecie? Za długo jestem samotna? Co można wygrać, mil-cząc? Co można stracić, gadając otwarcie o wszystkim? Nie wiedziałam, lecz sama wolałam oszczędnie ujawniać fakty ze swego życia.

Zabieg peelingu zdecydowanie pozbawił mnie resztek wojowniczego nastroju, a kolejne war-stwy kremu, nakładane i zdejmowane z mojej twarzy, zaprowadziły mnie do wrót marzeń. I oto by-łam już gotowa poddać się makijażowi. Tu możliwości rozluźnienia okazały się mniejsze. Musia-łam patrzeć w dół, kiedy malowano mi górną powiekę, i w górę, gdy kładziono tusz na rzęsy. Mu-siałam rozciągać wargi, następnie je marszczyć, a na koniec rozewrzeć usta w uśmiechu, by podzi-wiać ostateczny efekt w lustrze. Byłam piękna. Czułam się dobrze. Ogarnęło mnie podejrzenie, że to nie jestem tak zupełnie ja, ale natychmiast je odpędziłam. Teraz liczyła się tylko ta chwila. Dzie-wiąta wieczór. Przez bite pięć godzin z rozkoszą pozwalałyśmy, by ktoś się nami zajmował. Jesz-cze raz przejrzałam się w lustrze. Spędzony tu czas widać było aż nadto wyraźnie, podobnie jak po-szczególne warstwy kremu. Powinnam przejść się jeszcze raz do tamtego baru, żeby moja dobro-dziejka mnie zobaczyła.

Amanda też kwitła, a najważniejsze, że spod jej oczu znikły ślady łez.

- A teraz? - zapytała, czekając na dalszy ciąg mojego planu.

- Teraz kolacja z szampanem. A właśnie, zaprosiłam też kolegę z pracy. Chyba nie masz nic przeciwko temu, w razie czego mogę go jeszcze odmówić.

- Ładny?

- Podinspektor Garzon? No... silny.

- Da sobie radę z nami dwiema?

- Tak, tak, wytrzyma.

- Mimo że jesteśmy rodziną?

- Zupełnie się nie przejmuj, to mój podwładny.

- Petra, na Boga! Nigdy nie tracisz samokontroli?

Samokontroli ewidentnie zabrakło Amandzie, kiedy zobaczyła podinspektora. I to buddyjskiej samokontroli. Garzon sprawiał tego wieczoru wrażenie wyjątkowo sprężystego mężczyzny. Garni-tur w prążki, czarna koszula i liliowy krawat. Ja już przywykłam do jego specyficznego gustu, ale muszę powiedzieć, że ilekroć widziałam go wyszykowanego na jakąś okazję, nie posiadałam się ze zdumienia. Moja oszołomiona siostra podała mu delikatnie dłoń, a podinspektor przywitał ją na poły po żołniersku, na poły jak dżentelmen -jak zwykle, gdy chciał okazać galanterię.

- Czyż nie jesteśmy piękne, Fermin?

- Jak dwie dzikie gazy - odparł mężnie.

Słyszac taką odpowiedź, Amanda zaczęła się śmiać. I nie przestała przez cały czas, jaki spę-dziliśmy w tej luksusowej restauracji. Muszę przyznać, że Garzon brylował. Był to jeden z tych momentów, gdy dostępował łaski i potrafił najpoważniejsze sprawy obrócić w żart. Opowiadał anegdotki z młodości, historie ze służby, epizody ze swego życia samotnego wdowca... krótko mó-

więc, przewartościowywał wszystko, a zwłaszcza samego siebie. Stwierdziłam, że ostateczny cel kolacji został osiągnięty: moja siostra była chyba zachwycona. I bez wątplenia z jej twarzy znikły najczarniejsze chmurzyska, choć z pewnością wewnątrz przewalały się wciąż procesje Chrystusów Frasobliwych i Matek Boskich Cierpiących. Zresztą wkrótce dały o sobie znać. Przy kawie, kiedy opadają fale euforii i każdy z zadumą miesza cukier w filiżance, Amanda wystrzeliła.

- Panie Ferminie, czy pan zakochałby się w dużo młodszej kobiecie?

Garzon uznał, że żarty się jeszcze nie skończyły, i odrzekł:

- A uważa pani, że mógłbym uwieść podlotka?

- Nie, mówię serio. Sądzi pan, że zakochując się w dwudziestokilkulatce, mężczyzna odzyskuje trochę własnej młodości?

Podinspektor zorientował się, że coś nie gra, i rzucił mi szybkie spojrzenie, na które odpowiedziałam wzrokiem pełnym niepokoju. Zawahał się.

- No... nie wiem... gdybym znalazł się w krytycznej sytuacji...

- A konkretnie?

Pogładził palcem końce wąsów.

- No więc... powiedzmy... na bezludnej wyspie...

- Zgoda, i na tej wyspie, jak się pan zakocha, to poczuje się pan bardziej młodo i dziarsko?

Garzon nagle spowaźniał.

- Proszę pani, czasem zdarza mi się na ulicy zbaranieć, kiedy przechodzi jakaś ładna dziewczyna. Piękne ciało, jedwabista skóra... nie przeczę. Ale żeby się od razu zakochiwać, by się poczuć młodziej... Przed wszystkim jestem na to zbyt leniwy, a poza tym uważam, że młodości nie zwróci mi nawet sam Pan Bóg.

- Wiem, ale tu nie chodzi nawet o wygląd zewnętrzny, tylko o coś więcej. Młody człowiek ma czyste spojrzenie, brak mu doświadczenia, pewnie nie zdążył zaznać cierpień, jest jak nowy, jakby świat go jeszcze nie zepsuł. Pewnie żyć z kimś takim to jak odkrywać wszystko na nowo.

- Ja nie jestem skomplikowanym facetem i odkrywam tylko to, co mi doskwiera pod żebrami.

- No tak, mój mąż jest zupełnie inny. Zakochał się w młodej i ma zamiar mnie zostawić, żeby zamieszkać z tamtą. I co pan na to?

W spojrzeniu, jakie rzucił mi Garzon, widać było rozpaczliwe SOS, ale uznałam, że nie przyjdę mu z pomocą - sama nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć.

- Na pewno nie jest pani z tym łatwo.

- Oj, nie jest. Byłoby łatwiej, gdybym potrafiła w pełni zrozumieć jego postawę.

Garzon wzruszył ramionami.

- Z tego, co mi się w życiu przytrafiło, nie rozumiałem nawet połowy. Wszystko mija i czasem nie ma czego rozumieć.

- Fakty mówią same za siebie, prawda?

Nad stołem zapanowało melancholijne milczenie, wszyscy zgodnie studiowaliśmy wnętrza własnych pustych filiżanek, jakbyśmy chcieli wywróżyć sobie przyszłość z fusów. Raptownie przerwałam tę sesję: zapłaciłam i wyszliśmy na ulicę. Garzon pożegnał się serdecznie, a Amanda w drodze powrotnej do domu wносиła pod niebiosą jego urok osobisty.

Gdy spojrzałam w lustro, widok profesjonalnego makijażu, o którym zdążyłam zapomnieć, okazał się wielką niespodzianką. Lata, uroda, młodość, miłość. Moje plany na wiek podeszły nie przewidywały miłości. Nie chciałam mieć obok siebie nikogo, kto by zdiadział razem ze mną i w dodatku był świadkiem mojego upadku. Postanowiłam zamieszkać na wsi, dużo czytać, spacerować i co wieczór przychodzić do wsi na kielicha, wypijanego wspólnie z rybakami albo rolnikami - tu się jeszcze nie zdecydowałam. Kupię sobie wspaniałego kota, sympatycznego psa. Nie zgodzę się, by ktoś przypominał mi o niedolach codzienności, zostawiając resztki pasty do zębów, siorbiąc zupę czy kwękając z powodu bólów mięśni przed pójściem spać. Samotność ma w sobie coś eleganckiego, już tylko śmierć izoluje cię od świata. A jednak nie da się zaprzeczyć, że perspektywa utraty urody nie była przyjemna. Staralam się o tym nie myśleć, ale w tych rzadkich chwilach, kiedy to robiłam... Gdyby chociaż, starzejąc się, człowiek zmieniał się w coś innego... ale nie, to po prostu degeneracja tkanek, obumieranie komórek, nie mówiąc już o neuronach, które giną jak muchy na plastrze miodu. Nic, naprawdę nic się na to nie poradzi, możesz sobie leżeć na niezliczonych leżankach i pozwalać, by sprawne dłonie robiły ci masaże, nacierały cię, perfumowały lub smarowały najwykwintniejszymi balsamami, nie ma znaczenia, z każdą minutą, z każdą sekundą

starzejesz się o minutę, o sekundę.

A doświadczenie, fakty, nowość, te wszystkie нефизyczne aspekty, o których wspominała moja siostra? To już naprawdę inna śpiewka, jestem przywiązana do swojego sceptycyzmu, nie tęsknię za złudzeniami, nie znoszę wręcz zbytnej witalności i bezmyślności młodych. Nie, wszystko w porządku, do przeszłości nie będzie powrotu, tym bardziej że to niewykonalne. Kropka.

Zmyłam makijaż mleczkiem. Włożyłam piżamę. Czy można poradzić coś na kryzys mojej siostry? Nie. Czy zdołam chociaż złagodzić ból złych chwil? Kto wie, aczkolwiek przy tak skomplikowanej sprawie mogę nie mieć już na to czasu.

4

Inspektor Sanguesa osobiście przyniósł nam wyniki swojego dochodzenia. Było na co popatrzyć. Sto milionów! Ten skurczybyk Valdes miał w Szwajcarii konto na własne nazwisko ze stu milionami peset. Najwyraźniej szperanie w takich sensacjach pozwalało zaoszczędzić i zgromadzić niezły kapitalik.

- Zabawne, co? Myślisz, że tyle zarobił na wywiadach ze sławnymi ludźmi?

- Podlicz jego trzy pensje i zobaczysz, że nie ma mowy.

- Jakiś spadek, gra na giełdzie?

- Nic a nic. Twój ptaszek wyciągnął tę forszę z rękawa.

- Bardzo mnie ciekawi mechanizm jego sztuczek. Możesz jeszcze coś sprawdzić?

- Węszyłem wszędzie. Nie jest członkiem anonimowych spółek, nie słychać, żeby uczestniczył w jakimkolwiek biznesie.

- Kiedy te pieniądze wpłynęły na jego konto?

- Dwa lata temu była pierwsza wpłata. Dziesięć milionów. Potem wpłacał średnio po dwadzieścia. Daty robią wrażenie przypadkowych. Nie odnotowano żadnych wypłat.

- Najwidoczniej chciał na starość przeprowadzić się na Riwierę.

- Jasne, nie zamierzał gnić w rodzinnej wsi.

- No to nieźle. Przypuszczam, że oczywiście nikt nie wpłacał czekiem w jego imieniu.

- Trafne przypuszczenie. Wszystkich wpłat dokonywał osobiście i w żywej gotówce. Żaden inny podmiot nie figuruje na liście wpłacających.

- Klasyka. Podróżował z walizką.

- Tak jest bezpiecznie.

- To w pełni pasuje do jego osobowości, nie ufał nikomu. Dobra. Świetnie się pan spisałeś, panie Sanguesa.

- Jeszcze trochę podrażę, ale nie sędzę, żeby coś wyszło.

- Wystarczy to, co jest. Przy takiej forsie możemy już wykluczyć zbrodnię w afekcie.

- Jak ci idzie z płatnymi zabójcami?

- Próbuje, ale na razie z mizernym skutkiem.

Niełatwa sprawa. Wszystkie kolejne elementy sugerowały nowe motywy zabójstwa Valdesa. Tych mieliśmy przesył - motywów.

- Wykluczamy też zemstę kogoś, komu publicznie wyrządził krzywdę? - spytał Garzon, kiedy zrelacjonowałam mu odkrycia Sanguesy.

- Unikałabym kategorycznych opinii, Fermin. Szczerze mówiąc, sama nie wiem.

- Mam dwa bilety na poranny wahadłowiec do Madrytu. Powinniśmy przyjrzeć się z bliska temu programowi telewizyjnemu.

- Jasne, nie możemy go pominąć. Ale najpierw trzeba potwierdzić parę poszlak. Spotkajmy się jeszcze raz z panią eks i z kochanką.

- Dokręcimy troszkę śrubę.

- Właśnie. Weźmiemy ze sobą przekonujące materiały. Skseruj raport Sanguesy i pogadaj z naszym specem od płatnych zabójców. Potrzebne mi będą zdjęcia.

- Czyje?

- Wszystko jedno, niech to będą ofiary brutalnych morderstw dokonanych przez zawodowców. Im więcej krwi, tym lepiej.

- A pani?

- Jestem umówiona z konfidentem.
- I pewnie chce pani iść sama.
- Tak, z czystego uporu, znasz mnie przecież. Poza tym przysypiamy, a czas leci.
- Dobrze. Jeśli nie ma pani nic przeciwko...

Nie miałam, ale po dwóch krokach w stronę drzwi odwrócił się i stanął przede mną, milcząc.

- Zapomniałaś o czymś?

- Nie, chciałem tylko powiedzieć, że pani siostra... no, to smutna historia.

- Zdarza się. Spokojnie, przejdzie jej. Poza tym jest mężczyzna na kopy, Fermin, może nawet za wielu.

Miał kwaśną minę.

- Z ust mi to pani wyjęła, słowo daję.

Odwrócił się i zniknął, niewątpliwie złorzecząc na mój okropny styl bycia. Nie mogłam jednak pozwolić, żeby wtrącał się w moje sprawy rodzinne. Poza tym nie uważałam, by akurat współczucie było potrzebne, kiedy ktoś utracił miłość męża czy żony. Cierpienia miłosne powinny zniknąć z rejestru tragedii ludzkich, należałoby im w ogóle odmówić statusu cierpień. Zresztą czekał na mnie konfident, nie było czasu na roztrząsanie spraw prywatnych. Obowiązek przede wszystkim - powiedziałam w duchu i to od dawna zapomniane zdanie sprawiło, że uśmiechnęłam się ironicznie.

Tym razem doskonale wiedziałam, co trzeba zrobić. Tyle że wydarzenia znów mnie wyprzedziły i już na dzień dobry oczekiwała mnie spora niespodzianka. Taka sama, jaką zawsze lekceważyłam, gdy przydarzała się innym. Otóż konfidentem, który stawiał się na spotkanie, była kobieta. Wyjaśniła mi, że jej mąż, Higinio Fuentes, prawdziwy współpracownik policji, musiał wyjechać i że w takich przypadkach ona stara się mu pomóc, szczególnie gdy w grę wchodzi umówione spotkanie z gliniarzami. Przez telefon potwierdziłam jej informacje: istotnie pracowali razem, już nie raz piękniejsza połowa konfidenta występowała pod jego nieobecność. Przyjrzałam się jej z zaciekawieniem. Miała może ze trzydzieści lat i żuła gumę tak zaciekle, jakby to podtrzymywało ją przy życiu. W jej spojrzeniu było tyle złośliwości, ile tylko mogła z siebie wykrzesać. Taksowałyśmy się nawzajem i odniosłam wrażenie, że to ja otrzymałam gorsze noty. Czułam się jak w ślepej uliczce, nie wiedząc, od czego zacząć. W końcu ona, zmęczona tą dwustronną lustracją, potrząsnęła głową i zapytała:

- No dobra, co tym razem?

- Wiecie coś o zabójstwie Ernesta Valdesa?

- Coś niecoś się słyszało.

- Podejrzewamy, że to morderstwo na zlecenie, i chcielibyśmy wiedzieć, czyja to robota.

Zrobiła balon z gumy, który zaraz pękł z trzaskiem.

- No. I co?

- Jest przypuszczenie, że pani mąż może coś wiedzieć.

- Może tak, może nie. W każdym razie takie sprawy wymagają sporo zachodu. I w ogóle to niebezpieczne.

Zamilkła, przypatrując mi się badawczo, ja jednak nie miałam pojęcia, jak zareagować. W końcu, z lekka zniecierpliwiona, poskrobała się po niemal idealnym nosie.

- Ile możecie zapłacić?

Na takie pytanie nie byłam przygotowana. Usiłowałam wykręcić się sianem.

- Jak zwykle.

- Żadne „jak zwykle”! Tu w grę wchodzi płać mordercy.

- No, wszystko zależy od informacji, jakiej mi dostarczycie.

- Na pewno co najmniej sto tysięcy. A jak informacje będą superistotne, podniesiemy cenę do trzystu.

- Chwileczkę, może niech pani to skonsultuje z mężem. To on jest naszym kontaktem.

- Przykro mi, nic z tego, w sprawach finansowych ja decyduję. A u pani w małżeństwie tak nie jest?

- Daruje sobie pani te wycieczki osobiste, ja na pewno muszę się skonsultować ze swoim komisariatem.

- Zgodzą się. Coronas zna zasady. Jak mąż przyjedzie, powtórzę mu wiadomość. Będzie wiedział, co robić.

- W porządku, proszę do mnie zadzwonić.

- To niech pani da numer komórki, nigdy nie dzwoniemy do komisariatu.

Podaliśmy jej i zachodziłam tylko w głowę, jak mam tę rozmowę przedstawić w raporcie. Byłam trochę jak Brudny Harry, systematyczność w pracy z konfidentami wyraźnie mi nie leżała, może dlatego, że moim zdaniem nie licowała z profesjonalizmem.

Garzon czekał na mnie niemal z nogą na pedale gazu. Jak zwykle wypełnił polecenia co do joty. Dysponował już kopią raportu Sanguesy i zdjęciami ofiar. W drodze do eleganckiej dzielnicy, gdzie mieszkała eks-małżonka Valdesa, rzuciłam na nie okiem. Aż mi się serce skurczyło. Na pierwszym widniał spalony trup mężczyzny, wylaniający się niczym koszmarna zjawą z plastikowego worka. Przełknęłam ślinę. Garzon spoglądał na mnie ukradkiem.

- Niezłe foty, co?

- Zachwycające.

- To znak fabryczny płatnych zabójców z Ameryki Południowej, czynnych w świecie handlu narkotykami. Dalej, dalej, nie widziała pani najgorszego.

Następne ukazywało poszatowane ciało, rozłożone na prześcieradle, żeby łatwiej było je sfotografować. Wyraźnie widać było kończyny, korpus i wykrzywioną w przerażającym grymasie twarz mężczyzny w średnim wieku.

- To pechowiec, który odmówił spłacenia długu. Robota Polaków.

- Koszmar!

- Ale niech pani się przyjrzy technice Włochów, ci mają najwięcej wyobraźni. Fotka numer dziesięć.

Potrwało, zanim się zorientowałam, co jest czym w tej krwawej masie. Był to młody mężczyzna z rozciętą krtanią, z której wystawał jakiś zwiędły ochłap. Jego własny język.

- To się nazywa „krawat sycylijski”. Rozcięte gardło. Potem otwierają gościowi usta, wpychają mu język do środka i wyciągają przez dziurę. Podobno to ostatnie robią, jak delikwent już nie żyje. Tu na zdjęciu mamy mafiosa, który dał nogę bez pożegnania.

- Wystarczy, Garzon, zaraz zwymiotuję!

- I żeby nie było, że to wszystko popisy cudzoziemców z jakichś mafii itepe. Reszta zdjęć przedstawia dzieła Hiszpanów. I zapewniam panią, że nie musimy się tu wstydić przed obcymi.

Wsunęłam szybko fotografie do koperty.

- Jestem przerażona. Mam nadzieję, że Pepita Lizarran ma podobną wrażliwość do mojej.

- Będzie pani grać matola?

- Będę grać tymi kilkoma kartami, które mamy w posiadaniu, ale nie możemy pozwolić im przejść inicjatywy. Coś wie na pewno, inaczej przyszlaby na policję.

Otworzyła nam służąca w różowym fartuchu. Nie poprosiła nas do środka, od razu zawołała była panią Valdes. Gospodyni pojawiła się natychmiast, rozważna i wyniosła, jak zwykle panująca nad sytuacją. Weszliśmy do tego samego pokoiku co poprzednim razem, teraz jednak nie traciłam czasu na uczone wstępy, tylko z miejsca wystrzeliłam.

- Stwierdzono, że pani były mąż miał sto milionów na koncie w Szwajcarii. - (Uniosła brwi z leciutkim zdziwieniem). - Wiedziała pani coś o tym?

- Zupełnie nic. Czy może dziedziczyć tę sumę?

- Nie sądzę. Konto będzie zablokowane z nakazu sędziego śledczego.

Po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- Pani inspektor, wie pani chyba, co to jest separacja? Ludzie nieczęsto przyrzekają sobie dożgonną miłość przy rozstaniu. Podejrzewa pani, że mój były mąż powiedziałby mi cokolwiek o swojej sytuacji finansowej albo o manewrach, jakich dokonywał w celu zdobycia sporych sum?

- Raczej nie, ale może zauważyła pani coś szczególnego w jego stylu pracy w czasach, kiedy państwo mieszkali jeszcze razem.

Pokręciła głowę, potrząsając przy tym pięknymi, miedzianorudymi włosami.

- Nie, o niczym mi nie mówił.

- A pani nic nie wywnioskowała z jego słów albo zachowań?

- Pani inspektor, ja mam swoją pracę i jako specjalistka na eksponowanym stanowisku muszę poświęcać co dzień dużo czasu na podejmowanie ważnych decyzji. Po powrocie do domu ani mąż, ani ja nie poruszaliśmy żadnych tematów, które nie dotyczyły nas obojga. Poza tym odkąd zagnieżdżył się w prasie plotkarskiej, jego praca absolutnie przestała mnie zajmować.

- Rozumiem, ale może...

Przerwała mi zdecydowanie, choć nie podnosząc głosu.

- Jeżeli jestem o coś podejrzana, proszę mi postawić formalne oskarżenie, a jeśli nie...

Zawiesiła głos w pytającej próżni. Dokończyłam za nią:

- ...a jeśli nie, to mamy pewnie dać pani spokój.

- Jak widzę, zrozumiała mnie pani.

- Dochodzenie to nie jest taka sobie prosta sprawa, droga pani. Czasami trzeba stawiać pytania także osobom, których o nic nie podejrzewamy. A jeśli ze strony takiej osoby nie ma woli współpracy, wówczas konieczny jest nakaz sędziego śledczego.

- Skoro tak mają państwo w zwyczaju...

- Świetnie. Dziękujemy za rozmowę.

Kiedy wyszliśmy na powietrze, powiedziałam Garzonowi:

- Zażądaj, żeby była śledzona.

- Nabiera pani coraz większych podejrzeń?

- Zastanów się, Fermin, babka żyje kupę lat z facetem mętnego autoramentu, rozstają się i pozostają we względnie dobrych stosunkach. On regularnie płaci alimenty, widuje się od czasu do czasu z córką... Naprawdę jesteś w stanie kupić to, że ona nic nie wie, że nigdy nie słyszała, by coś mówił o pieniądzach albo o pracy, że nigdy nie snuła żadnych domysłów?

- Gdyby zeznawała wyłącznie na podstawie domysłów, nie dałaby jej pani wiary. Poza tym Pepita Lizarran twierdzi, że ona i Valdes nie utrzymywali dobrych stosunków.

- Może i nie, ale zachowywałaby się wiarygodniej, gdyby go na przykład atakowała. Nie, nawet najbardziej zimne i dystygowane osoby takie nie są. Widziałeś ją? Nie śmieje się, nie obraża, nie waha... Właściwie jeszcze trochę i nie będzie musiała jeść.

- Znałem w życiu takich ludzi i nie wszyscy coś ukrywali.

- Dobra, odrobina nadzoru jej nie zaszkodzi, przynajmniej będziemy pewni, że ma czyste konto.

Drugą wizytę tego dnia złożyliśmy Pepicie Lizarran. Na dobrą sprawę nie była to zwykła wizyta, ale próba zastraszenia par excellence.

Kobieta wydawała się jak zwykle onieśmielona, a kiedy poprosiliśmy ją o rozmowę gdzieś poza redakcyjną recepcją, zeszytniała, ale bez szemrania znalazła pomieszczenie. Usiedliśmy w nijakiej salce, której ściany zdobiły okładki pisma w kolorowych ramkach.

- Słucham państwa - wydusiła z siebie.

Ponieważ była roztrzęsiona, postanowiłam nie bawić się w ceregiele i bez słowa wyciągnęłam kopertę ze zdjęciami. Ona, również w milczeniu, wzięła je i zaczęła po kolei przeglądać. Ja tymczasem powiedziałam półgłosem:

- Wszyscy ci ludzie, których pani widzi, są ofiarami płatnych zabójców. Jak może się pani przekonać, metody stosowane przez tych ostatnich nie należą do humanitarnych.

Dłonie zaczęły jej drżeć.

- To ludzie, którzy działają bez cienia litości i poprzez sposób dokonania egzekucji pozostawiają niejako swój podpis. Być może jeden z nich zabił Ernesta Valdesa. - (Odłożyła fotografie na kolana i spuściwszy głowę, zaczęła szlochać). - Wiem, że to nieprzyjemna chwila, ale chciałam, by miała pani choć blade pojęcie, po jakim terenie się poruszamy. Wiem również, że nie ma pani nic wspólnego ze śmiercią Valdesa, ale dobrze by było, żeby uświadomiła pani sobie, komu pozwoli się wymknąć, jeżeli zechce pani coś ukryć albo nawet jeśli nie będzie pani z nami w pełni współpracować.

Teraz cała trzęsła się od płaczu. Garzon sięgnął do kieszeni i zapytał:

- Chce pani zobaczyć, co zrobili z Valdesem?

Podniosła głowę, ukazując zapłakaną twarz, i spojrzała nań błagalnie:

- Nie! Proszę mieć nade mną litość!

Teraz ja postanowiłam ją dobić, mówiąc jak najuprzejmiej:

- Panno Pepito, nie zagrażamy pani w niczym i proszę nas tak nie traktować. Niech pani się zastanowi, czy może o czymś powinniśmy wiedzieć, nawet dla pani własnego bezpieczeństwa. Odryliśmy, że Valdes miał pokaźne konto w Szwajcarii.

Pociągnęła hałaśliwie nosem i najwyraźniej zaczęła się uspokajać.

- Boże! Nie wystarczy, że utraciłam człowieka, którego kochałam, jeszcze na zawsze ma mnie ścigać koszmarnie wspomnienie tego, jak bardzo cierpiał?!
- Boże! Nie wystarczy, że utraciłam człowieka, którego kochałam, jeszcze na zawsze ma mnie ścigać koszmarnie wspomnienie tego, jak bardzo cierpiał?!

Używała okropnego, napuszonego stylu, ale teraz właśnie należało ją pociągnąć za język. Porzuciłam postawę brutalną na rzecz przymilnej.

- Wszystko może się przyczynić do złapania tych łajdaków. Uda nam się, panno Pepito, słowo daję...

- Powiedział mi... - Spojrzała na nas znad ust wykrzywionych w podkówkę. Garzon i ja słuchaliśmy jak zahipnotyzowani. - Powiedział, że zarabia dużo pieniędzy, że za parę lat będziemy mogli rzucić posady, że zamieszkamy na zawsze gdzieś za granicą. Mówił, że tu jest kraj kelnerek, a tam, dokąd pojedziemy, nikt nas nie będzie znał i dadzą nam spokój. Marzył o tym, żeby zamieszkać w Kanadzie.

- Wspominał o koncie w Szwajcarii?

- Nie.

- A mówił, w jaki sposób zdobył tyle pieniędzy?

- Nie, ja sama też nie pytałam. Ale zawsze miałam wrażenie, że nie chodziło tu o jego pracę dziennikarską, ale o coś innego, szczególnego. Miewał spotkania z człowiekiem o nazwisku Lesgano. Zawsze mnie prosił, żebym o tym nie mówiła, ze względów bezpieczeństwa, ale był przekonany, że ten Lesgano może nam pomóc.

- Lesgano, a może Lizcano?

- Nie, zawsze wyraźnie wymawiał „Lesgano”.

- To Włoch, Latynos, Portugalczyk?

- Nigdy nie wspominał o jego narodowości ani o wieku, przysięgam na Boga jedyne, że nigdy mi nic nie mówił. Spoglądał na mnie tymi pocziwymi oczyma i prosił, żebym mu ufała. Ja go tylko błagałam, żeby nie wpakował się w żadną kabałę, że wystarczy nam na życie to, co mamy, że nie chcę wyjeżdżać z Hiszpanii, ale on miał swoje plany, był zdecydowany, cały Ernesto.

- Świetnie, proszę się uspokoić. Ma pani nasz numer telefonu. Cokolwiek by pani zniecka przyszło do głowy, może się okazać cenne. Powtarzam: cokolwiek.

- Zawiadomią mnie państwo, jak się czegoś dowiedzą?

- Będziemy w kontakcie, proszę się nie niepokoić.

Garzon odwiózł mnie samochodem pod dom.

- Wkurwiają, nie?! - krzyknął w którymś momencie.

- Co niby?

- No, że określiła oczy Valdesa jako pocziwe.

- Mnie bardziej wkurwił on. Starczyło mu jaj, żeby nazwać Hiszpanię krajem kelnerek. I kto to mówi...!

- A te opowieści o domku w Kanadzie...

- Ewidentnie zaplątał się w coś takiego, że musiałby po wszystkim uciekać za granicę.

- Właśnie. Coraz bardziej jestem przekonany, że to grubsza afera.

- Narkotyki?

- Nie wygląda.

- Nic, zobaczymy. Wpadnij po mnie za dwie godziny. Spakowałeś się?

- Mam wszystko w bagażniku.

- Jak zwykle zwarty i gotowy. Tym lepiej, będziesz miał czas sprawdzić, ilu facetów o nazwisku Lesgano jest w książce telefonicznej i czy to nazwisko hiszpańskie.

- Może to tylko ksywa.

- To niech sprawdzą w naszych kartotekach.

Amandy nie było w domu. Zostawiła tylko lakoniczną kartkę: „Wysłałam do miasta”. Napisałam jej drugą, z informacją, że wyjeżdżam na parę dni do Madrytu. Ucieszyłam się, że znalazła sobie zajęcie. W jej przypadku wyjście z domu oznaczało pierwszy krok ku normalności. Zapewne, wałęsając się po ulicach, będzie miała czas przemyśleć bieżące sprawy, a przy tym w tłumie ludzi nie najdzie jej ochota na płacz. Płacz może i rozładowuje napięcie, za to oddala od nas moment odzyskania równowagi, nie mówiąc o zaniżeniu samooceny i zaczerwienieniu oczu.

Punkt druga Fermin Garzon zapukał do moich drzwi. Chwyliłam walizeczkę, w której miałam tylko piżamę, kosmetyczkę i zmianę całego ubrania. Jak się mogłam niebawem przekonać, bagaż podinspektora był jeszcze skromniejszy. Mój partner podróżował niemalże tak, jak go Pan Bóg stworzył.

Na samolot nie musieliśmy długo czekać, sam lot też przebiegł bez żadnych sensacji. W Ma-

drycie znaleźliśmy się akurat w porze kolacji.

Garzon znał stolicę lepiej ode mnie, jako że dawne czasy spędził w dzielnicy Salamanca. Zaproponował zatem, że będzie moim przewodnikiem.

- Chyba należy nam się przekąska - oświadczył na początek.

Uznałam to za dobry pomysł: byłam zmęczona i głodna, poza tym podobała mi się żywiołowa atmosfera miasta, przepelnione bary i wrażenie, że znajdujesz się w miejscu nasączonym po brzegi historią.

Udaliśmy się w okolice placu Puerta del Sol, w samym centrum, gdzie znaleźliśmy bar z kafelkami na ścianach i wielką głową byka nad wejściem. Nie było tu stołów, tylko kontuar i tłum ludzi.

- Ciasno tu, chodźmy gdzie indziej - zaproponowałam.

- Mowy nie ma, niech pani poczeka.

Jeden z kelnerów na nasz widok zawołał wesoło:

- Co ma być dla państwa?!

Garzon odkrzyknął zza ludzkiej barykady:

- Dwa wina i dwie porcje wątlusza!

- Się robi! - zawył kelner, ustrojony w gigantyczny fartuch.

W tym momencie tłum, na podobieństwo fal Morza Czerwonego przed Mojżeszem, nieco się rozstał, dzięki czemu swobodnie przeszliśmy z naszymi kieliszkami i przekąskami. Ten manewr ćwiczone od wieków, wewnątrz zmieściłoby się jeszcze z pięćdziesiąt osób.

- Długa tradycja barów - skomentowałam, a podinspektor przytaknął mi z ustami pełnymi wątlusza.

- To cała cywilizacja, pani inspektor. W Barcelonie tego nie uświadczysz.

Odwiedziliśmy z pięć czy sześć podobnych przybytków, aż kompletnie straciliśmy apetyt i częściowo także trzeźwość. W drodze powrotnej do hotelu Garzon milczał.

- Zmęczony jesteś, Fermin?

- Tak, zastanawiam się, czy nie jestem już za stary na takie ganiecie.

- Nie wyglądasz.

- Ale pani patrzy na mnie z litością.

- Nie znoszę litości.

Odezwała się jego komórka.

- Ktoś, kto o tej porze dzwoni, na pewno nie ma litości.

Kątem oka widziałam, jak kiwa z zakłopotaniem głową i rzuca krótkie pytania, z których nie mogłam wyłowić sensu. Wreszcie zakończył lakonicznym: „Proszę czekać na rozkazy” - i wyłączył się.

- Mamy problemy, pani inspektor. Chodzi o Martę Merchan, była żoną Valdesa. Ci, co ją śledzą, mówią, że poszła na jakąś niepozorną ulicę w dzielnicy Meridiana do jakiegoś równie niepozornego domu. Od dłuższego czasu stamtąd nie wychodzi. Pytają, co mają robić.

- Meridiana nie za bardzo pasuje do naszej damy, prawda? Z pewnością poszła złożyć ciekawą wizytę.

- Nie można jej przyłapać in flagranti. Nawet nie mamy nakazu zatrzymania.

- Dobrze, niech śledzą ją dalej. Przykro mi, ale musisz tam wracać, może to coś ważnego, ja mam z rana spotkanie w telewizji. Może zdążysz ostatnim samolotem.

- Tak - westchnął ciężko.

- W zależności od rozwoju wypadków albo ja wrócę do Barcelony, albo ty przyjedziesz do Madrytu.

- I sama pani widzi, jak mam się nie czuć zmęczony?

- Odpoczniesz, jak się naprawdę zestarzejesz.

- Czyli już mogę?

- A skąd! Wyglądasz ma rzeńskiego młodzieńca.

- Młodzieńca, który za karę nie może pójść do łóżka. Kiedyś rzeczy się miały odwrotnie.

Było mi przykro, że musi jechać w tych okolicznościach, ale nie śmiałam tego powiedzieć. Gdyby tylko zdał sobie sprawę, że mu współczuję, uzalałby się nad sobą bez końca. Pod tym względem był typowym przedstawicielem płci męskiej.

Hotel przygarnął mnie całą swą bezosobowością. Teoretycznie zawiła sprawa powinna pozba-

więc mnie snu, lecz stało się inaczej: spałam jak najtwardszy głaz. Zaraz po przebudzeniu zadzwoniłam jednak do Garzona.

- Nic szczególnego, pani inspektor. Nasza dama poszła odwiedzić swoją pomoc domową. Zda się, że ma zapędy społeczne i łązi do niej od czasu do czasu.

- Chwalebne. Nie spłoszyliście ptaszka?

- Nasi ludzie są dyskretni, choć w takich przypadkach nigdy nie można wykluczyć, że jakiś sąsiad nie zwróci uwagi na obcych i nie chlapnie. Wtedy pewnie służąca powiadomi panią.

- Nieważne, ryzyk-fizyk. Sprawdź co się da o tej pomocy domowej. Czy miała do czynienia z wymiarem sprawiedliwości, może dziecko zaplątane w narkotyki. Dowiedz się wszystkiego o jej mężu.

- To wdowa. Tak powiedziała jakaś tutejsza staruszka.

- No to masz mniej roboty.

- Chce pani komuś zlecić te sprawy?

- Wolę, żebyś ty osobiście to posprawdzał. A potem wracaj do Madrytu. Pospałeś trochę?

- Trochę.

- Skorzystaj z trzech kwadransów w samolocie.

- Dzięki, pani inspektor, to była rada prosto z matczynego serca.

Dyrektor generalny stacji Teletotal oczekiwał mnie o jedenastej, miałam więc czas zjeść na śniadanie typowe madryckie prele i dojechać taksówką do studia, ulokowanego na przedmieściach. Po drodze mogłam podziwiać wielkomiejskie budowle stolicy, przywołujące jednocześnie na myśl atmosferę kastyljskiej wsi. Fascynację Madrytem u mieszkańca Barcelony można porównać jedynie z fascynacją odczuwaną przez madrytczyków wobec katalońskiej metropolii. Dwa odmienne światy w odległości godziny lotu.

Avelino Saez, przystojny dyrektor koło pięćdziesiątki, ewidentnie nie miał zamiaru tracić ze mną czasu. Zastosował w stosunku do mnie cały rytuał uprzejmości i gotowości współpracy, z pewnością przećwiczony z innymi natrętami. Moje zainteresowanie sprawą śmierci Valdesa uważał za całkowicie zrozumiałe, ale zaraz mnie uprzedził, że szansę na ciekawe tropy mam tutaj nikłe. Co jego pracownicy mogli wiedzieć o tej zbrodni, skoro Valdes przyjeżdżał do stacji zaledwie raz na tydzień? Poza tym tego dziennikarza zamordowano w innym mieście. Odparłam, że to nie jest miażdżący argument i że poszlaki prowadzą nas w kierunku obszaru działalności zawodowej Valdesa. I to wyznanie jednak nie zrobiło na nim wrażenia, on nie zajmuje się bezpośrednio programem, tylko sprawami większego formatu i oczywiście makroskalą i budżetem. Polecił wezwać producentkę programu Namiętności, którego gwiazdą był Ernesto Valdes. W mojej obecności poprosił, by pomogła mi we wszystkim, żeby złożyła mi świat do stóp, jeśli to będzie konieczne, i przepadł z pola widzenia, przekonany, że wykazał się pełną gotowością współpracy.

Producentka wyglądała mniej więcej na moją rówieśnicę i, jak wszyscy pracownicy mediów, sprawiała wrażenie, że zaraz będzie miała zapaść na skutek pośpiechu i stresu. Widząc, że chce mnie zbyć byle czym, zatrzymałam ją w miejscu.

- Mogę zapytać o pani imię?

- Maribel - odparła niepewnie.

- Maribel, lepiej od razu panią uprzedzę, że zamierzam zostać tu cały dzień i pracować. Nie wykluczone nawet, że mój pobyt się przedłuży, jeśli znajdę coś interesującego. Dlatego niech pani pamięta: co nagle, to po diable, i jeśli mogę prosić o odrobinę kawy, to będę wdzięczna.

Chyba trąciłam czułą strunę PR w jej duszy, bo się uśmiechnęła.

- Proszę wybaczyć, że taka jestem zaganiana. Ma pani absolutnie rację, ale czy zdaje sobie pani sprawę, w jakim tempie tutaj pracujemy?

- A pani wie, w jakim tempie prowadzi się dochodzenie policyjne?

- Nie - odrzekła zdezorientowana.

- Otóż bardzo powoli. Dociera się do pewnego punktu, potem przechodzi się przez niego jeszcze raz, po jakimś czasie się wraca... Często dopiero wtedy widzi się coś, w co człowiek wpatrywał się nieustannie, do znudzenia.

- Już rozumiem.

- W takim razie...

- Chce pani wejść do mnie do gabinetu na kawę?

- Z największą przyjemnością.

Poczułam się błogo, jakbym zbawiła czyjąś duszę od udręk nowoczesnego życia. Maribel zmieniła ton i nawet wyłączyła komórkę.

- Proszę mi opowiedzieć, Maribel, jak wygląda produkcja waszego programu.

- Już pani mówię... - zaczęła spokojnym głosem. - Bierze w nim udział czwórka dziennikarzy. Oglądała nas pani kiedyś?

Przytaknęłam.

- Czyli wie pani, że różne postacie przychodzą do studia, gdzie robi się z nimi wywiady.

- Płatne z góry?

- Zgadza się.

- Równa stawka dla wszystkich?

- A skąd! To zależy od notowań danej osoby w świecie sławnych ludzi i w prasie plotkarskiej. Różnice są znaczne. Tak czy inaczej, czterech dziennikarzy przepytuje danego gościa, jak pewnie pani widziała. Potem każdy z nich prezentuje reportaże, które pokazujemy w drugiej części programu. Do moich zadań należy szukać dla nich tematów, śledzić, co piszczy w światku VIP-ów, co się wydarzyło, jakie plotki krążą, kto jest teraz na językach... Rozumie pani?

- Chyba tak. Pani też przygotowuje materiały do reportaży?

- Nie, tylko koordynuję wszystko, kiedy oni już je przygotowują. Wybór i sposób opracowania tematu leży w całkowitej gestii poszczególnych dziennikarzy. W tym Ernesto był prawdziwym mistrzem.

- Sami wykonują całą robotę?

- Nie, nie, mam tu swoich ludzi do pomocy.

- Kim są ci pani ludzie, Maribel?

- Każdy dziennikarz ma asystenta, który zajmuje się produkcją. To oni tak naprawdę realizują program. Kontaktują się z konkretnymi osobami, wyjeżdżają z operatorami w teren... czasem godzinami sterczą pod czyimiś drzwiami, czekając na powrót albo wyjście, dowiadują się różnych tajemnic... W sumie dosyć ciężka robota, w większości to młodzi ludzie.

- Kto był asystentem Ernesta Valdesa?

- Maggy, taka dziewczyna. Ernesto Valdes sam ją przyprowadził, to akurat wyjątek. Teraz nie wiemy, czy dalej będzie z nami pracować, ale bardzo prawdopodobne, że zrezygnuje.

- Czy ktoś mógł być zainteresowany zastąpieniem Valdesa?

Spojrzała na mnie spod rzęs dosłownie unurzanych w tuszu.

- Jeśli pani myśli, że ktoś kombinował, by go wysadzić ze stanowiska i skorzystać na tym, to chyba musi pani zmienić trop. Nikt nie miałby tu szans wejść na niczyje miejsce. Dyrektor stacji sam wybiera ludzi z zewnątrz, którzy na przykład wyróżnili się w innych mediach. Tu nie ma żadnej nomenklatury. Poza tym Ernesto nigdy nie popadł w konflikt z kolegami.

- Wobec tego wykluczam taką możliwość. Co może mi pani powiedzieć o osobistościach, które były bohaterami wywiadów albo reportaży?

- A co pani chce wiedzieć?

- Czy był ktoś, kto mógł mieć mu coś za złe?

Wybuchnęła śmiechem, odrzucając do tyłu farbowane włosy.

- Pani żartuje? Wszyscy mieli mu coś za złe! Wie pani, jakie sobie stary Ernesto jaja z nich robił! Ale to była sytuacja ambiwalentna. W głębi duszy każdy marzył, by Valdes wziął go w obroty, bo on miał najwyższe notowania u widzów. Chociaż niektórzy z gości potem tego żalowali.

- Umie pani to wytłumaczyć?

- Tak, rozumiem to świetnie. Niekiedy nasze sławy dzwoniły do mnie same i prosiły, żebym załatwiła im występ w studiu albo w reportażu. Uważały, że są znakomicie przygotowane do konfrontacji z Valdesem. Ale potem on dowiadywał się czegoś, z czego one same nie zdawały sobie sprawy, wyciągał to na antenie i... Boże, ale im szczęki opadały! Valdesowi zawsze udawało się sprawić, żeby żalowały własnej propozycji. To był mistrz nad mistrze!

- Jak zdobywał informacje?

- A, w tym celu musi pani pogadać z Maggy, ja nie mam pojęcia!

- Ktoś mu groził kiedyś śmiercią?

- Oczywiście! To były niesamowite groźby: że wylupią mu oczy, poderzną gardło, zrobią naszyjnik z jego własnych klejnotów, roztrzaskają wątrobę... Chyba nie oszczędzono żadnej części

ciała, wszystkie miały podlegać egzekucji. Bardzo był z tego dumny, traktował to jak wskaźnik popularności.

- Szczególny wskaźnik... A kto mu groził?

- Czasami osobiście te sławne postacie. Ale często też widzowie, którzy dzwoniли albo pisali do telewizji. Proszę sobie wyobrazić, że nawet ci najohydniejsi bohaterowie naszych programów mają swoje fankluby.

Już sama myśl o tym, że jakiś anonimowy szalony widz mógł załatwić Valdesa, przyprawiła mnie o zimne poty. To by oznaczało sprawę nie do rozwiązania. Potem zaraz pomyślałam o płatnym zabójcy. Widz, który wynajmuje mordercę? Kosmicznie nieprawdopodobne - uspokoilałam samą siebie. Maribel patrzyła na mnie w milczeniu. Postanowiłam zadać jeszcze jedno pytanie.

- Proszę się dobrze zastanowić i powiedzieć mi... To nie oznacza żadnego formalnego oskarżenia ani prywatnej komplikacji. Ma pani własny pogląd na temat, kto mógł go zabić?

Producentka zastanowiła się, naciągnęła rękawy eleganckiego żakietu i pokręciła głową.

- Jak łatwo się domyślić, ostatnio w telewizji roiło się od plotek i teorii, i to najbardziej fantastycznych, ale zapewniam panią, pani inspektor, wszystko, co słyszałam, to brednie rzucane tak, dla zabawy. Jestem absolutnie przekonana, że to zrobił ktoś z kręgu jego najbliższych.

- Jakie ma pani dane, żeby tak sądzić?

- Bohaterowie tego programu to ludzie bardzo przeciętnego kalibru: śpiewaczki folklorystyczne, toreadorzy, jakiś zidiociały arystokrata, zakompleksiony impresario, aktorzy ogony, prezenterki telewizyjne... Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek z nich miał wystarczająco dużo zimnej krwi albo desperacji, żeby zabić.

- To interesująca koncepcja.

- Naprawdę?

- W dodatku bardzo szczerą.

Zaczęła się śmiać.

- Coś pani powiem, pani inspektor. Dla mnie to przesłuchanie może trwać jeszcze parę godzin. Dzięki pani poczułam się zrelaksowana!

- Może policjantów i psychoanalityków coś łączy?

Przez chwilę śmiałyśmy się obie w pełnym porozumieniu. Nagle dzwoniącymi od bransoletek rękami złapała się za głowę.

- No, tak się wyluzowałam, że nawet nie zrobiłam pani tej obiecanej kawy!

- Nie szkodzi.

- To może obydwie się napijemy. Na pierwszym piętrze jest kafejka.

- Nie chcę zabierać pani więcej czasu. Poza tym chciałabym pogadać z tą...

- Maggy?

- Właśnie. Może podeśle mi ją pani do kafejki?

- Z największą przyjemnością.

Sięgnęła po telefon i poprosiła sekretarkę, by odnalazła asystentkę i przysłała ją do baru. Zauważyłam, że w ciągu tej króciutkiej operacji na jej twarz powrócił grymas napięcia. Kiedy prowadziła mnie do kafejki, znów okazywała nerwowość i rozgorączkowanie.

W barze było względnie pusto, ale szmer rozmów szczerze wypełniał atmosferę. Wszyscy klienci, choć w różnym wieku i różnie też poubierani, nosili ślad swego rodzaju nowoczesnej patyny. Luźne stroje, wystudiowane fryzury i nietypowe oprawki okularów. Zamówiłam upragnioną kawę i czekałam na przybycie totumfackiej denata. Po niedługim czasie wyrosła nagle przede mną bardzo młoda dziewczyna.

- To pani jest z policji? - rzuciła.

- Tak, jestem inspektor Petra Delicado.

- Maggy. Chciała pani ze mną gadać, tak?

Nigdy bym nie przypuszczała, że to właśnie tego typu osobka. Smukła, w znoszonych dżinsach i pomiętej koszuli, miała cały pęk kolczyków w uchu, a włosy pomalowane na gryzący żółty i bardzo krótko obcięte. Wyglądała, jakby zeszła z planu amerykańskiego filmu o gangsterach z Bronxu.

- Tak, muszę zadać pani kilka pytań na temat Ernesta Valdesa.

- Chodźmy do konferencyjnej, tu za dużo hałasu. Szefowa mówi, żeby pani nie płaciła za kawę.

Machnęła w kierunku kelnera i ruszyła przodem. Szłyśmy długo korytarzem, bez słowa. Wywnioskowałam, że Maggy raczej ma w nosie dobre wychowanie, i to mnie ucieszyło, bo będziemy mogły zaoszczędzić trochę czasu.

W sali konferencyjnej, oprócz typowych mebli, znajdował się duży ekran telewizyjny. Dziewczyna siadła bez wdzięku i spojrzała mi w twarz.

- Co pani chce wiedzieć?

- Chyba się pani domyśla.

- Tak, kto zabił Ernesta Valdesa, ale ja nie mam bladego pojęcia.

- Bladego?

- Tak. Gdybym coś wiedziała, poszłabym na policję.

- Wiem, ale czasami intuicja coś podpowie.

- Ja nie mam.

- W porządku. Jak się pracowało z Valdesem?

- Valdes to kutas, ale ja też jestem zołza, więc dawało się żyć.

- Pani szperała w życiorysach osób, które występowały u niego w programie?

- Między innymi.

- Nad czym pani pracowała, kiedy załatwili Valdesa?

- Nad reportażem o Lali Sepulvedzie. Właśnie urodziła dziecko. Dotarłam do jednej jej kuzynki, której sprzątnęła narzeczonego, po czym została jego żoną. Kuzynka była gotowa chlapnąć co nieco za pieniądze.

- Chlapnąć co?

- No, wie pani, takie tam kaszany, że brzydko się zachowała, że nie odbierała jej telefonów, że nawet słowem się nie wytłumaczyła. Takie pomyje, dla podkurwienia.

- Fajna praca, gratuluję.

- Trzeba z czegoś żyć. Jak będę milionerką, to się zajmę reportażami kulturalnymi dla BBC.

Cedziła ironię bez litości. Aż miło.

- W każdym razie sprawa nie była na tyle poważna, żeby rzeczona Lali zleciła zabicie Valdesa, prawda?

- Ależ skąd! Ostatnio dawaliśmy znacznie większego czadu.

- Na przykład?

- No, musiałabym poszukać w archiwum.

- Później panią o to poproszę. Teraz chciałabym usłyszeć, czy Valdes zostawił jakiś notes, kómkę, cokolwiek, co by...

- Zaraz po jego śmierci szukano na polecenie sędziego śledczego i nic.

- Tak, wiem, ale myślałam, że może...

- Valdes był kuty na cztery nogi, nie zostawiał żadnych śladów. Taką miał zasadę.

- Odbierała pani telefony z miasta do niego?

- Tak. Jak był w Barcelonie, dzwonił, a ja relacjonowałam mu te najpilniejsze, z pozostałych robiłam notatki, które czekały na jego przyjazd.

- Ma pani jakąś listę tych rozmów?

- Nie. Zapisujemy je na takich małych karteczkach, które potem się wyrzuca. On sam je wyrzucał.

- Czy jakieś telefony się powtarzały?

- Pewnie tak. Czasem dzwoniła jego była, czasem z redakcji pisma w Barcelonie... jakiś namolny widz... nie pamiętam, musiałabym się dłużej zastanowić.

- Czy dzwonił może ktoś o nazwisku Lesgano?

Już miała pokręcić głową, ale nagle znieruchomiała.

- Tak, parę razy dzwonił niejaki Lesgano.

- Zostawiał jakieś wiadomości, namiar?

Myślała intensywnie, z nieodłącznym wyrazem znudzenia na twarzy.

- Nie, chyba nie, chociaż teraz, jak pani spytała, to przypominam sobie, że dzwonił nawet często w ostatnich miesiącach, zwykle w pilnych sprawach, ale ani razu nie zostawił numeru.

- Miał może obcy akcent, na przykład włoski?

Parsknęła z niechęcią.

- Ej, naprawdę nie pamiętam, nie mam pojęcia.

- Rozumiem. Kiedy możemy rzucić okiem na jego archiwum?

- Dziś po południu. Dopóki nie dadzą mi nowego szefa, nie mam co robić, chyba że mnie wywałą.

- Przyjdę koło piątej, można?

Wzruszeniem ramion wyraziła aprobatę. Wstałyśmy w milczeniu. Przy drzwiach pożegnała się zdawkowym „na razie”.

Włączyłam telefon - dwa razy dzwonił Garzon. Gdy odezwałam się do niego, w tle usłyszałam megafony lotniskowe.

- Pani inspektor, zaraz wsiadam do samolotu.

- Jak wam poszło?

- Synowie gospodyni są raczej czyści. Nienotowani, pracują, normalni ludzie. Jeden jest mura-
rzem, a drugi księdzem! Kto by pomyślał, no nie?

- A czy ja mówiłam, że to niemożliwe?

- Zgoda, ale to ciekawe. Nigdy nie wiadomo, skąd się biorą księża, a tu się okazuje, że są dziećmi zwyczajnych ludzi. - (Na szczęście przywykłam już do zdumiewających uwag Garzona). -
A pani jak poszło?

- Opowiem ci, jak dolecisz. Przy obiedzie. Znasz „El Callejón de la Ternera”?

- Jasne.

- No to tam będę czekać o drugiej.

Kiedys czytałam kryminał, którego akcja działa się w Madrycie. Amerykanin mówi tam do jednego Hiszpana: „Zaprowadź mnie do jakiejś restauracji, w której nie jadał Hemingway”, na co tamten odpowiada: „Szczерze mówiąc, to nie będzie łatwe”. Nikt nie wie, gdzie naprawdę stołował się słynny pisarz, właściciele wielu starych garkuchni przypisują sobie ten zaszczyt, nie ulega jednak wątpliwości, że w „Callejónie” bywał. Poza tym jedzenie jest tam świetne, a wystrój bardzo ładny. Czekając na podinspektora, zamówiłam wino i oglądałam rozliczne pamiątkowe zdjęcia na ścianach.

Kwadrans po drugiej Garzon się zjawił. Wyglądał jak śmierć na chorągwi. Ciężko opadł na krzesło.

- Zmęczony?

- Ja, zmęczony? A skądże! Mogę tydzień oka nie zmrużyć, sprawdziłem. Po tym okresie zaczynają się halucynacje, a na koniec przychodzi zgon. No, do tego stadium jeszcze nigdy nie dotarłem. Chce mnie pani teraz wypróbować?

- Nie przesadzaj, na oko kwitniesz.

- Lepiej nie mówić.

Nalałam mu kieliszek riojy, zamówiliśmy u kelnera obiad, po czym zrelacjonowałam przebieg moich poszukiwań i zapoznałam Garzona z planami na popołudnie. Po chwili na stole pojawiło się pierwsze danie i mój partner poczciwina rzucił się na swoje peklowane kuropatwy, jakby się bał, że mu odlecą. Odzyskawszy pierwsze siły, westchnął ciężko i wyznał, że już mu lepiej.

- Jak by to było łatwo, gdyby wszystko się wyjaśniło! Cała układanka by pasowała - stwierdził. - Pewnego pięknego dnia Marta Merchan dowiaduje się, że jej były mąż zgromadził w jakiś sposób duże pieniądze. Wynajmuje syna swojej służącej, oczywiście przestępcę, żeby go zabił, jednakże potem nie odnajduje forsy, bo ta leży na koncie w Szwajcarii.

- Mój Garzon, to jakaś kwadratura koła. Pierwszy element z układanki, który nie pasuje: skąd Valdes miał tyle pieniędzy? Czego można się spodziewać, kiedy forsa ukrywa swoje pochodzenie?

- Że na pewno w grę wchodzi przestępstwo, pani inspektor, wiem, wiem, nie jestem dzieckiem! Poza tym jak pani eks się o tym dowiedziała? I jakie miała gwarancje, że znajdzie pieniądze, skoro nie wiedziała, gdzie są? Ja tylko mówiłem, że fajnie byłoby już to wszystko rozwikłać.

- Z pewnością te pieprzone pieniądze strasznie nam brużdżą. Masz jakieś przemyślenia co do pracy, jaka nas czeka po południu? Wyobraź sobie, że odkryliśmy kilka zajebistych przykładów, jak to Valdes publicznie, w telewizji, obrzucił błotem swoich rozmówców, po czym któryś z nich chce pomścić zniewagę i sprząta pana redaktora. Ta możliwość nie ma żadnego związku z pieniędzmi.

- Podejrzewam, że powinniśmy skupić się na wytropieniu, skąd on miał tę forszę, i olać resztę. Zrobiłam kulkę z chleba i dałam jej pstryczka, hamując złość.

- A żeby to ja wiedziała, co powinniśmy zrobić!

- Niech się pani nie załamuje. Zobaczysz pani, że w którymś momencie pieniądze same wyjdą i wyjaśnią swoje pochodzenie, a także inne tajemnice. Rzecz w tym, że pieniądze bardzo trudno wysledzić, bo nie mają oczu, twarzy ani choćby serca...

- Ty byś zabił za sto milionów?

- Valdesa to nawet za sto tysięcy pesetek bym załatwił. Kto wie, może i gratis.

Śmiejąc się, dokończyłam kotlet. Kiedy czekaliśmy na kawę, podinspektor zdradził mi nowinę.

- A wie pani, że Hemingway jadał tu kolacje?

- Tak, i zalewał się w trupa.

- To były czasy! Toredorzy, Ava Gardner, knajpki, wielkie limuzyny...

- Czysta mitomania bez klasy. Za to dziś w Madrycie żyją tylko dyrektorzy międzynarodowych firm i pracownicy ministerstw.

- E, nic pani nie rozumie, a trochę wyobraźni? Hemingway to był gość.

- Wykształcony turysta.

Zaszemrał pod nosem, urażony.

- Jasne, a Ava Gardner to taka mała małpka. Byle tylko zanegować to, co ja mówię.

Przyglądałam mu się z uwagą. Nigdy dotąd nie wzdychał do takiej scenerii. Przyszło mi do głowy, że Garzon pewnie chętnie przespacerowałby się po Gran Via* [Gran Via (hiszp. Szeroki Trakt) - najstarsza z wielkich alej Madrytu.] z jakąś reprezentacyjną damą, poszedł na premierę i otarł się o sławnych aktorów. Mógłby też zostać wybitnym toreadorem, którego garderoba pełna byłaby szalejących za nim bogatych Amerykanek, nasączonych whisky. Najwidoczniej, nawet jeśli takie złudzenie kiedyś w nim się tliło, już dawno wyparowało i dziś Garzon był tylko niewyspanym Garzonem, gadającym o czasach, których nawet nie pamięta.

- Proponuję, żebyś przespał się po obiedzie w hotelu. Zadzwoń, jak wyjdę z telewizji, co ty na to?

- Przyjechałem tu do pracy.

- Świetnie. Wobec tego, zamiast proponować, rozkazuję. Nie zamierzam znosić całe popołudnie twojego złego humoru tylko dlatego, że jesteś śpiący.

Nie miał wyjścia, musiał posłuchać. Ja natomiast wróciłam do Teletotal, gdzie już oczekiwała mnie słodka Maggy.

Jak można się było spodziewać, jej manieri nie poprawiły się od rana. Przywitała mnie zdawkowym skinieniem i poprowadziła do archiwum. Był to niewielki pokój. Pośrodku stół i komputer, pod ścianami regały pełne dyskietek. Siadła przed monitorem i zapytała:

- Co pani chce wiedzieć?

Zapaliłam papierosa i wbiłam w nią mordercze spojrzenie. Jedna chmura, druga... milczałam. Pierwszy raz zaczęła się denerwować.

- Coś się pani stało? - rzuciła, obniżając poziom własnej impertynencji.

- Posłuchaj, Maggy, mnie też się życie nie podoba, mnie też wkurwia niejedna zdobycz cywilizacji. A ponieważ nie jestem dobroduszną i miłą, byłabym wdzięczna, gdybyś zmieniła swój stosunek do mnie i zgodziła się wreszcie współpracować. Inaczej pomyślę, że jesteś jakoś zamieszana w zabójstwo Valdesa i że świadomie utrudniasz mi pracę.

- Ja? Ale ja przecież...

- Tak, wiem, masz to wszystko w dupie i ostatecznie jesteś skłonna mi pomóc. Tylko powiedz, do ciężkiej cholery, czego mogę chcieć szukać w komputerze, skoro nie mam pojęcia, co tam można znaleźć. To ty musisz mną pokierować, ty musisz się zastanowić i wybrać te sprawy, w których mieliśmy do czynienia z gwałtem, skandalem albo jakąś inną kontrowersyjną historią. Czy jasno się wyrażam?

- Tak - odparła z nową siłą w oczach. Dotarło do niej wreszcie, że nie zamierzam być potulna, i ta demonstracja siły najwyraźniej przypadła jej do gustu. - W porządku. Może zacniemy szukać trzy miesiące wstecz?

- Wspaniale, trzy miesiące to dobry okres, zakładając, że ktoś chciał go załatwić z zemsty za jakieś słowa wypowiedziane w programie.

- No to jedziemy.

Wyjęła z podniszczonej torebki zużytą gumę do żucia i atakując ją dziarsko szczękami, zaczęła stukać w klawisze. Dopiero teraz zauważyłam, że ma w prawym uchu dwa kolczyki w kształcie

trupiej czaszki. Pośród licznych kolczyków zwisających z lewego ucha wybijało się skrzyżowanie kości goleniowej ze strzałkową.

- Okay - odezwała się. - Zaraz zobaczymy, który z tych skurwieli miał ścięcie z szefem.

Jej ostry język zwiastował według mnie większą wolę współpracy. Uspokojona, zapaliłam kolejnego papierosa.

- O, pani jest z tych, co postanowili sperforować sobie płuca! - wyskoczyła.

- Maggy, proszę się nie martwić o moje zdrowie, tylko skupić się na sprawie.

- Nazywam się Maria Magdalena, ale jak pani rozumie, z takim imieniem wstyd się pokazać, więc mówią na mnie Maggy.

- Dobrze.

- To na wypadek, gdyby pani wołała zwracać się do mnie moim prawdziwym imieniem.

Wiem, że policja ma przedpotopowe skłonności...

Policzyłam do trzech, nim otworzyłam usta.

- „Maggy” jest w porządku.

Wzruszyła obojętnie ramionami. Prawdopodobnie przywilej nazywania jej Magdaleną uważała za największe ustępstwo wobec ludzkości, ale ja nie przyszłam tu nawiązywać przyjaźni. Moich uszu dobiegła nucona przez nią melodia, towarzysząca jej w komputerowych poszukiwaniach. Wreszcie otworzyła na monitorze jakiś plik i przeczytała:

- Beatriz del Peral. Tu jest. Kojarzy ją pani?

- Ni w ząb.

- Upierdliwe babsko. Tancerka folklorystyczna. Ale nawet sobie pani nie wyobraża, jakie one są, te artystki z baletu. A ta to już zupełna klęska, panna z knajpy flamenco dla turystów, co to śpiewają i tańczą największe kicze pseudoludowe, na dodatek chyba urodziła się w Galicji*.

- I co jej się przydarzyło?

- Zasłynęła tym, że związała się z bankierem Herminiem Castelló. Nie wiem, co on w niej dojrzał, ale był nawet gotów rzucić dla niej żonę. I nagle dostaliśmy cynk, że widziano ją parokrotnie w jakiejś dyskotecie, jak się cmokta z jednym fiutem. Dowiadywałam się, ale żadna agencja nie miała fotek. Valdes obiecał mi premię, jak zdobędę zdjęcia. Wzięłam do pomocy koleżkę i cierpliwie rzecz przygotowaliśmy. Śledziliśmy ją po cichu wszędzie, aż wreszcie po dwóch miesiącach dała się złapać. Zrobiłam jej zdjętko, jak się całowała z jednym przystojniaczkiem, który na dodatek ładował jej łapę za dekolt. Bingo.

- Co było potem?

- Nic takiego. Zaniiosłam zdjęcia szefowi, on zrobił materiał do programu. Puściliśmy. Był spory odzew, bo bankier i jego cizia występowali we wszystkich mediach, składając długi oświadczenia. Oczywiście naszej baletnicy rozpieprzyło się małżeństwo, a bankier musiał być nieźle wkurwiony, chociaż nic nie powiedział. Wyszedł na idiotę przed całą Hiszpanią. W banku wyleciał z rady nadzorczej; już chyba był na celowniku, odkąd zaczął się prowadzić z tą zdzirą, ale nasz program zwiędził dzieło. I co, wydrukować pani ten plik?

Skinęłam głową w zamyśleniu. Maggy włączyła drukarkę.

- Były jakieś groźby?

- Kolesia chyba wysłali na Saharę, bo zniknął z Madrytu, nie wiem, co się z nim dzieje. Ona za to, nabuzowana na maksa, zasadziła się na Valdesa na lotnisku. Urządziła tam piekło, nawrzucała mu i chciała go nawet pobić. A ponieważ szef spodziewał się czegoś w tym stylu, już wcześniej zlecił jednemu fotografowi, żeby za nim łąził. Ten narobił zdjęć z zajścia na lotnisku i je upublicznił. Valdes zagroził, że ją oskarży o napaść, więc ta stuliła uszy. Już więcej nie dała znaku życia, pewnie siedzi cicho w jakimś burdelu. Ciekawe, co?

- Wszystkie te fakty są na fiszce?

- Tak, ja szukam dalej.

Przeczytałam świeże wydruki. Były tam adresy i numery telefonów obojga bohaterów afery. Schowałam kartki.

Maggy była podekscytowana, stukała w klawisze w typowy dla siebie sposób, zarazem prymitywny i nowoczesny. Co zresztą cechowało wszystkie jej ruchy i wypowiedzi.

- Mam dla pani inspektor nową zwierzynę: Jacinto Ruiz Northwell. Mówi to coś pani?

* Galicja leży dokładnie po przeciwnej stronie Hiszpanii niż Andaluzja, skąd wywodzi się muzyka flamenco.

- Ani trochę.
- Powinna pani obejrzeć czasem nasz program.
- Mam co innego w życiu do roboty.
- Czasem warto potaplać się w gównie, żeby trochę skumać świat.
- Czy musi pani używać takiego języka?
- Przeszkadza pani? Mówiłam, że policja jest przedpotopowa.
- Przejdźmy do rzeczy, Maggy, błagam.

- Będę się hamować, chociaż uważam, że „przejdźmy do rzeczy” też nie jest zbyt poprawne; mogła pani powiedzieć „skupmy się na najważniejszym”.

Niewiarygodne. Zaczerpnęłam głęboko powietrza, nim uśmiechnęłam się krzywo.

- Co z tą zwierzyną?

- A! Jacinto Ruiz Northwell, zwany markizem. Tak go nazywają, bo to naprawdę markiz. Jest spokrewniony z królową angielską czy chu... cholera wie z kim. Nie ma ani grosza, za to bywa na wszystkich przyjęciach i balach, bo jego obecność podnosi prestiż imprezy. Uchodzi za kobieciarza, jest przystojny i ubiera się jak elegancik. Był u nas w programie na tapecie kilka razy, raz to nawet żeśmy z nim wywiad robili. I nigdy nic, brał kasę i ciao. Aż do chwili, kiedy jakiś spec od promocji z Marbelli uznał, że markiz będzie świetnie się nadawał do reklamowania jakiegoś luksusowego osiedla. Reklamy pojawiły się wszędzie. Markiz dawał twarz osiedlu. Wtedy szef dostał donos z Londynu na temat zaszłości finansowych szanownego markiza. Pojechaliśmy tam z Remigiem. Remigio to ten mój koleżka, a poza tym, jak to się mówi, partner życiowy. Od razu się zorientowaliśmy, że słuchy, jakie doszły Valdesa, stanowczo się potwierdzają, więc dając w łapę tu i tam, uzyskaliśmy informację: markiz ma niezapłacone rachunki nawet w lokalnym pubie, został oskarżony o malwersacje dokonane w czasie, kiedy pracował w jakiejś spółce londyńskiej, a na domiar wszystkiego capnęli go raz z narkotykami. Nic takiego, tylko na potrzeby własne, ale wrzepili mu grzywnę i tamtejsza policja ma go w kartotece.

- A wy przywieźliście tę bombę do Madrytu.

- Otóż to właśnie! Jak tylko puściliśmy to w programie, z dowodami i w ogóle, zadyma się zrobiła, że ja cię kręcę. Ci z osiedla byli maksymalnie wpieni, aż musieli zmienić nazwę obiektu. Zaraz sprawdzę... tak, nazywało się „Ogród pod Markizami”, a teraz jest „Słoneczniki”, czyli w sumie byle jak.

- A co się stało z markizem?

- Interesy przestały mu iść i wszystko, co mogło się zepsuć, to się zepsuło. Teraz już otwarcie zgrywa żigolaka. Początkowo uniósł się godnością i przysięgał wszem wobec, że nas poda do sądu, bo naraziliśmy na szwank jego dumę osobistą... ale nic, musiał się oczywiście poddać. Może być taka historia?

- Tak. Proszę ją wydrukować. Ciekawi mnie jedna rzecz. Czy za to też dostała pani premię od Valdesa?

- Nie, bo dwa tygodnie w Londynie już uznano za nagrodę, chociaż latałam z wywieszonym ozorem, a że Remigiowi też opłacał koszty...

- Niesprawiedliwe.

- I to jak!

Pierwszy raz zobaczyłam na jej twarzy szczery uśmiech. Popatrzyła na mnie nieco przychylniej.

- Nie, ja nie mówię, że wszyscy gliniarze są jednakowi, zdarzają się i strawni, tyle że...

Przerwałam te ambiwalentne komplementy.

- Jest coś jeszcze? - spytałam oschle.

- Wybrałam w pamięci inny przykład. Szukać?

- No naturalnie, przecież po to tu przyszłam.

Kosmiczna nuda wróciła na jej oblicze. Podsunęła mi drugi wydruk, a sama skupiła się na klawiaturze i gumie do żucia, ja tymczasem przeglądałam nowe dane. Tu też figurowały adresy i numery telefonów.

Teraz musiałam poczekać nieco dłużej, ale już miałam czym się zająć. W myśli usiłowałam powiązać wątki.

- Jest. O, krótkie. Emiliana Cobos Valles. Cwana dziewczucha z towarzystwa. Coraz lepsze notowania w interesach, coraz wystawniejsze kolacje. Zdjęcia, ciuszki, kontrakty, plotki o romansach

z wysoko postawionymi ludźmi... W dziewięćdziesiątym siódmym Krajowa Izba Przedsiębiorców przyznała jej tytuł najbardziej obiecującej młodej biznesmenki.

- Czym się zajmuje?

- To jest właśnie najciekawsze. Projektantka i producentka odzieży dla dzieci. Udało jej się otworzyć dwa sklepy w Madrycie i jeden w Barcelonie. Reklamy telewizyjne z blond dzieciaczkami, które stawiają pierwsze kroczki w dopasowanych spodenkach i koszulce. Aniołeczki. A w wywiadach stale to samo pytanie: „Ile dzieci pani planuje, jak wyjdzie pani za mąż?” A ona zawsze: „Chciałabym mieć liczną rodzinę, ale nie wiem sama, jestem taka zajęta... W każdym razie mężczyzna, który mnie poślubi, powinien wiedzieć, że macierzyństwo jest w moim życiu najważniejsze”. I trach, nagle dowiadujemy się, że jako szesnastolatka miała nieślubne dziecko, chłopiec ma zespół Downa i mieszka w ośrodku w Szwajcarii, a ona nie odwiedza go nawet na Gwiazdkę.

- Nadaliście to? Przecież to koszmar.

- Może mi pani wierzyć albo nie, ale to nie ja sprawdzałam tę informację. Jakiś freelancer przyniósł ją Valdesowi, który sownie za to zapłacił. Tamten dostarczył mu nawet zdjęcia tego nie-normalnego chłopczyka z oczami Mongoła, uśmiechającego się do obiektywu. Numer był tak ostry, że nie zrobiła się żadna zadyma, wszystkim ze współczucia mowę odjęło. Ale faktem jest, że fabryka stoi na krawędzi bankructwa, nasza lady już się nie pojawia w prasie, sklepy mają być sprzedane, przynajmniej tu, w Madrycie. Podobno ma je kupić sieć barów szybkiej obsługi z kuchnią tradycyjną, wie pani, soczewica z kielbaskami i gotowanym mięsem w tekturowych pudełkach na wynos. Może to się sprawdzi. Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści.

- Z tego też mi proszę zrobić wydruk.

Musiała zauważyć moje oburzenie.

- Dla pani to wszystko wygląda na obrzydlistwa, co?

- Szczerze mówiąc, Maggy, nie wiem, co tu robi taka młoda dziewczyna jak pani.

- Z czegoś trzeba żyć. Wielu moich znajomych nie ma roboty. Valdes bardzo mi pomógł, zobaczmy, czy dalej będę miała tyle szczęścia.

- Rozność ulotki, zapisz się do organizacji pozarządowej albo do Legionu Kobiecego, rób cokolwiek, byle nie paprać się w tych świństwach!

- Może to i świństwa, ale nasi bohaterowie to też wcale nie siostrzyczki miłosierdzia. Czy nie jest obrzydliwa baba, która wychodzi za bogatego gościa tylko dla kasy i nie jest w stanie dochować mu wierności choćby w dzień po ślubie? A ten kutas, co wszędzie wycyganiania forszę i jeszcze oczekuje, że będą mu za to wdzięczni? Że nie wspomnę o mamusce, co chce mieć liczną rodzinę, ale swojego nienormalnego synka wysyła w najwyższe góry Europy, żeby tam zgnił i nie bzykał się z nikim, bo spłodzi następne. To są dopiero świństwa!

- Wy jesteście na tym samym poziomie degradacji.

- Taki mamy zawód, a policja to co, święta?

Schyliłam głowę i zacisnęłam zęby. Gdybym była choć odrobinę rozsądna, nigdy nie zaczęłabym tej dyskusji.

- Jest coś jeszcze?

Odwróciła się ode mnie i zaczęła wściekle walić w klawisze.

- Nie wiem. Te są najmocniejsze z ostatnich trzech miesięcy. Był jakiś toreador, którego Valdes nazwał publicznie „burakiem”, aktorka, która potajemnie zrobiła sobie dwie operacje plastyczne... ale nie wiem, czy to wystarczy, żeby zabić. Chociaż pani na pewno by nas zamordowała za dużo mniejsze przewiny.

- Tylko bym się ubrudziła. - (Spoglądała na mnie ze złością i żalem. Podałam jej wizytówkę).

- Nasze spotkanie nie było miłe, ale przyznaję, że dużo mi pani pomogła. Proszę zadzwonić, gdyby jeszcze coś przyszło pani do głowy. Przypominam, że to obywatelski obowiązek.

- Jeśli w ogóle zadzwonię, to z poczucia obowiązku, na pewno nie dlatego, że mam ochotę pani pomagać.

Wracałam do hotelu taksówką, a serce skakało mi w piersi jak oszalałe. Zaczęłam się zastanawiać. Jak mogłam być tak tępa, tak głupia, tak zadufana w sobie, tak nieokrzesana, tak potwornie i kurewsko ograniczona? Kim jestem, żeby oceniać czyjąkolwiek moralność i jeszcze rzucać mu to w twarz? To właśnie jest ta inspektor Delicado, znana w policji z opanowania, dystansu i dobrych manier? Chciałam zbluzgać taksówkarza, nazwać go ciotą, żeby dał mi w pysk i w ten sposób wymierzył sprawiedliwość. Maggy wykazała się nieprzeciętną inteligencją, wybierając dla mnie

szczególne przypadki. Były istotne powody, żebym właśnie nimi zajęła się w śledztwie! Nawet na swój sposób okazała mi uprzejmość, dawała się lubić z tymi swoimi uszami pirata i włosami w kolorze kanarka! Jedyna jej wina polegała na tym, że wyzwoliła we mnie toporne odruchy moralizatorskie i echa pobieżnej edukacji religijnej. Ocenianie to zajęcie w sam raz dla tchórzy! Najgorsze, że wywnętrzając się jak jakaś lewacka mniszka, mogłam zaszkodzić sprawie. Oj, niechętnie wróci Maggy myślą do mojego śledztwa, niechętnie zadzwoni, żeby sprzedać mi nowiny... To się właśnie nazywa strzelić gafę albo, jak by to nazwała Maggy, dać totalnie dupy.

Zadzwoniłam z baru do Garzona. Dziesięć minut później zszedł, wykąpany i przebrany. Odpoczynek przyprawił go o fantastycznie dobry humor. Zastał mnie przy pierwszym łyku whisky z lodem.

- Jak poszło w telewizji?

W odpowiedzi podsunęłam mu wydruki od Maggy.

- Ej, widzę, że nie jest pani w sosie! Z powodów zawodowych czy sprawa ściśle prywatna?

- Zajmij się lekturą.

Zajął się, bez cienia urazy. Z najwyższą uwagą przebiegał oczami po tekście. Skończyliśmy równocześnie, on czytanie, ja drinka.

- Słowo daję, ale materiał! Wszyscy ci dranie mają motyw, żeby zemścić się na Valdesie. No i w grę wchodzi spore pieniądze, każdego z nich było stać na wynajęcie faceta od mokrej roboty. A że zrobili to u niego w domu w Barcelonie, to całkiem normalne, im dalej od Madrytu, tym lepiej, mniej podejrzeń.

- Wszystko bardzo ładnie, ale jak wytłumaczysz sto milionów w Szwajcarii?

Dał znak barmanowi i zamówił whisky. Poprosiłam o drugą dla siebie. Po chwili, spokojnie i bez ogródek, wyłożył mi swoją teorię.

- Przez ten czas nie tylko spałem, ale także rozmyślałem. Jak pani wiadomo, mam nieprzeciętne zdolności.

Skinęłam głową, nieskora do żartów. On jednak niewzruszenie podniósł szklanekę whisky, po czym z wyraźną rozkoszą pociągnął tęgi łyk.

- Cudownie jest wstać o ósmej wieczorem i zamówić whisky na śniadanie! Nie można by tak codziennie?

Straciłam cierpliwość.

- Poza tym, że wysoko sobie cenisz własne zdolności i wzdychasz do życia w luksusie, na jakie człowiek twojego talentu niewątpliwie zasługuje, masz mi coś do powiedzenia o sprawie?!

Moja zgryźliwość nie zdołała wytrącić go ze stanu błogości.

- O sprawie? A, tak! Chciałem powiedzieć, że może nie powinniśmy na siłę łączyć konta w Szwajcarii z morderstwem. Nie przyszło pani do głowy, że Valdes brał od swoich ofiar forszę, żeby nie publikować szamba na ich temat? A ci, którzy się nie zgodzili, trafiali na kolumny jego rubryki albo do telewizji.

- Ale to kupa pieniędzy!

- Pieniądze można składać po troszeczku... albo, kto wie, może trafił na grubą fiszę, która okazała się żyłą złota.

- Ni mniej, ni więcej. Może nie miał innego wyjścia. Niech pani sobie wyobrazi, że nasz Valdes szuka czegoś innego, grzebie się w tych zwykłych śmieciach, a tu nagle trafia na tajemnicę dużego formatu, dotyczącą osobistości też dużego formatu. I kombinuje: opublikować czy nie? Jeśli tak, to co z tego będzie miał? Nie, wyklucza ewentualność spożytkowania sprawy na niwie zawodowej, zresztą przypadek stanowczo wykracza poza ramy jego reportaży. Czy sądzi pani, że taki jastrząb wypuściłby króliczka ze szponów, nie próbując uszczknąć choćby kawałka? Nie, decyduje się na inną drogę, próbuje szantażu.

- Jako teoria brzmi sensownie i atrakcyjnie. Jeśli się potwierdzi, jesteśmy udupieni.

- Dlaczego?

- A jak możemy z tego skorzystać? Którędy poprowadzić dochodzenie?

- No, mamy utworzony jeden front, szukamy płatnego zabójcy.

- Zapomnij, ten skurwiel konfident nawet nie zadzwonił.

- Niech się pani wyluzuje, pani inspektor, dobra wtyka potrzebuje czasu na sprawdzenie informacji. Nawet jeśli powie pani, że niczego nie wywęszył, i tak zadzwoni. Oni chcą dobrze żyć z policją. Powiem więcej: to, że nie zadzwonił do tej pory, uważam za dobry znak.

- Skoro tak twierdzisz...

- No dobrze, to teraz pani niech mówi.

- A co chcesz wiedzieć?

- Dlaczego ma pani zły humor?

- Ach, tak? Nieważne. Mami tylko wyrzuty, bo byłam nieuprzejma wobec dziewczyny, która mi pomogła.

- Typowe pani chimery?

- Uważasz, że chimery stanowią cechę mojego charakteru?

- Chyba tak.

- Coś takiego, a ja myślałam, że jestem kobietą miłą i zrównoważoną!

- To też. Można powiedzieć, że jest pani zrównoważona z okresowymi chimerymi, późniejszymi wyrzutami sumienia i okazjonalnymi depresjami.

- Wystarczy, już nieźle podniosłeś mnie na duchu.

- W takim razie chodźmy na kolację. A jutro sprawdzimy, co słyhać u trójki tych popaprańców ze świecznika.

- Wolę iść spać, jestem zmęczona.

- To nie mam wyjścia, idę sam. Prostack z prowincji podbija stolicę!

- Aha, uprzedź komisariat, że zostajemy co najmniej do późno. Przesłuchanie tej trójki może nam zająć trochę czasu.

- Jasne, pani inspektor, miłego wypoczynku.

Wstałam i zostawiłam go sam na sam z jego szczęściem i whisky, którą sączył w barze, jakby był Herculesem Poirot w Pera-Palace.

Poszłam do pokoju, rozebrałam się i owinięłam w ręcznik, planując prysznic. Najpierw jednak zadzwoniłam do domu. Siostra odebrała natychmiast.

- Jak się masz, Amanda? Uwierz, strasznie mi przykro, ale wrócę najwcześniej pojutrze. Wszystko się pokomplikowało i...

- Nic się nie martw, kochanie, wszystko w porządku. Ja też chciałam ci powiedzieć, że dzisiaj idę na kolację z jednym twoim kolegą...

- Jak to?

- Tak to, z inspektorem Molinerem. Bardzo sympatyczny facet! Wpadł tu wczoraj wieczorem, chciał z tobą pogadać o jakiejś służbowej sprawie. Powiedziałam mu, że jesteś w Madrycie, poczęstowałam kawą. Zaczęliśmy rozmawiać i tak wyszło, że dziś jesteśmy umówieni na kolację.

- Amanda, a wiesz, że on jest w separacji z żoną?

- Tak! Czy to nie fantastyczny zbieg okoliczności?

- Szczwana suka! Tyle że to nie jest zbieg okoliczności.

- Nie rozumiem...

- Amanda, jesteś już dużą dziewczynką i wiesz, co się dzieje z facetami, kiedy dochodzi do separacji.

- Ostrzegasz mnie, że jako kobieta zrozpaczona mogę paść ofiarą uwiedzenia, dobrze rozumiem?

- No, Amanda, nie wiem, ja...

- Nie mogę w to uwierzyć! Petra! Ty udzielasz mi rad? A czego ty się boisz? Że zakochani się jak wariatka? Że mnie zgwałci?

- Chciałam cię tylko uprzedzić.

- No jasne! Rozżaleni faceci, jak chcą się podnieść na duchu, to jedną ręką chwytają się brzytwy, a drugą baby! Posłuchaj, Petra, mam prośbę: zapomnij o mnie! Aha, dziś w nocy, jak się będziesz kładła spać, zastanów się, czy naprawdę jesteś tak wyzwolona i postępową, jak ci się zawsze wydawało!

- Pieprzymy od rzeczy, Amanda.

- Tak, ty szczególnie. Przepraszam, muszę kończyć. Przyszedł Don Juan, by uwieść mnie podczas kolacji.

Odłożyła słuchawkę. Ja też. Przejrzałam się w okrągłym lustrze. Dawna bojowniczką o postęp, owinięta ręcznikiem, staje teraz na straży moralności, gdziekolwiek się ruszy. Oto moje odbicie. Poszłam wziąć prysznic, przekonana, że niegłupim planem na przyszłość byłoby poślizgnąć się na mydle.

Nie wszystkie złowrogie legendy lat pięćdziesiątych, do których wzdychał Garzon, miały dać o sobie znać podczas madryckiego etapu naszego dochodzenia, ale taka galeria podejrzanych (markiz, tancereczka i bogata panna) mogła mu zaoferować co nieco z lekka zatęchłej dekadencji.

Baletnicy nie było w domu. Adres, pod którym mogliśmy ją zastać, podobno jej miejsce pracy, bez najmniejszych problemów uzyskaliśmy od sąsiadki. Byłam pewna, że chodzi o jakiś bar flamenco, a niechby i najpodlejszy, mój podinspektor przynajmniej mentalnie będzie mógł się przebieść w epokę Bosonogiej contessy. Jednakże duch wielkiej Avy już nie przechadzał się ulicami Madrytu. Zamiast sukni z falbanami i z trenem, tudzież malowanych czarnymi cieniami oczu, pod wskazanym adresem znaleźliśmy tylko kompleks sklepów z odzieżą sportową. W dziale aerobiku, pośród ochraniaczy, butów sportowych i kostiumów, tkwiła piękna Beatriz del Peral, której prawdziwe nazwisko - co za hańba! - brzmiało po prostu Josefina Garcia. Owszem, była piękna, przynajmniej na tyle, że z łatwością wyobraziłam sobie, jak jakiś finansista traci dla niej głowę. Szczupła, z włosami farbowanymi na ognisty złoty blond, o delikatnych rysach i dumnym wyrazie twarzy, miała na sobie uniform sprzedawczyni, co w żaden sposób nie ujmowało jej uroku. Przyjęła nas ze sporą niechęcią i bez zdziwienia, z czego wywnioskowałam, że miła sąsiadka zdążyła już zapowiedzieć naszą wizytę.

Nie dała nam dojść do słowa. Zwróciła się twarzą do Garzona, którego ze względu na płeć i wiek uznała za szefa, i wypuściła z siebie serię:

- Proszę, nie tutaj. Chyba że chcecie, bym straciła i tę gównianą robotę?

Podinspektor spojrzał na mnie bezradnie jak dzieciak. Zgodziłam się, nie miałam ochoty na dodatkowe awantury.

- Wychodzę za półtorej godziny. Może państwo zaczekają w barze naprzeciwko, nie zamierzam uciekać.

Pragnąc pokojowej współpracy z podejrzaną, okazaliśmy posłuszeństwo. Parę zimnych piw też przecież nie zaszkodzi. Tu, w Madrycie, mieli upalną wiosnę. Garzon był spocony jak Louis Armstrong przyspawany do trąbki.

- I co pani sądzi? - zapytał i wyciągając ze szklanki umoczone w pianie wąsy, dodał: - Na razie nie wygląda na kogoś, kto może sobie pozwolić na wynajęcie płatnego zabójcy.

- Nie ufaj pozorom. Może ma bogatego przyjaciela, który pożyczył jej forszę na akt zemsty.

- I mając bogatego kochanka, pracowałaby w takim miejscu?

- Kochankowie już nie są tacy jak kiedyś, Fermin. Wyciąganie ukochanej z okowów świata pracy należy do przeszłości. Kolacja u Ritza raz na jakiś czas zupełnie wystarczy. Skoro biedna kochanka nie zwalnia od podatków...

- ...to i ja mógłbym sobie na to pozwolić.

- Mogłabym ci zadać osobiste pytanie?

- Proszę bardzo.

- Jak sobie z tym radzisz?

- Jak sobie z czym radzę?

- Z problemem seksu i uczuć. Nigdy o tym nie wspominałeś.

Popatrzył na mnie, jakby miał ochotę uwięzić mi kamień młyński u szyi i wrzucić do morza.

- Szczerze mówiąc, pani inspektor, nigdy nie sądziłem, że posunie się pani do takich pytań. To nie w pani stylu.

- Oburzyłam cię?

- Tak.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Przede wszystkim jest pani kobietą i mam nadzieję, że pani o tym nie zapomniała. A poza tym stoi pani nade mną w hierarchii, a o tym, jestem pewien, nigdy pani nie zapomina. Wobec tego...

- Tak, przepraszam, masz rację, zachowałam się nieprzyzwoicie. Po prostu podminowały mnie sprawy sercowe. Wiesz, że moja siostra umawia się na randki z Molinerem?

- Z inspektorem Molinerem?

- Tak, obydwójce właśnie rozstają się ze współmałżonkami. Nie wiem, do czego to doprowadzi.

- Ja bym się nie niepokoił.

- Siostra trzymała się zawsze z dala od tak zwanego prawdziwego życia.

- No cóż, może przydałoby się, żeby wreszcie puściła się barierki i skoczyła.

- Tyle że wątpię, czy akurat z Molinerem powinna się puszczać.

- Wie pani, co panią gryzie? Inspektor też jest gliniarzem, a pani zawsze była kiepskiego zdania o policjantach, wyczuwam to od dawna.

- Nigdy nie masz dobrego zdania o tym, co znasz na wylot.

- Pozwolę sobie zauważyć, że pani jest bardzo niekonsekwentną kobietą.

- Chyba w ramach średniej krajowej.

- Sprzeciw, pani wykracza wysoko ponad średnią. Jest pani feministką, a boi się, że siostra trochę sobie poszaleje. Jest pani policjantką, a uważa, że wszyscy gliniarze to ludzie niegodni zaufania. Jestem pewien, że znalazłyby się następne dowody.

- Odwagi, nie wątpię, że będziesz miał sto procent trafień. Ale jedno sobie zapamiętaj: nie jestem feministką. Gdybym nią była, nie pracowałabym w policji, nie mieszkałabym w tym kraju, nie wyszłabym dwukrotnie za mąż, nawet nie wyszłabym na ulicę. Żebyś wiedział!

Zobaczyłam, że w milczeniu utkwiał wzrok w coś za moimi plecami. Odwróciłam się w samą porę, by jeszcze zobaczyć, jak Josefina Garcia zbliża się do naszego stolika. Nie miała na sobie ludowego stroju, nie odróżniała się niczym od przeciętnej gospodyni domowej. Tylko czerwone buty na wysokich obcasach i ognisty kolor włosów przypominały o jej przeszłości jako Beatriz del Peral.

Nawet nie podziękowała za to, że oszczędziliśmy jej pytań w sklepie. Zamówiła piwo i usiadła przy naszym stoliku. Postanowiłam bez ogródek zapytać, co robiła wiadomego dnia.

- Pracowałam jak zwykle, a potem poszłam do domu.

- Mieszka pani sama?

- Nie. Dwa miesiące temu wzięłam ślub. Mój mąż jest agentem ubezpieczeniowym i nieźle zarabia. Dawne czasy, teatrzyki mam za sobą, jasne?

Garzon odezwał się chłodno:

- Trzy miesiące temu miała pani innego narzeczonego. Jakim cudem tak szybko udało się pani znaleźć nowego męża?

- To mój naręczony od zawsze, a też o mało go nie straciłam. Jeszcze trochę, i ten skurczysyn Valdes zniszczyłby mnie na amen. Ale ja go nie zabiłam, rozumie pan? Nie mam zwyczaju zabijać wszystkich, którzy mi szkodzą, bo już paru miałabym na sumieniu. W każdym razie mogę was zapewnić, że jak usłyszałam, że go sprzątnęli, wypłam butelkę szampana. I nie tylko ja!

- Czy pani mąż był notowany przez policję?

Kiedy mi odpowiadała, w jej oczach wzbierała nienawiść.

- Niech mnie państwo przestaną wkurwiać. Przez to wszystko mój mąż stał się zazdrosny i wiele lat minie, nim wybaczy mi to, co zrobiłam. Jeszcze tego brakowało, żebyście mu się do dupy dobierali! Szukajcie tam, gdzie trzeba, a ludzi uczciwych zostawcie w spokoju.

- A gdzie powinniśmy szukać?

- Podobno Valdes robił interesy na dużą skalę, niezbyt jasne, tak słyszałam.

- Jakie interesy?

- Sądzi pani, że gdybym wiedziała, tobym nie wyciągnęła tego na jaw? Niestety, nie wiem nic.

- A kto pani wspominał o tych interesach?

- Ba, plotki, słyszało się tu i tam! Mówiło się, że Valdes lata do Szwajcarii wpłacać kasę na jakieś konto... ale nikt nie miał pojęcia, o co tak naprawdę chodzi. To był sprytny gość.

Postanowiłam złagodzić nieco jej niechęć i lekko uśmiechnięta popatrzyłam na nią z uwagą.

- Pani Josefino, jak pani pewnie wie, pozostawanie na wolności zabójcy Valdesa nie przynosi pani żadnej korzyści.

- Jasne, że wiem. Przeciwnie, chciałabym, żeby go dorwali, bo ten skurczysyn Valdes ani chybi miał z nim konszachty. Ale o niczym więcej mi nie wiadomo, przysięgam na Boga jedyne.

Już mieliśmy zwijać żagle, kiedy Garzon doznał nagłego olśnienia.

- A te interesy, o których doszły panią plotki, miały miejsce w Barcelonie czy w Madrycie? Beatriz del Peral zastygła na moment, po czym bez cienia niepewności w głosie odparła:

- W Madrycie. Ludzie gadali, że wszystkie okazje łapał tutaj.

- Świetnie. Jak się nazywa pani mąż?

Żeby uniknąć kolejnych problemów, wyjaśniłam, czemu Garzon zadał to pytanie.

- Sprawdzimy jego kartotekę i tyle. O niczym nie będzie wiedział. Przynrzekam, że zostawimy państwa w spokoju.

Popatrzyła w stronę sklepu.

- Widzą państwo? Tam stoi mój mąż. Dzień w dzień przychodzi mnie odebrać. Domagał się, żebyśmy natychmiast się pobrali, jeśli zdecyduję się z nim zostać, ale to go nie uleczyło z zazdrości. Ma mnie na oku dwadzieścia cztery godziny na dobę. Teraz będę mu się musiała tłumaczyć, dlaczego siedziałam w barze. Może nawet państwa też zobaczył.

- Proszę powiedzieć, że jestem pani koleżanką z dawnych czasów - zlitowałam się.

Na jej twarzy pojawił się grymas ni to pogardy, ni to smutku.

- Naprawdę? Wie pani doskonale, że nikt tego nie kupi. Przecież to jasne, że pani i ja nigdy nie mogłyśmy być koleżankami, jesteśmy z różnych klas społecznych, to widać od razu. Zapewniam panią, że tę lekcję przerobiłam dokładnie, pani inspektor.

Uśmiechnęła się z goryczą.

- Mój mąż nazywa się Lorenzo Alvarez Bailen. Miłego dnia.

Wyszła. Widzieliśmy, jak przechodzi przez ulicę i obejmuje się z młodym mężczyzną. Oddalił się, żywo rozmawiając. Domyśliłam się, że pewnie poddał ją przesłuchaniu znacznie ostrzejszemu niż my. Dopadł mnie smutek. Spróbowałam przekuć go we wściekłość, którą skierowałam na Garzona.

- Widzisz, Fermin, że nie jestem feministką. Gdybym nią była, poszłabym tam teraz i dałabym temu koleśowi w pysk. I jej też, za to, że uważa małżeństwo z byle kim za jedyne wyjście. A Valdesa zabiłabym jeszcze raz za to, co zrobił. Nie zapomniałabym też o szkole, jaką trzeba by dać temu kretynowi z banku za to, że chciał ją kupić jak cielaka na targu. A na koniec podłożyłabym bombę pod wszystkich, którzy oglądają program Valdesa i kupują plotkarskie gazetki.

Podinspektor płacił z roztargnieniem za piwo. Nie wzruszało go specjalnie moje gadanie.

- Dobrze, dobrze, pani inspektor. Niech się pani zapisze do Armii Zbawienia Kobiet, a gdy będę już stał pod ścianą, proszę pamiętać, że kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

- Ciebie rozstrzelałabym pierwszego.

Zaśmiał się jak bas w operze, zadowolony, że dał mi okazję do żartów. Nagle coś sobie przypomniał.

- Słyszałem pani komórkę, jak z nią gadaliśmy. Może pani sprawdzi, kto to.

Wygrzebałam telefon z torebki i odsłuchiwałam wiadomość, po czym popatrzyłam z powagą na podinspektora.

- Wracasz ze mną do Barcelony czy zostajesz?

- Co się dzieje, do cholery?

- Konfident czeka na mnie o piątej na Welodromie. Ma jakieś informacje.

- Dobra. Spływam stąd razem z panią, przy okazji posprawdzam, czy ten Lorenzo Alvarez ma jakieś zaszłości. Może po tym, co pani powie konfident, nie będziemy musieli tu wracać.

- No to biegiem. Ta łajza nie dała mi możliwości przełożenia spotkania. Czy tym pieprzonym konfidentom się wydaje, że są Panem Bogiem? Wracamy na lotnisko, Fermin. Nie mamy czasu nawet przejechać przez hotel.

Na miejscu byłam przed piątą i przez półtorej godziny czekałam nadaremno, aż Pan Bóg zstąpi na Welodrom. Jednak nie pojawił się ani on, ani jego rzeczniczka. Zadzwoiłam do Abascale, żeby spytać, czy takie opóźnienie należy uważać za normalne posunięcie taktyczne. Zaprzeczył. Poprosiłam go o adres konfidenta, co było krokiem stosowanym w ostateczności. Podyktował mi, po czym dodał kategorycznie:

- Petra, tym razem absolutnie nie wolno ci iść tam samej. Wyślij przodem patrol.

- Dlaczego?

- Bardzo możliwe, że czeka was tam niespodzianka.

I czekała. Higinio Fuentes został znaleziony na podłodze przedpokoju, a jego żona na łóżku, obydwójce zabici strzałem w czoło, oddanym z bliskiej odległości. Wyrok w trybie doraźnym. Drzwi nie były wyważone, nie zauważyliśmy śladów szamotaniny, z czego mogliśmy wnosić, że zabójca zapukał, a Fuentes otworzył mu bez cienia nieufności. Albo się znali, albo facet uciekł się

do podstępu. Stało się jasne, że informacje, jakie miał nam do przekazania, były wiarygodne, inaczej nadal by żył. W sypialni wszystko poprzewracali. Kobieta na łóżku przedstawiała żalony widok, doskonale wryła mi się w pamięć. Zginęła tylko za to, że spała obok męża. Nakazałam sporządzenie protokołu, chociaż wiedziałam, że niczego nie znajdziemy.

- Skoro przyszedł tu, mając świadomość, że dom jest pod obserwacją, to znaczy, że facet się nie cyka, jest zdesperowany i działa błyskawicznie. Sposób przeprowadzenia akcji wskazuje, że być może znów mamy do czynienia z robotą zawodowca. To samo można wnosić z faktu, że kobieta też nie żyje. Eliminacja ewentualnego świadka. Bez wątplenia profesjonalista - podsumował Abascal po zakończeniu wszystkich czynności.

- Profesjonalista za grubą forszę. Inaczej nie odważyłby się, za duże ryzyko - napomknął Garzon.

- A co wiemy o pociskach?

- Poszły na balistykę.

Wyłamałam palce ze zdenerwowania.

- Przesłuchaliście sąsiadów?

- Żadnych wyników. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

- Kurwa, wszystko znika jak zaczarowane!

- Jeżeli w tej historii występują płatni mordercy i konfidenty, to niemal logiczne, że tak musi być. Jesteśmy w królestwie ciemności.

- Ale coś chyba wiemy o tym konfidentzie!

- I to sporo, ale założę się, że na niewiele się nam to przyda.

- Załatwili go, żeby się z nami nie spotkał. W pewnym sensie staliśmy się współnikami zbrodni.

- Taka jest praca konfidentów. Przykro mi, Petra, że straciłaś niewinność. Sami wiedzą, że ryzykują.

Wróciłam do domu zdruzgotana. Garzon zadzwonił do recepcji hotelu w Madrycie, żeby nie sprząтали naszych rzeczy, bo za parę dni powinniśmy tam znów przyjechać.

Amanda szykowała się do wyjścia, kiedy wróciłam.

- Musiałam sobie kupić parę sukienek - oświadczyła. - Nie spodziewałam się, że będę się tak udzielać towarzysko.

Była precudna, elegancka, zmysłowa...

- Spotykasz się z Molinerem?

- Tak. Właśnie dzwonił, mówił, że coś mu wyskoczyło i trochę się spóźni. Wie, że wróciłaś do Barcelony, i chce ci coś przekazać.

- Służbowa sprawa?

- A niby jaka?

- Nie wiem, a nuż chce mnie prosić o twoją rękę.

- Nie sądzę, chyba niepotrzebna mu zgoda rodziny, czy może jednak...?

- A jak zadzwoni twój mąż, co mam powiedzieć?

- Powiedz mu, że poszłam się szlajać. Zresztą już raz dziś telefonował.

- I co mówił?

- Ba, nie wiem, wydzwania tu dzień w dzień. Zarzeka się, że mu przykro, że fatalnie to znosi, i pyta, kiedy wrócę. Chyba strasznie mu pilno ulotnić się z tą kochanką.

- Amanda, ja... żałuję, że wepchnęłam nos w nie swoje sprawy. Tyle że Moliner nie wydaje mi się dobrym wyborem.

- Bo pośrednio jesteś zaangażowana?

- Policjant nie powinien mieć rodziny.

- Jeśli wolisz, pójdę do hotelu.

- To chyba niekonieczne.

- Petra, słuchaj, nie wiem, co się za tym kryje, ale mam ochotę się z nim spotykać. Pierwszy raz w życiu zrobię to, czego domaga się moje ciało, i nie zmienię postanowienia. Nie posłucham głosu rozsądku, nie ulegnę ani tobie, ani Enrique... O nic mnie nie proś, daremny trud.

I co mogłam jej odpowiedzieć? Miałam potraktować to jako jej prywatną żądzę? Dlaczego stałam okoniem wobec własnej siostry? Nigdy nie miałam skłonności opiekuńczych ani rodzinnych. A może wszystko przez to, że odzywa się moje dawne, znane pragnienie, żeby dano mi spo-

kój, nie komplikowano życia i nie kazano myśleć o cudzych problemach? Oby tak było! Nie zniosłabym sama siebie, gdybym po czterdziestce stała się moralistką.

Wypiłyśmy w kuchni drinka. Za piętnaście dziesiąta pojawił się Moliner. Spodziewałam się, że przyjdzie przebrany i wymuskany, ale dopiero co opuścił komisariat.

- Petra, chciałbym z tobą pogadać.

Siostra, z kieliszkiem w dłoni, dyskretnie wyszła do salonu. Moliner zaczął coś do mnie mówić, ale nie słuchałam, tylko obserwowałam go z uwagą. Nie jest taki zły jako facet: wysoki, przystojny, uprzejmy. Chyba Amanda jednak ma gust.

- Mógłbyś powtórzyć? - wypaliłam nagle.

- Może to nie jest takie istotne, ale... Korzystaliśmy z usług tego samego konfidenta, wiedziałś o tym?

- Nie.

- Higinio Fuentes widział się ze mną tamtego dnia parę godzin wcześniej.

- Za dużo jak na przypadek?

- Kto wie? Ale największego klina zabiło mi jego zachowanie. Niepokoił się, czy dotrzymam umowy, chciał, żebym zapłacił mu z góry, zanim dostarczy informacje, które podobno dla mnie miał.

- Nie widzę związku.

- Petra, nie przyszło ci na myśl, że chciał nam zdradzić tę samą osobę? Możliwe, że i dla mnie, i dla ciebie miał identyczne dane. W takim przypadku mógłbym przecież odmówić zapłaty. Dziwi mnie, że bał się o wynagrodzenie. Konfident przecież wie, że zawsze dotrzymujemy umowy.

- Rozumiem. Jak twoje śledztwo?

- Czekałem na ten donos jak na zbawienie.

- Ja też. Wiesz co, Moliner? Podejrzewam, że gdybyśmy mieli choć trochę oleju w głowie, poszlibyśmy teraz prosto do komisariatu. Musimy porównać nasze przypadki.

- A Amanda?

- Sprawa służbowa, musi to zrozumieć.

- Pozwolisz, że sam jej to powiem?

Spojrzenie, jakie rzuciła mi siostra, kiedy wychodziliśmy z domu, mogłoby przewiercić mur. O dziwo, z Molinerem pożegnała się bardzo serdecznie. Wszystko jedno, robota to robota - odgrzebałam w myśli jeszcze jeden komunał.

Udaliśmy się do jego gabinetu i zrobiliśmy sobie kawy. Moliner włączył komputer.

- Co chcesz wiedzieć? - spytał.

- Wszystko.

- Moja denatka nazywa się Rosario Campos, pochodziła z zamożnej rodziny i pracowała jako hostessa na zjazdach. Zdołałem potwierdzić jedynie... zresztą to i tak bardzo dużo... że nieszczęsna dziewczyna była stałą kochanką ministra zdrowia. Często podróżowała do Madrytu, gdzie spotykali się w hotelu.

- Nie pieprz! Skandal pełną gębą.

- Szczególnie zważywszy na to, że minister jest żonaty, ma siedmioro dzieci i należy do Opus Dei.

Gwizdnęłam z podziwu.

- Kiedy się tego dowiedzieliście?

- Dopiero co.

- I jakie ruchy wykonaliście potem?

- Siedzę cicho jak myszka. Czekałem na cynk od tego zabitego konfidenta, nim strzelę w którąkolwiek stronę. Wiesz, że jak strzelasz w górę, musisz być absolutnie pewna, że nic ci nie zleci na łeb.

- A teraz?

- Już nie mogę czekać. Gadałem z Coronasem, sędzia śledczy zgłosił się do ministra po pierwsze zeznanie. Będzie afera jak się patrzy.

- Sądzisz, że Valdes mógł być w to zamieszany?

- Kule, którymi zabito naszych denatów, są różne. Styl zabójstwa też nie jest identyczny, ale czy to ma znaczenie?

- Nie wiem. Jeżeli to był ten sam sprawca, mógł zmienić broń, zabić też mógł inaczej. Pocz-

kajmy, co powie balistyka o zabójstwie Higinia Fuentesesa i jego żony.

- To byłoby za proste, nie? Z jakiegoś powodu, może w obawie, że zostanie sama, Rosario Campos chce zemścić się na ministrze albo postawić go pod ścianą. Spotyka się z Valdesem i proponuje mu swoją historię. Oboje szantażują ministra, aż ten w końcu nie wytrzymuje i postanawia ich sprzątnąć. Wynajmuje mordercę i załatwia jego i ją na amen.

- W jakim czasie mogło się to wszystko zdarzyć, jak sądzisz?

- Nie potrafię stwierdzić, osiem miesięcy, może rok...?

- Wpłaty na szwajcarskie konto Valdesa dokonywane były dużo wcześniej, sumy wpływały nieregularnie.

- Okup wymuszony szantażem. To by się zgadzało.

- Czas nie pasuje.

- Może chodzi o szantaż wobec innych osób.

- Domyślałem się twojej teorii. Valdes, pracując nad trywialnymi plotkami, natrafia raz po raz na grubsze sprawy, które wykorzystuje do szantażu.

- Ni mniej, ni więcej. Ale coś w tej teorii szwankuje. Mianowicie u Rosario Campos nie stwierdzono znaczących pieniędzy, ani w Szwajcarii, ani gdziekolwiek indziej.

- Może nawet nie zdążyła zacząć działać. Przy pierwszej groźbie minister ją załatwił. Jak odkryliście, że byli ze sobą?

- Sąsiedzi coś chlapanęli, jedna jej koleżanka, rodzice... Zbieraliśmy okruchy to tu, to tam. W końcu urzędnik zbliżony do kręgów ministerialnych zgodził się współpracować, w najgłębszej tajemnicy.

- W rządzie zawsze znajdzie się ktoś, kto chętnie wbije ci nóż w plecy.

- W rządzie i wszędzie.

- Teoria jest niezła, ale ma kilka luk.

- Daty?

- Nie tylko. Planowanie częstych szantaży wymaga infrastruktury. Valdes sam nie dałby rady.

- Sprawdzasz coś w tym kierunku?

- Chwilowo nie ma żadnych dowodów. Przesłuchujemy jego ostatnich wrogów publicznych.

- Dopisz do listy pytań, czy Valdes usiłował dogadać się z nimi na stopie finansowej.

- Oczywiście. A ty co zamierzasz?

- Jak tylko dostanę pozwolenie od Coronasa, jadę do Madrytu zapolować na ministerialnego zajączka.

- Ale numer! Mam nadzieję, że będziesz dyskretny.

- To podobno moja specjalność. Sędzia ma nałożyć klauzulę tajności, więc chwilowo możemy mieć nadzieję, że do mediów nie przeniknie, ale małżonka...

Znowu zagwizdałam jak ulicznica.

- Małżonka pana z Opus Dei, ministra zdrowia ze stałą kochanką!... Nawet „The Sun” nie mógłby marzyć o czymś pikantniejszym. Może to oznacza twój awans.

- Albo wylecę ze służby, jeśli zdecydują, że sprawa ma przyschnąć.

- Za dużo tu trupów, nie dadzą rady.

- Też tak myślę. Nie chciałbym okazać się nieskromny, ale ufam swojej dyplomacji i savoir-vivre'owi.

- Mówimy Coronasowi o naszych wspólnych podejrzeniach?

- A ty co proponujesz?

- Może lepiej na razie się wstrzymać. To wszystko są domysły oparte na kruchej podstawie.

- Nie, ja to widzę coraz wyraźniej. Pieprzony Higinio Fuentes chciał sypnąć nam to samo nazwisko, tobie i mnie. Jestem niemal pewny. Konfidenti mówią nawet po śmierci.

Miałam nadzieję, że dyplomacja i savoir-vivre Molinera przyniosą korzyść także Amandzie. Jak się dowie, że i on jedzie do Madrytu, wszędzie zobaczy upiory i uzna, że to moja sprawa. Wina rzeczywiście była moja. Pod żadnym pozorem nie powinnam się wtrącać w sprawy siostry, komentować, z kim się spotyka czy z kim zrywa.

Kiedy wróciłam do domu, Amanda już spała. Weszłam bezszelestnie do łazienki i spojrzałam w lustro. Boże, właścicielka baru mogłaby mi znów zaproponować stanowisko młodszej podku-chennej! Cały blask z instytutu piękności zniknął jak kamfora. Naprawdę niełatwo utrzymać wygląd, jednocześnie pracując. Natarłam się balsamem na noc, studiując załączoną ulotkę. Zaobser-

wowałam, że znajomość teoretycznych zalet produktu wzmacnia efekt. Wolne rodniki, enzymy, kwasy niedawno odkryte wyłącznie po to, by służyć kobiecie! Co za głupoty! - pomyślałam, ale myliłam się, uroda jest ważna. Uroda sprawiła, że pewien bankier zakochał się w niezamożnej tancerce flamenco, a konserwatywny działacz religijny być może posunął się do zabójstwa. Tyle że żaden z nich nie uciekł potem z ukochaną, jak to się dzieje w baśniach. Jeden nie zniósł publicznego pohańbienia, drugi nawet nie zdecydował się zmienić czegokolwiek w swoim życiu. Żaden z nich nie stanął u boku kochanej kobiety. Tak bywa, uroda nie wystarcza. Wbiłam się w piżamę, czując, że jestem brzydka jak ropucha. Za dużo rekwizytów potrzeba do pełni szczęścia. Dobrze się składa, że już dawno temu marzenie o szczęściu zaliczyłam do aspiracji absurdalnych. Dałam więc naprawdę spokój moim kwasom i zanurzyłam się w sen.

Garzonowi cały ten cyrk ze zbieżnością morderstw i morderców wydał się drogą donikąd. Do mojej opowieści, którą poczęstowałam go w samolocie do Madrytu, odniósł się z dużym sceptycyzmem.

- Wszystko dlatego, że inspektor Moliner ma ochotę się z panią spotykać. Może zachciało mu się poflirtować z dwiema siostrami naraz.

- Myślałam, że oszczędzimy sobie zbyt osobistych komentarzy.

- Przepraszam, ma pani rację.

W hotelu wróciliśmy do tych samych pokoi.

Kolejną podejrzaną na naszej liście była Emiliana Cobos Valles, producentka odzieży dziecięcej i matka niedorozwiniętego umysłowo syna. Oczywiście miała błękitne, a wygląd niewinnego dziecka. Kiedy jednak otworzyła usta, pojęłam, że życie zdążyło ją już niejednego nauczyć.

- Państwo mnie przesłuchują jako podejrzaną o zabójstwo Ernesta Valdesa? - Zaśmiała się sarkastycznie. - Nie, na Boga, nie mam powołania do działalności charytatywnej!

- Musi nam pani powiedzieć, gdzie pani wtedy była.

- Zabito go tego dnia, kiedy podano o tym wiadomość w mediach?

- Poprzedniego.

- Byłam na Ibizie. Spędzam tam dużo czasu.

- I co pani tam robi?

- Zabijam nudę. Zarobiłam sporo pieniędzy, nie muszę na razie pracować. Jak się państwo domyślają, z czasem ludzie zapomną, że mam jakiegoś syna idiotę w Szwajcarii, a może w Sewastopolu. Za parę lat wrócę do biznesu. Nie hamuję wojowniczych zapędów, na brak kreatywności nie mogę narzekać. I żaden Valdes nie usunie mnie ze sceny.

- Proszę nam podać swój adres na Ibizie.

Zapisała spokojnie swoje dane na kartce, po czym rzuciła mi ironiczne spojrzenie.

- Będą państwo przesłuchiwać wszystkich, którzy przewinęli się przez jego program? Co za bzdura! Niech się państwo przygotują na ciężką robotę.

- Czy Valdes usiłował szantażować panią w zamian za milczenie?

- Nie - odparła obojętnym tonem. - Skądże! Pognębić człowieka znaczyło dla niego więcej od pieniędzy. On był socjopatą. Poza tym nawet gdyby próbował, i tak bym się nie zgodziła. Miałam świadomość, że sprawa mojego syna wyjdzie na jaw prędzej czy później. Popelniłam błąd, angażując się w odzież dziecięcą. Przy innej działalności cała ta historia w ogóle by ludzi nie zainteresowała. Ośmieliłabym się twierdzić, że ten przytułek to najlepsze, co mogłam zrobić dla mojego dziecka... No, właściwie jestem tego pewna. Nawet nie mam do Valdesa żalu. Koniec końców i tak wszystko da się spożytkować jako reklama.

Garzon spojrzał na mnie wymownie. Cóż, na tym mogliśmy zakończyć. Skontaktowałam się telefonicznie z Sanguesą i zamówiłam analizę majątku Emiliany Cobos. Nie chcąc pozostawić żadnych luk, Garzon z kolei zadzwonił do komisariatu i poprosił, żeby nasi pogadali z policją na Ibizie. W ten sposób mogliśmy się upewnić, czy podejrzana nie miała jakiejś afery na wyspie.

Poszliśmy na obiad. Podinspektor nie wydawał się zadowolony.

- Jak pani się widzi ta babka?

- Jeśli nie obciążą jej żadne dowody, nie dostrzegam niczego, o co można by ją oskarżyć.

- Wygląda na taką, co to bez kija nie podchodzi.

- Zauważyłeś chyba, że nie wędrujemy po rajskim ogrodzie.

- Ale ta uwaga o synu... Czasem rozumiem nieboszczyka Valdesa.

- Wierzysz, że nieboszczyk Valdes próbował zaprowadzić sprawiedliwość na ziemi? Fermin, pobudka!

- Pewnie, że nie czynił dobrze, ale ta panna zasłużyła sobie na obciach, jakiego jej narobił!

- Reagujesz jak czytelnicy i widzowie, do których zwracał się ten sęp. To tak zwana ludowa sprawiedliwość. Ach, biedny, chory psychicznie chłopczyk, porzucony przez matkę w Szwajcarii! Nikt nie ma prawa oceniać tego, co się dzieje w cudzym życiu.

- A pani to robi.

- Ja?!

- Mówi pani, że dałaby w mordę mężowi Beatriz del Peral, jej samej też i jeszcze całej kupie ludzi. Nawet bombę chciała pani podkładać! Jeśli to nie osądzanie... Pani jest wrażliwa tylko na problem męskiego szowinizmu.

Kufel piwa, który trzymałam dotąd w dłoni, wylądował na blacie - ciężko, ale nie gwałtownie. Chwilę trwałam w milczeniu, po czym spojrzałam na swego partnera.

- Fermin, jestem zmęczona, cholernie zmęczona.

- Pani inspektor, ja nie zamierzałem...

- Nie, posłuchaj. Tkwimy po uszy w sprawie, która zamiast się klarować, coraz bardziej się komplikuje. U mnie w domu siedzi moja siostra, która jest na mnie wściekła, ponieważ nie daję jej spokoju. Na dodatek zaczynam dostrzegać, że nie jestem już młoda i że mój wygląd to katastrofa. I wszystkie te okoliczności absolutnie wystarczają, żeby kogoś zdołować, a tymczasem człowiek, który powinien stać po mojej stronie, co chwila obrzydza mi moje zachowanie i powtarza, że jestem niekonsekwentną fanatyczką, tanią feministką i osobą niespełna rozumu.

- Ja takich słów nie użyłem.

- Wie pan, co chcę panu powiedzieć, panie inspektorze? Że w gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodzi. Święta nigdy nie byłam. Gdybym miała powołanie do pomocy bliźnim, dawno działałabym w organizacji pozarządowej i cesałabym kędziorki Murzynkom, zamiast tkwić po uszy w... nazwijmy to ludzką kloaką. Zrozumiałeś?

- Ja tylko starałem się...

- Naprawdę nic mnie to nie interesuje.

- W porządku.

Pojawiła się gorąca zupa. Znałam Garzona świetnie, wiedziałam, że go obraziłam i że do końca obiadu nie odezwie się słowem. I tak było. Zjedliśmy zupę, zaatakowaliśmy rybę, ale nawet gdy gryzł, z jego ust nie zniknął wyraz ostrego wkurzenia. Tym lepiej, mogłam teraz pomyśleć.

Pomyślałam o tym, jak mało morderczy wygląd ma Emiliana Cobos Valles, niemal równie mało morderczy jak Beatriz del Peral. Prawdopodobnie nasz markiz, którego mieliśmy przesłuchiwać po południu, też nie zlecił zabójstwa Valdesa. Nie, idziemy w złym kierunku; to, że ktoś namieszał ci w życiu, jeszcze nie oznacza, że zaraz wynajmujesz płatnego zabójcę. Bezpośrednia zemsta to zbyt prosta historia jak na tak złożoną rzeczywistość. Gdyby to było w napadzie niekontrolowanej namiętności... ale zabić tak, z zimną krwią? Nikt nie staje się mordercą w mgnieniu oka. A Lesgano, kim jest ten Lesgano? No i jeszcze kwestia pieniędzy. Pieniądze, pieniądze, tu leży klucz, przecież jaki inny bodziec wprowadził w ruch wszystkie osoby naszego dramatu? Musimy podrażnić sprawę pieniędzy.

Zjadłszy nawet deser w klasztorным milczeniu, wydałam Garzonowi rozkaz:

- Podinspektorze, zadzwoń jeszcze raz do inspektora Sanguesy i powiedz, że będą nam potrzebne dane bankowe wszystkich zamieszanych w tę sprawę. Absolutnie wszystkich.

Wyciągnął idiotyczny notesik i zaczął zapisywać.

- Czyli...

- Nie tylko Emiliany Cobos, ale także Beatriz del Peral, markiza, z którym widzimy się niebawem, Pepity Lizarran, szefowej pisma... Kogoś przeoczyłam?

- A Marty Merchan, czyli pani eks?

- Też. Chcę wiedzieć, ile ci ludzie poukrywali po świecie forsy.

- Sędzia może nie uznać tylu poleceń za konieczne.

- Uzna, sędzia pójdzie na współpracę. Jeśli wykażemy, że sprawa Molinera i nasza są powiązane, wyda jeszcze więcej poleceń, niż będzie trzeba. Ta historia dotyczy ludzi ze świecznika.

- Zgoda, pani inspektor.

- Zlokalizowałaś adres markiza?

- Tak, pani inspektor.
- Znakomicie. Widzimy się tam o piątej.
- Rozkaz, pani inspektor.

Byłam wniebowzięta. Dlaczego ludzie tak strasznie chcą się spoufalać, wnikać w osobiste szczegóły, zadzierzgiwać przyjaźnie? Przecież tak jest dużo łatwiej. Garzon był moim podwładnym, a ja jego przełożoną. Mieliliśmy robotę do odwalenia. No więc odwalaliśmy ją i już. Na nie szczęście nie pracowaliśmy przy taśmie montażowej, gdzie za rozmowę groziły kary regulaminowe. Nie, my czekaliśmy we dwójkę, lataliśmy we dwójkę, jedliśmy pospołu obiady i kolacje. Garzon znał mnie już niemal tak dobrze jak ja jego. Obydwoje zachowywaliśmy się wobec siebie nawzajem jak spowiednicy, w dodatku mówiliśmy głośno! To się wreszcie musi skończyć. Może do brym wyjściem będzie poprosić Coronasa, żeby zmienił mi zastępcę? Nawet w Kościele tak się robi. Kiedy mnich polubi swoją wspólnotę, przeor wysyła go gdzie indziej. W takim przypadku pewnie chodzi o większe umartwienie, które znacząco podnosi wartość mniszej pracy. Może moje wyniki też się poprawią, gdy Fermin Garzon zniknie mi z oczu.

Medytowałam o tym wszystkim podczas spaceru ulicami Madrytu. Patrzyłam na przeczyste kastylijskie niebo, na światło nieskalane wpływem morza. Przechodziłam kryzys. Bo dlaczego niby tak bardzo przeszkadzają mi w życiu inni ludzie? Osiągnęłam samotność dzięki silnej determinacji, a teraz, być może, usiłuję wejść w fazę jeszcze większej samotności. Tyle że to nie jest łatwe, ciągle wokół są jacyś ludzie, ci ludzie nawiązują kontakt, dają i chcą dostawać coś w zamian, uśmiechają się, poruszają, oceniają, nienawidzą i kochają, mówią, widzą cię i starają się sami być widocznymi.

Jak ta sprawa się skończy, o ile kiedykolwiek się skończy, poproszę Coronasa o pełny miesiąc urlopu. Pojadę do klasztoru. Takiego, gdzie można wynająć celę z posiłkami. Będę spacerować po polach. Przeczytam dzieła wszystkie Puszkina, nadrabiając ogromną zaległość w mojej biografii intelektualnej. Będę przyglądać się stadnym zachowaniom mrówek, jeśli tylko urlop nie wypadnie zimą. Poproszę jakąś mniszkę, żeby pełniła rolę recepcjonistki, niech mi podaje obiad do celi. Jeśli zobaczę kogoś w krużganku, zawrócę, żeby nie musieć się witać. A jeśli po miesiącu nadal mi się to będzie podobać, zostanę w klasztorze jako mniszka. To oczywiście byłby wybór niełatwy. Nie ma we mnie wiary, nie zniosłabym ślubów posłuszeństwa, modłów, wstawania o piątej rano, przynależności do wspólnoty. Nie wspominając o wyzbyciu się książek, muzyki, papierosów, whisky i kawy.

Doszłam do wniosku, że powinny istnieć klasztory dla laików, dla ludzi oswojonych co nieco z samotnością, ale nierezygnujących z uciech życia. Co by się wtedy stało z seksem i z miłością? Czy i z tego trzeba by zrezygnować, bo inaczej klasztor w ciągu trzech dni zamieniłby się w burdel? A z czego taka wspólnota by żyła? Skąd mnisi i mniszki mają forszę? Czy wciąż jeszcze produkują słodkie likiery i wyszywanki w formie krzyża? Jak tu zdobyć pieniądze? I znowu najpoważniejsza trudność. Pieniądze, pieniądze, pieniądze, pieniądze. Znowu przypomniało mi się nasze śledztwo. Jak pójdzie Molinerowi z ministrem? Umówiłam się z nim w hotelu o dziewiątej, on też miał tam zarezerwowany pokój. Może opowie... Wróciłam do rzeczywistości i rozejrzałam się. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem, najwidoczniej się zgubiłam.

Wzięłam taksówkę i podałam kierowcy karteczkę z adresem Jacinta Ruiza Northwella. Była prawie piąta. Tego tylko brakuje, żebym się spóźniła na spotkanie z Garzonem. Taksówkarz podjął próbę nawiązania rozmowy.

- Będzie deszcz, jak pani myśli?
- I don't speak Spanish - odparłam.

Nie ma mowy, nie dam mu gadać, bo z deszczu przejdzie na suszę, z suszy na życie, z życia na to, co dzieje się w jego biednym sercu, a na koniec zapyta: co pani o tym sądzi? Pieprzę stosunki międzyludzkie! Na szczęście wszystko poszło gładziutko i nawet się ze mną nie pożegnał.

Garzon czekał na mnie w stróżówce, wciąż z grymasem człowieka o ciężko urażonej godności.

- Pan markiz jest gotów.
- Robił jakieś trudności?
- Wprost przeciwnie, powiedział, że sam by nas odszukał, gdybyśmy się z nim nie skontaktowali. Chce gadać.
- O czym?

- Pojęcia nie mam.

- Ciekawe, co?

Wzruszył ramionami. Najwidoczniej uznał za fanaberię komunikowanie mi swojej opinii w chwili, kiedy jesteśmy skłóceni. Westchnęłam głęboko, uzbijając się w cierpliwość. Nie znośłam, kiedy podinspektor wkurzał się na milcząco.

Otworzyła nam bardzo stara służąca. Weszliśmy do saloniku pełnego kretonów, obrazów religijnych i bibelotów.

- Ślady przebrzmiałej wielkości! - rzekłam.

Garzon trwał przygnębiony i wpatrywał się w olej przedstawiający świętego Michała roztrzaskującego łeb diabłu. Święty miał na sobie błyszczącą zbroję, nałożoną na krótką rzymską tunikę, a jego kędzierzawe blond włosy powiewały, przydając scenie dramatyzmu.

- To chyba kosztuje majątek - powiedział mój partner.

- Może jako starość... Bo wartości artystycznej nie ma za grosz.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- Nie?

Wstaliśmy i podeszliśmy do płótna.

- Nie. Popatrz na proporcje głowy demona, są nienaturalne, widzisz? Poza tym kolory wydają się płaskie. A co powiesz o dłoniach archanioła? Widzisz, jak topornie namalowane? To pewnie obraz jakiegoś pobożnego malarza wiejskiego z Kastylii.

- Aha.

- Jak masz wątpliwości co do jakości obrazu, zawsze patrz na sposób namalowania stóp i dłoni. Niezawodna metoda. Chyba że mamy do czynienia z obrazem abstrakcyjnym, tam mogą ci wcisnąć każdy kit.

- Mnie mogą wcisnąć w każdym stylu.

- Nieprawda, nie wierz w to.

- Właśnie, że tak, nie jestem kulturalny, nie studiowałem historii sztuki. Zapomniała pani?

Popatrzył na mnie wzrokiem pełnym urazy. Poczulałam nagle przyływ wściekłości. Mogłabym go zabić tu i teraz. Ale nie zdążyłam, za naszymi plecami rozległ się głos:

- Podoba się państwu ten obraz, he? Jest w posiadaniu naszej rodziny od dwustu lat, a wcale nie należy do najstarszych. W mojej rezydencji rodowej wisi kilka jeszcze ciekawszych.

Jacinto Ruiz Northwell zjawił się przed nami w dopracowanej wersji playboya: beżowe spodnie, blezerek i jedwabna chusteczka zawiązana pod kształtną grdyką. Był młody, jasnowłosy, dobrze zbudowany - ewidentnie pasował do dowolnej reklamy. Tyle że mówił z intonacją typowego burbonika albo wręcz jego parodii. Pomyślałam, że pewnie facet się sili.

- Dzień dobry panu, przyszliśmy z panem porozmawiać.

- Wiem, pani inspektor, wiem. Jak pani godność?

- Delicado.

- Świetnie, pani inspektor Delicado, ja też chciałbym z państwem porozmawiać. Wręcz, gdyby państwo zwlekali jeszcze kilka dni, sam udałbym się do komisariatu. Mam wrażenie, że to wszystko stanowczo przekracza już dopuszczalne granice.

- Mógłby pan rozwinąć tę opinię?

- Tak. Albowiem, za pozwoleniem, przyszli tu państwo, podejrzewając mnie o popełnienie morderstwa na panu dziennikarzu Valdesie, czyż nie tak?

- No, widzi pan, według naszych informacji...

- Tak, zgoda, wiem. Miałem motyw, żeby zabić tego bydlaka Valdesa, rzecz wszelako w tym, iż tego nie uczyniłem. Co więcej, mógłbym poważnie mu zaszkodzić, wpędzić go w kłopoty, a przecież nie chciałem. Widać wyraźnie, jak się sprawy mają. Już tłumaczę. Wiedzą państwo, że ja, jako osoba publiczna, miałem nierzadko kontakt z tym dziennikarzem. Pojawiłem się nawet kilkakrotnie w jego programie telewizyjnym. Wiedziałem, że to gadzina, ale w dzisiejszych czasach media są potęgą. Rozumieją państwo?

- Mam wrażenie, że tak.

- Otóż: przy jakiejś okazji przekazałem temu Valdesowi nadzwyczaj cenną informację. Zdradziłem mu, że minister zdrowia ma kochankę w Barcelonie.

Serce zabiło mi żywiej, ale opanowałam się - trzeba było pozwolić mu mówić i działać z najwyższą ostrożnością.

- Zapytają państwo, z jakich pobudek to uczyniłem. Ano z miłosierdzia. Znałem tę dziewczynę, Rosario Campos, naprawdę obiecująca młoda osoba, piękna, dyskretna, z dobrej rodziny... Otóż cała ta historia z ministrem okropnie ją niszczyła. Biedaczka żyła w depresji, płakała, żywiąc nadzieję, że tamten zostawi dla niej żonę. Chyba tysiąc razy uświadamiałem jej, że łudzi się na próżno, ale nie słuchała. Pewnego dnia podczas rozmowy z Valdesem, który zawsze usiłował wydobyć ze mnie jakieś informacje, podzieliłem się z nim tą opowieścią. Tylko w dobrze pojętym interesie dziewczyny, hę? Później ktoś ją załatwił, niewątpliwie chcąc zatuszować cały paszтет. Nietrudno państwu zrozumieć, że mogłem grozić Valdesowi ujawnieniem tego, co wiem, albo wręcz ujawnić, aby i on znalazł się w centrum skandalu, jednak tego nie zrobiłem. A tym bardziej nie mogłem go zabić.

- Dlaczego nie przekazał pan policji tego, co pan wie o Valdesie? - spytał Garzon.

- Szlachectwo zobowiązuje! To nie w moim stylu, rozumieją państwo. Ktoś mógłby pomyśleć, że niczym się nie różnię od całej tej czeredy, o której piszą różne pisemka, ale to nieprawda. Mam nazwisko, które chcę nosić z podniesionym czołem, i nie mogłem angażować się w nieczystą sprawę.

- Czy Valdes zapłacił panu lub obiecał zapłatę w zamian za informację?

Spodziewałam się, że po tym pytaniu podinspektora markiz poczuje się obrażony, ale ten zachowywał się normalnie.

- Nie, co też panu chodzi po głowie? Valdes nigdy nie zapłaciłby osobie, która jest bohaterem jego programu. Gdyby gości zrównał z informatorami, byłby skończony. Poza tym wspominałem już, że mam swoją godność. Może to nie w modzie ostatnio, ale... Zresztą, może kiedyś zdecyduję się wyjechać z Hiszpanii, ten kraj nie zasłużył na kogoś takiego jak ja.

- Szanowny panie, może i ma pan rację, skoro jednak mowa o kwestiach osobistych, to nie rozumiem, dlaczego Ernesto Valdes miałby się interesować politykiem. Osoby, którymi się zajmował, należą do zupełnie innego świata. Podejrzewam, że nawet prasa, dla której pracował, nie byłaby skłonna opublikować takich rewelacji.

- Oczywiście, wiadomo, ale on zawsze rozpytywał o ludzi wpływowych: polityków, finansistów... Przypuszczam, że chciał zyskać większą władzę.

- Przypomina pan sobie coś konkretnego?

- Nie, niespecjalnie, pytał nawet o króla, ale żadnych zasłyszanych rewelacji nie publikował. Nawet tego, co mu powiedziałem o Rosario i ministrze, nie wykorzystał. Cały czas ograniczał się do ploteczek o tych ludziach co zwykle, nie miał miejsca na większe postacie.

- Pamięta pan, jak dawno temu mówił mu pan o ministrze i jego kochance?

- Otóż... pięć-sześć miesięcy temu? Tak, coś w tym rodzaju. A potem, będzie ze trzy miesiące, Valdes wyrządził mi krzywdę, o której państwu wiadomo, i ostałem się bez kontraktu, na który bardzo liczyłem. A wszystko to były oczywiście kłamstwa!

- Szanowny panie Ruiz, obawiam się, że będzie pan musiał złożyć zeznanie przed sędzią śledczym i opowiedzieć mu wszystko to, co usłyszeliśmy tu od pana. Niewykluczone, że zostanie pan oskarżony o zatajanie prawdy o przestępstwie.

- Bo nie opowiedziałem tej historii o Valdesie?

- Właśnie, i to w momencie, gdy zamordowano Rosario Campos.

- Ależ to śmieszne, pani inspektor! Nie przypuszczałem, że to ma jakiś związek. Poza tym o fakcie dowiedziałem się jakieś dziesięć dni później.

- Możliwe, to już zmartwienie sędziego. Ja ze swej strony chciałabym pana prosić o spotkanie z moim kolegą, inspektorem Molinerem. On prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa Rosario Campos.

- Z najwyższą przyjemnością z nim pogawędzę.

- Chwilowo byłoby wskazane, żeby nie opuszczał pan Madrytu.

- Nie miałem takich planów, przynajmniej do czasu rozpoczęcia sezonu narciarskiego...

Na pierwsze przekleństwa ze strony Garzona nie trzeba było długo czekać. Wyrzucił je z siebie, ledwie znaleźliśmy się na ulicy.

- Niesamowity palant! „Moje nazwisko”, „moja rezydencja rodowa”, „moja godność”... Niech się idzie pierdolić ze swoją godnością! Gdybym był doliniarzem, odmówiłbym mieszkania z nim w jednej celi.

Odczekałam, aż się wyzłości. Tym razem złe wibracje nie były skierowane przeciw mojej oso-

bie.

- Myślisz, że kłamię? - zapytałam.

- Jasne, cały czas, bez przerwy! „Rezydencja rodowa”! Jedyne, co naprawdę posiada, to te cudaczne obrazy świętych wybebeszających jaszczurki z ludzką twarzą!

- Ja mówię o rzeczach istotnych. Myślisz, że kłamię co do Valdesa?

- No... jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. A pani? Uważa pani, że kłamał?

- Cóż, uważam, że kłamał w sprawach nieistotnych, natomiast mówił prawdę w najważniejszych.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem.

- Prawdą jest, że podsunął Valdesowi informację o ministrze, nieprawdą natomiast, że uczynił to bezinteresownie.

- Sądzi pani, że wziął kasę?

- Nawet nie, może zrobił to po kumotersku, chcąc się wkupić i licząc na łagodne potraktowanie w programie. On z tego żyje.

- No to mu się nie udało.

- Rzym nie płaci zdrajcom, jak ci wiadomo. Nie kłaniał też, kiedy mówił, że chciał rozmawiać z policją. Oczywiście nie dodał, że zamierzał zrobić to tylko w momencie, gdy policja wpadnie na jego trop. Inaczej w życiu by się nie wplątywał w taką intrygę. Teraz jest przerażony, że ktoś usiłuje go w to wmieszać, dlatego ma wielką ochotę gadać z każdym. Przypuszczam, że taka jest smutna prawda na temat naszego arystokratycznego przyjaciela.

- Mnie też się nie wydaje, żeby ten kutas mógł kogokolwiek załatwić, a tym bardziej wynająć zawodowca.

- Przychyłam się. Tak czy inaczej, Moliner powinien go przesłuchać. On ma wszelkie informacje na temat Rosario Campos. Przynajmniej zezna, że ją znał, może dostarczy nowych danych na temat jej zajęć. Sam widzisz, że hipoteza Molinera nabiera rumieńców. Chyba prowadzimy wspólne śledztwo.

- Już z nim pani rozmawiała?

- Zadzwoń i się umówię, teraz pewnie jest jeszcze zajęty.

Sięgnęłam po telefon. Zdecydowaliśmy się na spotkanie przy kolacji w knajpce blisko hotelu.

- Czy ja też mogę być obecny? - wystrzelił Garzon bez sensu.

- No oczywiście! Co za pytanie? Przecież to kolacja robocza!

- Wolę się upewnić, że nie będę przeszkadzał.

Zatrzymałam się i spojrzałam Garzonowi surowo w oczy.

- Panie podinspektorze, czy zdaje pan sobie sprawę, że pańskie zachowanie rozkapryśzonego dziecka może utrudnić śledztwo?

- Ja rozkapryśzone dziecko? Ja? W życiu nikt mnie tak nie nazwał! Mnie, który zaczął pracować w wieku czternastu lat!

- Chodzi mi o to, że w kółko sprawiasz wrażenie urażonego.

- Bo czasem mówi pani nieświadomie takie...

- Nie wiem, co w moich słowach mogło cię dotknąć.

- Na przykład, że się wtrącam w pani życie!

- Posłuchaj, Garzon, ustalmy jedną rzecz. Podpiszemy we dwójkę pakt, że żadne z nas nie uczyni najmniejszej aluzji osobistej wobec drugiego, zgoda? Cała reszta pójdzie gładziutko. Przecież zawsze dobrze się nam współpracowało, tak czy nie?

- Tak, ale ostatnio...

Zrzędził jeszcze chwilę, lecz w końcu skinął głową.

- Dobrze, gdzie mam podpisać?

- Podpiszemy symbolicznym piwem.

- Zgoda.

- Ale musisz obiecać, że przestanieś mieć tę wkurwioną minę.

- Postaram się.

Domyśliłam się, że oprócz moich reprimend irytował go fakt, że w tej sprawie będzie aktywny kolejny oficer. Wiele typowych wad policjantów skupiło się w Garzonie.

Wychylił piwo w szynku galisyjskim.

- Ten pokraka powiedział parę ciekawych rzeczy, nie sądzisz? Znaczące, że Valdes zbierał in-

formacje o ludziach z naprawdę górnej półki.

- Nie wiem, pani inspektor, byłem tak najeżony przeciwko facetowi, że aż się pilnowałem, by mu do gardła nie skoczyć... Nie zwróciłem zbyt dużej uwagi na to, co powiedział.

- Ejże, Fermin, jesteś strasznie pobudliwy!

- To osobisty przytyk.

- Masz rację, wycofuję się.

Możliwe, że lekarstwo będzie gorsze od choroby i stracimy z Garzonem cały dzień na utarczki w celu ustalenia, co było aluzją osobistą, a co nie. Na razie jednak nie ciągnęłam wątku, zwłaszcza że odezwał się mój telefon. Dzwonił inspektor Sanguesa.

- Petra? Mam dla ciebie parę drobiażdzków.

- Tylko parę?

- A masz choćby zielonkawę pojęcie o tym, ile kosztuje zdobycie takich danych?

- No, dobrze już, dobrze. Mów wreszcie.

- Chodzi o Pepitę Lizarran i tę tancerkę. Obydwie nic a nic. Pierwsza ma pensję dziennikarską i to wszystko. Druga ani grosza, kiepsciutkie wynagrodzenie.

- A coś ze Szwajcarii?

- Ze Szwajcarii może któraś z nich ma zegarek, ale mocno wątpię.

- W porządku, wykluczam je. A pozostali?

- Petra, na Boga, żeby mnie poganiał ktoś spoza policji, ale ty...?

- Przykro mi, Sanguesa, ale nawet nie wiesz, jak ważne są twoje raporty. Niewykluczone, że będą cię musiała poprosić o coś jeszcze. Mógłbyś się sprężyć jak nigdy w życiu?

- No, skoro aż tak mnie prosisz...! Zawsze można poznać, że jesteś subtelną damą.

- Serio?

- Facet by powiedział: „Biegusiem, palanty, nie opieprzać się”.

Uznałam, że lepiej nie wchodzić w typologię.

- Wiem, że macie kupę roboty, ale błagam, potraktuj moją listę priorytetowo.

- Dobrze, Petra, postaram się.

- Sanguesa?

- Tak?

- I żebyś mi się, kurwa, nie śmiał opieprzać.

Zanim się rozłączyłam, dobiegł mnie jeszcze jego rechot. Kiedy chce się zasłużyć na specjalne traktowanie w pracy, należy umiejętnie zmieszać kumpelstwo z delikatnością. Zazwyczaj działa.

Garzon, korzystając z mojej nieuwagi, zamówił u kelnera porcję kaszanki. Miał swobodę ruchów, bo moja komórka znów się odezwała. Tym razem musiałam tylko przytaknąć i się pożegnać.

- Z balistyki - poinformowałam swojego partnera. - Kule, jakimi zabito konfidenta i jego żonę, pochodziły z tej samej broni co kule, którymi uśmiercono Valdesa.

Garzon przełknął kęs w zamyśleniu.

- I co pani na to?

- Jeszcze nie wiem, ale zapewniam cię, że będziemy dziś mieli arcyciekawą kolację.

6

Nie znałam Molinera zbyt dobrze, ale z łatwością wyczytałam z jego twarzy duże zmęczenie. Zapadnięte oczy. Rysy nieco rozmazane. Czekał już na nas, siedząc przy stoliku z na wpół wypitą szklanką piwa. Uśmiechnął się typowym uśmiechem wyczerpanego policjanta, z którego bije niejaka duma z naszego cudownego poczucia obowiązku. Zamiast się przywitać, rzuciłam niecierpliwe:

- No, jak tam?

Natychmiast się domyślił, że nie był to wyraz troski o stan jego zdrowia.

- Koszmar - odparł, po czym, wykorzystując to, że gra w tej chwili główną rolę, dodał: - Potworne napięcie.

Zamówiliśmy kolację. Tak strasznie chciałam się czegoś dowiedzieć, że nawet nie zwróciłam uwagi, co zamawiam. Garzon za to owszem, celebrował wręcz, co przyprawiło mnie o atak skierowanej przeciw niemu nienawiści. W końcu wybuchnęłam:

- Moliner, na litość boską, jeśli zaraz mi nie opowiesz, jak poszło z ministrem, to cię tu na miejscu zadręcę.

Pobłażliwa mina Molinera dowodziła, że dłużej niż ja pracuje w policji. Wreszcie nieco teatralnym głosem zaczął:

- Szanowny minister był bardzo zdenerwowany, i to jak bardzo... Prawie cztery godziny z nim gadałem. Radziłem mu, żeby zawiadomił swojego adwokata, ale odmówił. Zaprzeczył wszelkim powiązaniom z Rosario Campos. Fatalny błąd, według mnie, ale sami widzicie. Kilkakrotnie zaprzeczał własnym słowom, poprawiał się, w końcu się zaplątał... No, nie sądzę, by można było żywić jakiegokolwiek wątpliwości, czy ma z tą sprawą coś wspólnego. Prawdziwa wojna nerwów, którą on chyba przegrał. Momentami miałem wrażenie, że zaraz pęknie i złoży zeznanie, ale niestety się powstrzymał.

- A ty co w końcu zrobiłeś?

- Jutro ma spotkanie z sędzią, może wykorzysta dzisiejszą noc na przemyślenie wszystkiego i rozmowę z adwokatem. Zdaje sobie, mam nadzieję, sprawę, że dysponujemy wiarygodnym zeznaniem o jego kochance, czyli o Rosario Campos. Jeśli tylko to potwierdzi, mamy otwartą drogę. Jego współpracownik, który nam nadał tę historię, też będzie wezwany do złożenia zeznania. Nie sądzę, żeby minister miał jakieś inne wyjście. Musi zeznawać.

- Myślisz, że to on zabił?

- Nie mamy pewności, ale po paru przesłuchaniach będzie można przedstawić jakieś konkrety.

- Nie chciałbym być w jego skórze - zauważył Garzon, wbijając zęby w krokiet z warzywami.

- Ani ja. Dzisiaj będzie musiał porozmawiać z żoną. Znosi się na osobistą tragedię, chociaż z kobietami to różnie bywa, może wiedziała, że ma kochankę, ale wolą siedzieć cicho.

Przemilczałam ten ukryty komentarz.

- Znał Valdesa?

- A myślisz, że by się przyznał? Nie, on uważa, że powinien wszystkiemu zaprzeczać.

- A my mamy dla ciebie niespodziankę.

- Serio? - odrzekł tonem Humphreya Bogarta, którego nic już nie jest w stanie zaskoczyć.

- Jeden z naszych podejrzanych powiedział, że to on właśnie nadał Valdesowi cynk o Rosario Campos i ministrze.

- A on skąd wiedział?

- Od niej samej. Znali się. Facet nazywa się Jacinto Ruiz Northwell i jest...

- Wiem, kim jest, moja była żona kupowała prasę kobiecą.

- Uważasz, że mogli się znać?

- Tak, czemu nie? Rosario Campos była hostessą konferencyjną i córką nadzianego handlowca z Barcelony. Bywała tutaj. Pewnie w ten sposób poznała też ministra. Jak wpadliście na tego Ruiza Northwella?

- To jedna z osób, którym Valdes najmocniej dopierdolił ostatnio w programie, ale to zajebisty przypadek, że akurat on znał Rosario Campos.

- Nic w tym środowisku nie jest zajebistym przypadkiem. Wszyscy się znają, widują na przyjęciach, wciąż te same osoby i wcale nie jest ich zbyt dużo.

- A ja mam wrażenie, że jest ich legion.

- Większy legion stanowią my, którzy zapieprzamy na swój chleb powszedni.

- I tu się całkowicie zgadzam z panem inspektorem - odezwał się Garzon, wyraźnie wyczulony na punkcie pozycji społecznej.

- Dobra, w każdym razie jest jasne, że nasze sprawy są powiązane. Trzeba tylko znaleźć to ogniwo łączące. Może Valdes usiłował szantażować ministra historią z Rosario i ten sprzątnął ich oboje, a potem także konfidenta?

- Trzeba zawiadomić Coronasa. Ty to zrobisz czy ja?

- Wolę, Moliner, żebyś ty się tym zajął. Ciekawe, co nam rozkaże. Niewykluczone, że odbierze sprawę mnie i Garzonowi.

- A niby czemu?

- Ty masz w komisariacie największe poważanie. Poza tym kobieta w sprawie z takim rezonansem...

Spojrzał na mnie zdumiony.

- Jaja sobie robisz, nie?

- Mówię jak najbardziej serio.

- Może nie wiesz, co się mówi w komisariacie, ale powszechna opinia jest taka, że Coronas

ma do ciebie szczególną słabość. Ostatnio przecież dawał ci same ważne przypadki. Zresztą wystarczy posłuchać jego uwag: „Petra Delicado to dyplomatka, jest błyskotliwa, ma znakomite podejście do podejrzanych, można jej ufać...” Stawia cię za przykład.

- To zmyłka.

- Petra, obawiam się, że nie masz racji.

- Może, ale jak się okazało, że Rosario Campos była powiązana z kimś ze świecznika, to natychmiast sprawę oddali tobie.

- Bo mam w tym zakresie jakieś doświadczenie, nie przypuszczam, żeby płeć grała tu jakąkolwiek rolę.

Garzon, przysłuchujący się zza zasłony deseru naszej subtelnej wymianie ciosów, podniósł w tym momencie twarz znad talerza.

- Panie inspektorze - powiedział - niech się pan nie trudzi, pan jej nie przekona.

Po czym przybrał minę męczennika pogodzonego ze swym krzyżem i obydwaj wymienili porozumiewawcze spojrzenia prawdziwych mężczyzn.

- Kobiety... - zaczął Moliner, ale przerwałam mu natychmiast.

- Kobiety nie są odrębną rasą ani kategorią społeczną, ani też wrogim plemieniem, kochany panie Moliner. Jesteśmy tylko olewane. Może stąd się biorą nasze złe nawyki, które z reguły da się rzetelnie usprawiedliwić.

- Ale przynajmniej nie zaprzeczysz, że macie jedną cechę wspólną.

- Jaką?

- Jesteście kompletnie nieprzewidywalne.

Garzon zaniósł się śmiechem, wniebowzięty, że ktoś inny może wreszcie poświadczyć o odwiecznej walce płci. Moliner zakonkludował rozbawiony:

- Petra, Petra, silna jak saletra.

- A wiesz, od czego pochodzi słowo „saletra”?

- Przyznaję, że nie.

Nieoczekiwanie Garzon znowu się roześmiał.

- Widzi pan? Już pan przerznął. Nie wiadomo kiedy, nagle wyskakuje z jakąś inteligentną odzywką i jesteśmy udupieni.

Chyba bawiło go moje hipotetyczne zwycięstwo w tej absurdalnej potyczce dialektycznej. Klepnęłam Molinera w ramię na znak, żeby traktował całą rozmowę w jej właściwym wymiarze, czyli jako żarty.

- Co wy na to, żebyśmy poszli spać, zamiast pieprzyć głupoty?

Ze słów Molinera wniosłam, że to w sumie poczciwy chłop, bo najwyraźniej wcale się nie obraził.

- To jedyna rozsądna rzecz, jaka została tu wypowiedziana - stwierdził.

Hotel znajdował się tuż obok, więc nie trzeba było daleko łązić.

Kiedy tylko weszliśmy do holu, zobaczyłam ją. Siedziała w fotelu i jak gdyby nigdy nic przeglądała czasopisma. To naprawdę ona?

- Amanda! - krzyknęłam, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia.

Moliner stanął jak wryty, najwidoczniej też się jej nie spodziewał. Wymamrotał tylko jakieś mętne pozdrowienie. Jedynym człowiekiem, który bez trudu umiał się znaleźć, był Garzon. Podszedł do niej i wyciągnął dłoń.

- Przyłącza się pani do grupy? - zagadnął serdecznie.

- Siostra powiedziała mi, że będą państwo w tym hotelu. Też wynajęłam tu pokój. Mam ochotę spędzić kilka dni w Madrycie.

- Ale... my pracujemy - wybąkałam w ramach miłego powitania.

- Wiem i wcale nie zamierzam wam przeszkadzać. Mam co robić.

Moliner stał koło mnie, milcząc jak ostatni gamoń. Wyzywające spojrzenie, którym Amanda mnie obdarzyła, nagle uległo ogromnej metamorfozie i nabrało słodczy, gdy przeniosła wzrok na inspektora.

- Jak tam, znalazłbyś czas, żeby wypić ze mną drinka?

Mój kolega walczył obok ze sobą, nie mając pojęcia, jaką postawę by tu przyjąć. Patrzył na mnie z dziecinnym uśmiechem na ustach, jakby niemo prosił o pozwolenie. Uznałam, że trzeba zakończyć to nieprzyjemne starcie. Wzięłam Garzona pod ramię i rzekłam:

- Podinspektor i ja idziemy spać, mieliśmy ciężki dzień. Amanda, zadzwoń do mnie jutro. Jeśli zechcesz umówić się ze mną na obiad, może coś się uda wykombinować.

- Zobaczymy. Na razie nie musisz się o mnie martwić.

W windzie Garzon uśmiechał się niczym asceta, który poznał prawdę. Ja niestety popełniłam poważny błąd, nie zachowując podobnego milczenia.

- I czego się tak uśmiechasz?

- Pomyślałem, że inspektor Moliner miał trochę racji, mówiąc, że kobiety są nieprzewidywalne.

Cholera mnie strzeliła.

- Panie podinspektorze, chyba umawialiśmy się co do komentarzy osobistych!

- A to był komentarz osobisty?

- Nie rznij głupa.

- Pani inspektor, to niesprawiedliwe. Cokolwiek się dzieje, zawsze jest na mnie.

- Dobranoc - odparłam oschle. - Rano punkt ósma widzimy się na śniadaniu.

Rzuciłam torebkę na łóżko. Nie wiedziałam, czy jestem bardziej wściekła na Garzona, na siostrę czy na siebie samą za cały ciąg błędów. Do dupy, nieźle! Stosunki między Amandą a mną wcale się nie poprawiały, wręcz przeciwnie, i to ja do tego doprowadziłam. Jak idiotka wdałam się w dyskusję z Molinerem, wychodząc na mądralę. A poza tym podinspektor miał rację: zawsze jest na niego, czy stoi, czy leży. Tyle że biedaczyna wciąż zachowuje się jak naiwne dziecko, ośmielając się grać na nosie nauczycielowi, który ma za sobą wyczerpujący dzień, dlatego oczywiście wrzask skierowany do całego świata trafia prosto w niesfornego ucznia.

Źle, źle, bardzo źle - powiedziałam w duchu. Zastanawiamy się, jakie wrażenie wywieramy na innych, i dokładamy starań, żeby było ono dobre. To pierwszy błąd, a następne pojawiają się osobno. Ale nieważne, to wszystko nieważne. To przelotny wpływ naszego śledztwa i całej jego otoczki. Na szczęście miałam przeczucie, że niebawem je zakończymy.

Poszłam do łazienki. Podczas zmywania makijażu i szorowania zębów nie spojrzałam ani razu w lustro. W dupie mam wrażenie! Może to dziecinny opór, ale to samo mówiono o Gandhim, dopóki siłą wewnętrzną nie wyrzucił Anglików z Indii.

Uspokoiliam się dopiero w łóżku, czytając esej o rozwoju cywilizacji zachodniej. Zasnęłam, zastanawiając się, na którym z jego początkowych etapów wciąż się znajdujemy.

Telefon wyrwał mnie z głębokiego snu. Spojrzałam na zegarek: piąta rano. Podniosłam słuchawkę, serce waliło mi jak oszalałe.

- Pani inspektor Delicado? Tu recepcja. Najmocniej przepraszam, że niepokoję panią o takiej porze, ale naprawdę nie wiem, co robić. Dzwonili z madryckiego komisariatu policji i pytali o inspektora Molinera, to jakaś pilna sprawa, a jego komórka nie odpowiada. Tyle że w jego pokoju też nikogo nie ma, dzwonię i dzwonię... A wiem, że państwo są w tej samej grupie, dlatego przyszło mi do głowy, że może pani wie, gdzie go zastać.

- Tak, dziękuję bardzo, wiem. Proszę mnie połączyć z pokojem Amandy Delicado.

Żadnych błędów, żadnych błędów - powtarzałam w duchu uporczywie.

- Amanda?

- Rany, Petra! Wiesz, która godzina?

- Tak, przykro mi. Jest u ciebie inspektor Moliner?

- Petra, sprzedam cię...

- To pilna sprawa służbowa, daj go natychmiast.

Po chwili usłyszałam skruszony i zaspany głos mojego kolegi.

- Moliner, skontaktuj się zaraz z tym komisariatem, z którym tu współpracujesz. Nie mogą cię dorwać, a to jakaś pilna sprawa.

- Jasne.

Zadzwoiłam do recepcji.

- Zna pan inspektora Molinera z wyglądu?

- Tak, widziałem go wczoraj.

- Dobrze, więc jak tylko go pan zobaczy, proszę mu powiedzieć, żeby na mnie czekał na dole, ja zaraz schodzę. A jeśli nie będzie chciał czekać, proszę zadzwonić od razu do mojego pokoju.

- Proszę się nie martwić, będzie, jak pani sobie życzy - odparł nieco zdezorientowany recep-

cjonista.

Wprawdzie wciąż nie było pewne, czy nasze śledztwa dotyczą tej samej sprawy, ale nie zamierzałam przegapić momentu kolejnej rewelacji.

Kiedy dotarliśmy do domu ministra, zastaliśmy tam już sporą grupę. Funkcjonariusze z komisariatu przy ulicy Tetuan, lekarz sądowy, sędzia śledczy... Minister, Jorge Garcia Pacheco, leżał bezwładnie na fotelu w gabinecie, ubrany w szarą, jedwabną piżamę i identyczny szlafrok. Jak nas poinformowano, strzelił sobie w usta z własnej strzelby myśliwskiej. Zostawił dwa listy, do żony i do sędziego.

- Powinienem się był tego spodziewać - powiedział Moliner.

- Nie mogłeś nic poradzić.

- Pomyliłem się. Postawiłem ludzi na zewnątrz, obawiając się, że będzie chciał uciekać, a tymczasem trzeba go było profilaktycznie zatrzymać.

- To mamy remis w trupach.

- To znaczy?

- Ty dwa i ja dwa. Coronas będzie zachwycony.

- Wyobrażam sobie. Najgorsze, że trzeba czekać, aż sędzia otworzy list. Może jest w nim coś takiego, że nie będziemy już mieli nic do roboty.

- Gdzie jego żona?

- W salonie, z dziećmi.

- Była przesłuchiwana?

- Czekali na mnie. Będzie z nią trzeba zaraz porozmawiać, chociaż bez faktów sam nie wiem, o co ją pytać ani w ogóle co mówić. Chodź ze mną, Petra, wolę to zrobić w twoim towarzystwie.

Weszliśmy do przestronnego i oszczędnie urządzonego salonu. Obraz, jaki ujrzałam, zrobił na mnie kolosalne wrażenie. W narożniku wytyczonym przez ogromny fotel i sofę siedziała grupa ludzka, jak gdyby upozowana do portretu. Na nasz widok nikt nawet nie drgnął. W centrum dominowała kobieta po pięćdziesiątce, a po bokach usadzono według starszeństwa szóstkę dzieci, dziewczęta i chłopców, najmłodsze umieszczając na skrajach. Nie płakali, siedzieli bez wyrazu, niezwykle poważni. Właśnie ta wyniosłość i układ tworzyły dziwny efekt, jakby rodzina postanowiła się uwiecznić.

- Dzień dobry państwu - odezwał się mój kolega uprzejmie. - Jesteśmy z Barcelony, pani inspektor Delicado, ja się nazywam Moliner, i chcielibyśmy przede wszystkim przekazać państwu nasze najszczerze wyrazy współczucia.

- Dziękuję - odrzekła kobieta bez cienia emocji, po czym dodała jasnym i twardym tonem: - To wszystkie moje dzieci, wyjąwszy najstarszego, który mieszka z żoną i jeszcze nie zdołał tu dotrzeć. Chciałabym, o ile nie mają państwo do nich żadnych pytań, żeby podczas naszej rozmowy nie musiały być obecne.

Moliner przystał na to, po czym wszystkie te blondasy o identycznych rysach twarzy wyszły gęsiego z pokoju, całkowicie kryjąc rozpacz, jaką z pewnością odczuwały po tragicznej śmierci ojca. Kiedy zostaliśmy sami, pani Garcia zapytała oschle:

- Można wiedzieć, co państwo tu robią, skoro są państwo z komisariatu w Barcelonie?

Moliner spojrzał na mnie. Przejęłam inicjatywę.

- Widzi pani, niewykluczone, że ta sprawa jest powiązana z inną, która miała miejsce w Barcelonie, a którą obydwójce się zajmujemy.

- Nie wiem, o jakiej sprawie pani mówi.

- Pani mąż...

- Mój mąż padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku podczas czyszczenia broni.

- Jest prawdopodobne, że popełnił samobójstwo - odezwał się Moliner.

Gospodyni zrobiła się szkarłatna na twarzy.

- Niech pan więcej nie wypowiada takich słów ani w tym domu, ani poza nim! Rozumiemy się? Jesteśmy pobożną rodziną i taką pozostaniemy.

Wtrącałam się natychmiast, w obawie, że Moliner zaraz eksploduje.

- Wszystko jasne, proszę pani. Gdyby ktokolwiek pytał, pani mąż nie popełnił samobójstwa.

Powróciła do stanu poprzedniej apatii.

- Mąż zostawił list do pani, czy moglibyśmy wiedzieć, co napisał?

- Nie.

- Może byłoby wskazane, żeby nam go pani pokazała.

- Tylko na polecenie sędziego śledczego.

- Proszę pani... - powiedział Moliner. - Czy wiedziała pani, że mąż miał młodą kochankę w Barcelonie, którą zamordowano kilka dni temu?

- Odmawiam odpowiedzi, szczególnie na potwarze.

Do pokoju wszedł bez pukania trzydziestoparoletni mężczyzna, jasnowłosy, podobny do reszty rodziny. Pośpiesznie zbliżył się do kobiety.

- Nic nie mów, mamó. Adwokat jest w drodze. Policja nie ma prawa cię przesłuchiwać.

Spojrzałam nań z największą pogardą, jaką potrafiłam wykrzesać, i postarałam się, żeby w moim głosie aż kipiało od cynizmu.

- Może pan być całkowicie spokojny. Pańska matka świetnie zna prawa, jakie jej przysługują. W każdym razie mamy pełną jasność: pański ojciec nie popełnił samobójstwa i nie miał w Barcelonie kochanki, którą niedawno zamordowano.

Moliner trącił mnie w ramię. Wyszliśmy bez pożegnania.

- Zależy im tylko na jednym: żeby wszystko było jak należy - rzucił w drodze do wyjścia.

- Ratuja to, co zostało.

Garzon oczekiwał nas z oczami jak spodki. Wiedział już o wszystkim, ale daremnie się spodziewał, że podamy mu ostateczne wyjaśnienie.

- No to chyba koniec - zauważył.

- Przypuszczam, że w liście faceta znajdziemy pełne zeznanie, wraz z informacją, że to on zlecił wszystkie zabójstwa - odrzekł Moliner.

Niestety, nie podzielałam jego przeświadczenia. Ktoś, kto miał dość zimnej krwi, by wynająć mordercę swojej kochanki, byłby skłonny popełnić samobójstwo? Przecież bardziej logiczna w jego przypadku byłaby próba ucieczki. Może miałam braki w psychologii stosowanej, może wynajęcie zawodowca to taka zakamuflowana forma morderstwa, z której nie zdajesz sobie do końca sprawy, bo wygląda, jakby zbrodnię popełnił kto inny. Wkrótce mieliśmy się przekonać, sędzia śledczy umówił się z nami o czwartej po południu w dziesiątym oddziale prokuratury.

Moliner poszedł na obiad z Amandą, Garzon i ja zjedliśmy tymczasem byle co w pobliskim barze. Wymieniliśmy może ze dwie, trzy uwagi, ale nie dlatego, żebyśmy byli na siebie obrażeni, tylko dlatego, że nasze umysły pracowały teraz w samotności pełną parą.

Usadowieni we trójkę naprzeciwko sędziego, przypominaliśmy rodzinę oczekującą z niecierpliwością otwarcia testamentu patriarchy. Sędziego niespecjalnie obchodziła treść tego, co zaraz miał odczytać, toteż poprowadził ceremonię w sposób maksymalnie urzędowy. Nie osłabiło to jednak naszego napięcia. Najpierw wygłosił kilka przydługich uwag na temat przestępstw w Barcelonie, potem wspomniawszy wszystkich tamtejszych sędziów śledczych, z którymi łączyła go przyjaźń (na wypadek, gdybyśmy ich znali), aż wreszcie otworzył list zmarłego ministra. Zgodnie z tradycją odchrząknął i odczytał z solennym namaszczeniem:

Szanowny Panie Sędzio,

Będąc w pełni władz umysłowych i z pełną świadomością swoich czynów, postanowiłem odebrać sobie życie dziś, dnia dwudziestego bieżącego miesiąca, o trzeciej nad ranem, w domowym gabinecie, przy użyciu mojej strzelby, na którą posiadam zezwolenie, co jest do sprawdzenia w rejestrze broni.

Pragnę niniejszym oświadczyć, że nikogo innego nie należy czynić winnym mej śmierci.

Powodem, który popchnął mnie do tego haniebnego kroku, jest tylko i wyłącznie cierpienie, jakiego doświadczam i przed którym nie widzę innej ucieczki jak śmierć.

Zgrzeszyłem. Popełniłem niewybaczalny błąd, gdyż zerwałem święte więzy małżeńskie i zapalałem uczuciem do Rosario Campos, młodej mieszkanki Barcelony, istoty -jak mniemałem - czystej i niewinnej. Kobieta ta jednakże, bez wątplenia inspirowana przez osoby trzecie, usiłowała mnie szantażować, grożąc, że zdradzi naszą historię mediom publicznym. Rozmyślałem, co powinienem uczynić, byłem już gotów nie ugiąć się pod jej naciskiem, nie bojąc się nawet skandalu, kiedy ktoś zamordował Rosario, zapewne któryś z jej współników. Powody tego morderstwa nie są mi znane.

Od tamtej pory żyję w strachu, że z mroków wyjdzie ktoś, kto znów będzie usiłował mi grozić. Nie mogę się także uwolnić od podejrzenia, że to ja byłem przyczyną śmierci Rosario.

Wszystko to stanowczo mnie przerasta, nie znajduję w sobie siły, żeby wyznać prawdę żonie i policji. Skandal byłby zbyt wielki z powodu stanowiska, jakie zajmuję.

Kolejny grzech - odebrania sobie życia, którym Stwórca mnie obdarzył - będzie już ostatnim. Niechaj On mnie osądzi, a może w swym nieskończonym miłosierdziu postanowi mi wybaczyć. Hańba niech nie spada na moją rodzinę, chcę im oszczędzić dodatkowych cierpień.

Niech Bóg mi przebaczy.

Trwaliśmy w milczeniu. Sędzia spojrzał na nas sponad okularów.

- To wszystko - rzekł. Ponieważ nikt z nas się nie odzywał, sam zagadnął: - I co państwo sądzą?

Tylko Garzon zdołał odpowiedzieć:

- Wprawnie napisane. Wygląda, jakby całe życie nic, tylko popełniał samobójstwa.

Sędzia zachichotał i wstał.

- Poproszę, żeby zrobiono dla państwa odbitkę. Oryginał muszę posłać sędziemu prowadzącemu sprawę tej dziewczyny w Barcelonie.

Wyszliśmy na ulicę, czując się, jakbyśmy właśnie opuszczali kino po ośmiogodzinnym seansie. Moliner wciąż był jak ogłuszony. W końcu powiedział do siebie:

- Czyli że to Valdes załatwił dziewczynę z powodu jakiegoś nieporozumienia, a następnie...

- Dosyć, dosyć! Przekonałeś się, że hipotezy rzucane na chybił trafił do niczego nie prowadzą.

Zadzwoiła jego komórka. Rozmawiał przy nas, posługując się wyłącznie monosylabami.

Kiedy skończył, powiedział lakonicznie:

- Muszę was teraz zostawić, za chwilę mam spotkanie w Moncloa*

- Z kim?

- Z premierem.

Garzon kombinował na całego, sporadycznie popijając piwo.

- Czy pani zdaniem samobójca może kłamać?

- Nie sądzę.

- Chyba że chce kogoś osłonić, ale kogo mógłby osłaniać minister? Żonę? Któreś z dzieci? A może tajemniczego Lesgano, jedyne go faceta o tym nazwisku w całym kraju?

- Nie wiem, Fermin, w tym momencie jestem w kropce. Nawet nie wiem, jaki powinien być nasz kolejny ruch.

- Kolejny ruch to telefon do komisarza Coronasa. Zapieni się po samobójstwie ministra.

- Przestań nazywać go ministrem! Już nie jest ministrem, niczym nie jest.

- Kurwa, ale pani ma humorek...!

- A jaki mam mieć? Zrobiła się zadyma jak diabli i zaczynają dręczyć mnie obawy, że będziemy się z tym chrzanić jeszcze pięć lat.

- Spokojnie, pani inspektor, skupmy się. Według naszych informacji wydaje się oczywiste, że ministra szantażowała za życia kochanka, Rosario Campos, i że nie działała w pojedynkę. Czy to Valdes nią kierował? Założmy, że tak. Mamy nawet powody, by to podejrzewać. Odkryliśmy, że miał w Szwajcarii konto, które mogło być zasilane dochodami z szantażowania wpływowych osobistości. Dysponujemy też wiadomością dodatkową, dostarczoną przez szanownego markiza: Valdes rozpytywał w Madrycie o osoby, które swoim statusem wykraczały poza jego plotkarski horyzont zawodowy.

- Zgoda, zgoda, a gdzie niby miał opublikować te kompromitujące informacje, skoro żadne z mediów, w których pracował, by ich nie kupiło?

- Pani inspektor, za pozwoleniem, nie bądźmy tępą. Może on sam nie mógłby opublikować takich rewelacji, ale czemu nie miałyby ich sprzedać brukowcom? Polityka i podobny kaliber jak najbardziej obchodzą ten typ prasy.

Umilkłam. Podinspektor miał rację. Jednakże jego hipoteza, aczkolwiek prawdopodobna, nie tłumaczyła morderstw. Zaprotestowałam, kiedy mu to powiedziałam.

* Palacio de la Moncloa - pałac w Madrycie, siedziba rządu Hiszpanii.

- Może nie tłumaczy w całej rozciągłości, ale otwiera pole do dalszych poszukiwań. Wiem, że nie lubi pani pracować na poszlakach, ale ja z kolei wiem, że nie wolno nam przegapić tego, co jest oczywiste.

- Brakuje punktów stycznych.

- Znajdziemy je, pani Petro. Nigdy dotąd nie załamaliśmy rąk w żadnej sprawie.

- Wszystkie zamieszane w tę historię osoby przepadają.

- I w końcu zostanie nam jeden podejrzany.

- Ty się nigdy nie załamujesz, Fermin?

- Miewam doły, ale z nich wychodzę. Pograżać się z kretesem - nigdy. Pani też, proszę zauważyć.

- Wiesz co? Masz na karku niezły globus.

- To samo mówiła moja mama, ale zawsze podejrzewałem, że ma na myśli tylko rozmiar.

Mama nie kwapiła się do pochwał.

Roześmiałam się.

- Chciałabym cię przeprosić. Obawiam się, że ostatnimi dniami nie byłam szczególnie sympatyczna. Chyba to wina napięcia, jakie mi się udziela przy tej sprawie.

- Tak, mnie też.

- Ale ty umiesz je lepiej opanować.

- Tylko dlatego, że jestem starszy.

- Oj, tak, dużo starszy.

- Przynajmniej co do mądrości.

- Odbijasz sobie za brak pochwał z ust mamy...

Tym razem to on się roześmiał.

Na powrót Molinera z Moncloa czekaliśmy w barze hotelowym. Kiedy się pojawił, spowijała go jeszcze resztką godności, typowa dla ludzi, którzy właśnie wyszli z gabinetu szefa państwa.

- I co premier? - wystrzelił podinspektor.

- Dyskrecja, przede wszystkim dyskrecja.

- Czy to znaczy, że nie może pan mówić? - spytał Garzon tonem agenta służb specjalnych.

- Nie, to znaczy, że mamy zachować dyskrecję. Ani słowa do prasy. Puszczą komunikat oficjalny, że minister miał zawał.

- Nie wierzę!

- Owszem, tak, kochana Petro, dokładnie tak, jak nam oświadczyła wdowa: jej mąż nie popełnił samobójstwa.

- Samobójstwa przystoją więźniom, artystom i zdołowanym kasjerkom supermarketów, prawda? Ważne osobistości, zwłaszcza z prawicy, zawsze umierają w sposób naturalny. Co za pierdoły!

- Ja tam biorę mordę w kubek. Nie popełnił samobójstwa, rozumiecie? Jak jakiś dziennikarz zacznie nudzić, pošlijcie go w diabły.

- Macie pojęcie? Jestem pewna, że poznajemy czubek góry lodowej tego, co naprawdę dzieje się w świecie. W każdym razie Valdes zarabiał na informowaniu społeczeństwa, która aktoreczka pozbyła się cellulitis albo kto ukrywa przed ludźmi nienormalne dziecko.

Moliner zwiesił nos na kwintę.

- Słuchaj, Petra, pokój na ziemi ludziom zmieszany z błotem. Jak chcesz, to możesz pomstować resztę nocy, ale powiedz mi, czy dotarło do ciebie, co nas czeka.

- No pewnie, dlaczego miało nie dotrzeć?!

- Bo jeśli wkurza cię to, co już usłyszałaś, to jeszcze nie znasz reszty.

- Wał, nic mnie nie zdziwi.

- Gadałem przez telefon z Coronasem. Chce natychmiast się widzieć z całą naszą trójką i mówił to tonem bynajmniej nie do śmiechu.

- Natychmiast? Co to znaczy „natychmiast”?

- To znaczy, że możemy już iść do pokoi po rzeczy. Może się wyrobimy na najbliższy wahałowiec.

- Ha! Po kiego mamy telefony i Bóg wie jakie media elektroniczne, skoro opieprz możemy dostać tylko tete-a-tete!

- Petra, kontestujesz dla zasady wszelkie polecenia przełożonych?

Garzon uznał, że ma świetny dowcip w zanadrzu, i odpowiedział za mnie:

- Kobiety nienawidzą władzy... której nie mogą pełnić.

Wylecieliśmy z Madrytu, aż się kurzyło, jakby nas diabeł gonił, jak oparzeni. Moliner zawsze był ostrożny w kontaktach z przełożonymi. W takich chwilach żałowałam, że nie jestem komisarzem, wcale nie dlatego, by mieć władzę (jak to sobie wyobrażał Garzon), ale żeby uporządkować wszystkie elementy i przynajmniej wyrazić swoje opinie. A może marzyło mi się rządzenie? Kontestowałam polecenia przełożonych, bo sama chciałam je wydawać? Może podinspektor nie mija się z prawdą i rzeczywiście główną cechą mojego charakteru jest sprzeczność. Jeśli dalej będę przyznawała rację Garzonowi, to niedługo dojdę do wniosku, że wszystko, co robi, robi dobrze, a to przecież nieprawda - nie wszystko robi dobrze. Na przykład wysłuchując reprimend Coronasa, stał łagodny niczym baranek wielkanocny, podobnie zresztą jak i Moliner. Jak mogę sama walczyć z uprzedzeniami szefów?

Coronas grzmiał jak Golsztröm tłukący o wybrzeże Norwegii.

- Jesteście popieprzeni, normalnie popieprzeni! Szanowni państwo nie są stuprocentowo pewni, czy ich przypadki są bądź nie są powiązane, więc oczywiście nie informują mnie o tym, zanim nie zbiorą więcej dowodów. I tak szczęście, że nie dowiedziałem się z prasy. Chociaż, zważywszy na rezultaty waszej dotychczasowej pracy...

Uniosłam rękę, nie mogąc dłużej wytrzymać w milczeniu.

- Panie komisarzu, jestem pewna, że gdybyśmy zadzwonili z informacją o czymś, co opiera się na marnych podejrzeniach, pan by się zdenerwował, że podejmujemy czynności, nie posiadając dowodów.

- Ach, Petra! Jesteś adwokatem, tak? Doskonale, a na dodatek jeszcze moim psychoanalitykiem! Znasz mnie tak dobrze, że przewidujesz moje myśli, a zatem także polecenia! Cudownie! A teraz też wiesz, co zaraz powiem?

- Nie, panie komisarzu.

- Świetnie, zatem ci to wyjawię. Kiedy powierzałem wam poszczególne sprawy, w każdej był tylko jeden trup, zgadza się? A kilka dni później mamy tu pobojuwisko, Waterloo po bitwie! Nie lepiej było się skupić na szukaniu mordercy, zamiast przewidywać moje polecenia?

- To niesprawiedliwe, panie komisarzu. Gdybyśmy od początku zjednoczyli wysiłki, a nie mizolili się osobno...

- Pani inspektor Delicado! Czy próbowałaś kiedykolwiek zamilknąć?

- Ja...

- Jesteś bardziej nieustępliwa od perzu! Sądzisz, że to twoje święte prawo nadawać bez ustanowienia, prawda? Otóż nie, tak jak pozostali będziesz w milczeniu znosić opeer, bo tego wymaga twoje stanowisko służbowe! A kiedy przyjdiesz z wynikami śledztwa i bez kolejnego trupa przewieszzonego przez ramię jak nowo kupiona torebka, wtedy cię wysłucham. Zrozumiano?

- Z tą torebką to przesada, panie komisarzu.

Coronas teatralnym gestem zakrył twarz dłońmi, jakby naprawdę błagał Boga, by dal mu siłę wytrwać, bo inaczej przegryzie mi gardło, żebym zdechła na miejscu. Nagle opuścił ręce i bardzo poważnym i spokojnym głosem powiedział:

- Za godzinę oczekuję was w sali konferencyjnej. Przemyślcie wszystko, czym dysponujecie. Poszukamy jakiejś strategii i zdecydujemy, co dalej. Zrozumiano?

Przytaknęliśmy chórem. Wówczas Coronas zwrócił się do mnie.

- A ty zrozumiałaś? - rzucił.

- Tak jest, panie komisarzu.

- I nie masz żadnych zastrzeżeń?

- Nie, panie komisarzu.

- Dobrze, Bogu niech będą dzięki! Możecie odmaszerować.

Szliśmy we trójkę korytarzem. W końcu postanowiłam przerwać milczenie.

- I przekonałeś się już, że Coronas nie ma dla mnie żadnych względów? - spytałam Molinera.

- Przekonałem się o czymś zupełnie przeciwnym. Wiesz, co by zrobił ze mną, gdybym wyskoczył z takim tekstem jak ty?

Garzon z miejsca włączył się do rozmowy.

- Dziś był twardy. Kiedyś pani inspektor nazwała go męskim szowinistą, a on się zaśmiał.

- Wy, mężczyźni, macie skłonność do mitologizowania szefa, a to nie ma sensu. Z właściwym szacunkiem wszystko można zakwestionować.

- Właśnie, że nie, inaczej jest, kiedy kobieta mówi, co myśli. Z wami łatwiej mu się zgodzić. Garzon potwierdził słowa Molinera energicznymi ruchami głowy.

Przystanęłam.

- Tak czy inaczej, żadne z nas nie wykonuje poleceń Coronasa.

- Dlaczego?

- Czy przemyśleliśmy wszystko, czym dysponujemy, żeby się przygotować do spotkania?

- Ale dysponujemy głównym.

- To im szybciej się go pozbędziemy, tym lepiej. Chodźmy do mnie, tam pogadamy w spokoju.

Posiedzenie z Coronasem było naprawdę wyczerpujące.

Wydrukowaliśmy raporty, które sporządzaliśmy dzień w dzień w trakcie naszych dochodzeń, i porównaliśmy je skrupulatnie. Rodriguez, rutynowy pomocnik Molinera, dołączył do nas mniej więcej w połowie spotkania. On również wyraził swoje zdanie na temat dalszych koniecznych kroków.

Komisarz zauważył, że rubryki dotyczące sytuacji finansowej nie są do końca wypełnione, i nie omieszkał wyrazić dezaprobaty. Musiałam się bronić.

- Inspektor Sanguesa nie miał czasu wszystkiego sprawdzić, panie komisarzu.

Zamruczał jak niedźwiedź zbudzony ze snu zimowego i chwycił za telefon.

- Jak to „trzeba było wrzucić w komputer”? Powtarzam wam, że komputer to maszyna, która służy przyspieszaniu roboty, a nie jej spowalnianiu! No, słucham... Tak, kurwa mać, te, które skończyliście. Zaraz, notuję, oni się domyślą. Dobra, Sanguesa, zajmę się tym, ale żywiej, żywiej, to, że coś jest trudne, nie oznacza, że trzeba z tym zwlekać! Bardzo nam to potrzebne, więc zabierajcie się do roboty. Jeśli nie macie czasu zjeść, to nie jedzcie. Albo zamówcie sobie kanapki do gabinetu jak Amerykanie. Widzi pan, jakie mają dzięki temu sukcesy.

Stwierdziłam, że wiele mi brakuje, by prawidłowo zawiadywać ludźmi w stylu policyjnym. A na wypadek, gdybym przegapiła jakiś szczegół, Coronas zwrócił się do mnie i kontynuował wykład:

- A można wiedzieć, czemu nie domagałaś się dobitniej tych danych?

- Domagałam się, ale nie chciałam wywierać nadmiernego nacisku na kolegów.

Wybuchnął udawanym śmiechem w C-dur.

- To nie jest klub golfowy, gdzie po partyjce pija się herbatkę. Tu każdy jest odpowiedzialny za swoje śledztwo i jeżeli potrzebuje danych z innego departamentu, musi wywierać na niego nacisk takimi samymi metodami, jakich używa w stosunku do przestępców. Wyrażam się jasno?

- Tak jest, panie komisarzu.

- Wspaniale. Sanguesa zweryfikował dla was konta jeszcze dwóch podejrzanych, na oko czyste. Już mówię: niejakej Pepity Lizarran i Emiliany Cobos. Aha, nie pamiętam, kim jest ta druga.

- To ta, która ma nienormalnego syna. - Garzon ponownie wdepnął we wstydlive tematy.

Coronas pojął w lot. Wyraźnie afera z chorym umysłowo synem wydawała im się bardziej naganna niż napad z bronią w ręku.

- I kolejna bardzo ważna sprawa: denatka Rosario Campos też nie miała niczego do ukrycia w kwestiach finansowych. Na jej konto wpływały sumy pokrywające się z oficjalnymi poborami.

- Czyli brakuje nam markiza i eks-żony.

- Przyjrzymy im się. A minister?

- Finanse ministra są badane w Madrycie, ale sprawa jest raczej przerabana - powiedział Moliner.

- Na sto procent. Wątpię, żeby ujawniono jakikolwiek jego przelew na konto Valdesa.

- Ostatnio nic nie wpływało na jego konto w Szwajcarii. A Rosario Campos też nic od niego nie dostała.

- Czyli nie kłamał przed śmiercią.

- Może pierwszy raz w życiu - napomknęłam złośliwie.

Coronas spojrział na mnie z niejakim zgorzaniem i mruknął:

- Ciszej nad tą trumną.

Ostatecznie zdecydowaliśmy, że Moliner i Rodriguez podraża wśród rodziny i przyjaciół Ro-

sario Campos oraz pozostaną w kontakcie z komisariatem madryckim, badającym sprawę ministra. Może ktoś będzie miał coś do powiedzenia na temat zamordowanej młodej szantażystki, niewykluczone, że jakiś podwładny ministra zechce zeznawać. Garzon i ja natomiast mieliśmy wrócić do Madrytu i pójść tropem podsuniełym przez Ruiza Northwella, znanego też jako markiz. Czy Valdes był zawodowym szantażystą i stąd właśnie czerpał zyski?

Teoretycznie cała strategia prezentowała się nieźle, ale zachodziłam w głowę, jakim cudem wydobędziemy cokolwiek z faceta, który opowiada zasłyszane wieści, a do tego nadal pozostaje w kręgu podejrzanych. Czy trzeba będzie łązić po luksusowych barach Madrytu i wtykać nos w epicentrum wszelkich plotek, które tabunami kursują po stolicy? Ta perspektywa wprawiła mnie w przerażenie, bo nie wytyczała dostatecznie jasnej drogi w gąszczu martwych punktów, w jakim się znajdowaliśmy.

Swoje połajanki i obelgi Coronas zakończył brutalnym rozkazem: nie ma co czekać do jutra z lotem do Madrytu. Spodziewał się, że od samego rana będziemy już po uszy w robocie. Czasu mieliśmy tyle, żeby zostawić w domu brudne ubranie i zaopatrzyć się w czyste. I jazda na lotnisko, skąd o jedenastej odlatywał ostatni normalny wahadłowiec do Madrytu. O rezerwację biletów mieliśmy się nie martwić.

Z Garzonom umówiłam się bezpośrednio na lotnisku.

- Może tam zdążymy zjeść kolację. - To wszystko, co miał mi do powiedzenia, nim znalazł się w taksówce.

Do domu dotarłam z nerwami na wierzchu. Od takiego napięcia mój wewnętrzny wentyl bezpieczeństwa mógł lada chwila puścić. Zerknęłam w lustro w przedpokoju. Makijaż w oplakany stanie, włos w nieładzie, na twarzy wyraz wyczerpania. Niestety, nie było czasu nawet na prysznic. Skierowałam się od razu do sypialni i zaczęłam przepakowywać walizkę. W tym momencie w drzwiach stała Amanda.

- Cześć.

Aż się wzdrygnęłam.

- Ale mnie nastraszyłaś. Nie wiedziałam, że jesteś.

- Wyjeżdżasz?

- Znowu do Madrytu, kolejne komplikacje.

- Ja chyba też się zbiorę.

- Wracasz do Gerony?

- Nie, zostaję, ale przeniosę się do hotelu.

- Po kiego diabła masz mieszkać w hotelu?

- Moja obecność najwyraźniej ci nie pasuje.

- Bzdura. Poza tym nie bój się, ja wracam do Madrytu, jak ci mówiłam, a Moliner zostaje chwilowo w Barcelonie.

- Dobrze, w takim razie nie pójde do hotelu.

- To wspaniale.

- Żałuję, że tak wyszło. Ale, szczerze mówiąc, nie sądzę, żebyś stała na wysokości zadania. Czemu nie dawałaś mi dobrych rad przez te wszystkie lata, kiedy żyłam z mężem i traciłam czas? Może wtedy właśnie był idealny moment.

- Czas tracisz, czy jesteś mężatką, czy nie. A na koniec i tak umierasz. Nieważne, masz rację, nie powinnam się była mieszać w twoje życie. Ale naprawdę się poprawiam, już mi wszystko jedno, czy masz randkę z policjantem, czy się gzisz z orangutanem.

Popatrzyła na mnie z niekłamaną nienawiścią.

- Petra, stałaś się nieprzyjemną i niewrażliwą egoistką. Wcale się nie dziwię, że żyjesz sama, tak ci już zostanie do śmierci.

Cichutko wyszła z pokoju. Po chwili usłyszałam, jak krząta się w kuchni.

Spakowałam się i od drzwi wejściowych rzuciłam jej „cześć”, jakbym wyskakiwała tylko po gazetę. Nic nie odpowiedziała.

Podinspektor już czekał na mnie na lotnisku. Czasu mieliśmy aż nadto, nasz lot opóźnił się o dwie godziny. Zdaniem Garzona należało rozwiązać poważny problem kolacji: bar w części krajo-wej był zamknięty.

- Powiedzmy, że jesteśmy policjantami. Powinni nas wpuścić na międzynarodowe. Tam ka-

wiarnia jest na pewno otwarta.

Tak zrobiliśmy, bo mój partner nie miał zamiaru głodować, ja z kolei musiałam wypić coś mocniejszego. Ochrzan od szefa i kłótnia rodzinna to wystarczające powody, upoważniające do pijactwa.

Otoczeni przez cały tłum oczekujących cudzoziemców, zaspokoiliśmy swoje żądze. Garzon kupił parę kanapek, dla mnie przyniósł sałatkę z tuńczyka, którą skropiłam dużą ilością piwa. Po tem obydwójce przeszliśmy na whisky.

- No to dostaliśmy po łbie od szefa - odezwałam się.

- E, nie zna pani innych komisariatów. Coronas musiał trochę pokrzyczeć, żeby zdynamizować śledztwo. A pani jest po prostu zbyt wrażliwa.

- Tak? Co ty powiesz? Słyszałam opinię przeciwną.

- Ten ktoś słabo panią zna.

- A uważasz, że jestem nieprzyjemną egoistką?

- Każdego policjanta to dotyczy. Bliski kontakt z cholerną rzeczywistością robi swoje. A jak się żyje samemu, to wszystko jeszcze się pogarsza.

- Fermin, mogę cię o coś zapytać?

- Jeśli to sprawa osobista...

- Osobista.

- To nie. Sama mi pani kazała przyrzec, że nie będziemy poruszać spraw prywatnych.

- Możemy o nich mówić, o ile nazajutrz nie będziemy pamiętać niczego, co zostało powiedziane. Potrafisz tak?

- Nie wiem, czy ma pani prawo tego żądać, ale chyba potrafię. Możemy spróbować.

- Zgoda, w takim razie oto moje pytanie: ciężko ci samemu?

- Myślałem, że zapyta pani o coś głębszego, ale, okay, odpowiem. Jasne, pani inspektor, jasne, że mi ciężko. Z reguły w ogóle o tym nie myślę, lecz czasem, kiedy się kładę spać, dręczy mnie myśl, że już się nie obudzę, że umrę we śnie. I wtedy do mnie dociera, że nikt nie będzie za mną tęsknił, że po mojej śmierci niczyje życie nie ulegnie zmianie. To smutne i dosyć przygnębiające. Nie sądzi pani?

- Wręcz ponure. I jak sobie wtedy radzisz?

- Zależy. Najczęściej wstaję i idę do kuchni, żeby coś przekąsić. Wie pani, coś na ząb, jakiś plasterek szynki... Jak przegryzę, od razu mi lepiej. Wtedy myślę, że nie jest tak źle, bo jeżeli umrę w nocy, to nazajutrz nie będę musiał iść do komisariatu, a Coronas wpadnie w furję i zacznie mnie szukać. Znajdą mojego trupa, będą musieli stwierdzić, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych, zjadą się koledzy, pani, zawiadomią mojego syna w Nowym Jorku, odbędzie się pogrzeb... Jeżeli komuś zależy na tym, żeby po jego śmierci był zamęt, to mnie taki zamęt całkowicie wystarcza.

- Nieźleś to wykombinował.

- A pani samotność przeszkadza?

- Mnie? Nie, wiesz dobrze, że żyję sama z przekonania. Ale jest pewna głupia sprawa... Nawet nie wiem, czy powinnam ci o niej wspominać.

- Jak najbardziej, zamówię jeszcze whisky, to łatwiej będzie zmierzyć się z tematem.

- No więc... Jednego nigdy się nie nauczyłam. I to chyba nawet rozmyślnie, wiesz? Nie umiem założyć sznurowadeł w nowych butach.

Popatrzył na mnie, jakby się zastanawiał, czy rzeczywiście należało zamawiać drugą whisky.

- Chyba rozumiesz, o co mi chodzi. Umiem wiązać, ale nie potrafię strategicznie poprzekładać ich przez dziurki, żeby u góry wyszły końcówki.

- To nie jest skomplikowane.

- Wiem, ale zawsze ktoś to robił za mnie: ojciec, mężowie. Ja nie chciałam tego opanować. Jakbym dawała się kochać, jakbym pozwalała, żeby mnie trochę rozpieszczano. Co ty na to?

- Bardzo dla pani typowe: znaczy, dziwaczne.

- To jakaś pieprzona szajba i pewnie mi nie uwierzysz, ale do dziś staram się, by ktoś mnie w tym wyręczył. Jeśli to nowo kupione buty, proszę kogoś w sklepie lub moją pomoc domową. Oczywiście to już nie to samo. Wiem, że przyjdzie dzień, kiedy nie będę miała kogo poprosić, ale uparcie nie chcę się tego nauczyć. Uważam, że to mi się od życia należy.

- Teraz rozumiem.

- A tobie co się należy?

- Ja i moje życie jesteśmy ze sobą w zgodzie. Ja już niczego od niego nie żądam na przyszłość, ale pod warunkiem, że życie też nie będzie się przypieprzać i żądać czegokolwiek ode mnie. Żadnych poświęceń ani kłopotów, koniec!

- Słusznie! To egoizm żyjących w samotności. I nie wydaje ci się, że mamy do niego święte prawo?

- A nie?

Piliśmy dalej w milczeniu, zbrojni przekonaniem o własnej słuszności. Sztuczne światło zacie-rało kontury plastikowych mebli. Na twarzach siedzących obok podróżnych malowało się zmęczenie. Nasza dwójka musiała w ich oczach wyglądać szczególnie. Przez chwilę zastanawiałam się, co my, u licha, robimy w tym bezosobowym, zimnym i tymczasowym miejscu. Garzon wyrwał mnie z melancholijnych rozważań bezceremonialnym okrzykiem, jaki wydał, spojrzawszy na zegarek. Alkohol stłumił nie tylko poczucie krzywdy, ale i czasu, a właśnie zbliżała się pora odlotu. Czym prędzej wróciliśmy do naszej strefy i wsiedliśmy do samolotu.

Następnego ranka, przebudziwszy się w hotelu, nie od razu się zorientowałam, gdzie jestem. Najpierw przysięgam sobie solennie, że jak tylko rozwiążemy tę cholerną sprawę, zapowiem Coronasowi, że zamierzam wykorzystać zaległy urlop. Zaczynałam popadać w nerwicę, toteż pragnęłam spakować się i jechać w jakieś miejsce, gdzie nie będzie ani szmatławców, ani żadnych rzeczy w tym stylu. Pomyślałam o wszystkich trupach, jakie pozostawiliśmy za sobą: Rosario Campos, Valdes, ten nieszczęsny konfident i jego żona (zabójców tych dwojga nawet nie staraliśmy się znaleźć), a na koniec minister. Wdepnęliśmy w jaskinię śmierci i poruszaliśmy się na oślep bardzo niepewnym krokiem. Coronas miał rację, wydarzenia wciąż nas wyprzedzały i można było mówić o klęsce w całej rozciągłości.

Kiedy powiedziałam o tym Garzonowi przy śniadaniu, bardzo się przejął.

- A co mamy robić? - odparł. - Zaraz spotkamy się na nowo z naszym markizem.

- Do diabła z markizem! On już zrobił swoje, wskazując na możliwy związek Valdesa z szantażem na wielką skalę. Od tego typka nie wyciągniemy już ani krzty informacji.

- Coronas dał rozkaz, żebyśmy go przesłuchali, używając wszelkich form nacisku.

- Tak, w porządku, ale markiz już podał nam fakt, tyś go przeanalizował i wydedukował istotną ewentualność. Tylko co mamy z nią robić dalej? Zapomnieć i jak posłuszne psy spełniać zachcianki komisarza?

- Chyba nie powinniśmy pozwolić, żeby znowu się wściekł jak ostatnim razem.

- A kto tak naprawdę prowadzi śledztwo, my czy on?

- Chwileczkę, pani inspektor, jak będziemy tak stawiać sprawę...

- Posłuchaj, Garzon, uważnie. Przyszedł czas, żebyśmy wznowili pracę tam, gdzieśmy ją przerwali. Była mowa o szantażach, czyż nie tak? Poza tym jestem pewna, że ten nieszczęsny minister nikogo nie kazał sprzątnąć. To ktoś inny. Pamiętasz o Lesganie? Musimy się cofnąć.

- A ma pani pomysł, w jaki sposób?

- Wróćmy do światka mediów. Przypominasz sobie Maggy, tę dziewczynę, wobec której okazałam się taka słodka i delikatna? Chyba ona jest dla nas teraz ważniejsza niż markiz.

- Boże, ale będzie afera!

- Wyluzuj się, Coronasa nie ma w Madrycie.

Wróciliśmy do Teletotal, gdzie Maggy powitała nas jak zwykle z zainteresowaniem i wolą porozumienia równymi zeru. Utrwaliła swój wizerunek osoby ni to nowoczesnej, ni to z marginesu społecznego, umieszczając w prawym nozdrzu drobnego, zadartego nosa parę maleńkich kolczyków. Patrzyła na mnie ironicznie.

- Nie sądziłam, że panią tu zobaczę. Przecież nienawidzi pani tego niemoralnego środowiska... Uśmiechnęłam się. Postanowiłam być nieugięta nawet wobec samej siebie.

- Nie doceniałam pani, Maggy. Spośród wszystkich, z którymi rozmawialiśmy, pani okazała się osobą najbardziej inteligentną.

- Kurde, ale mnie zaszczyt kopnął!

- Mówię poważnie i muszę dodać, że obecnie od pani może zależeć wyjaśnienie sprawy zabójstwa Valdesa.

- Aha, rozumiem, to takie wezwanie w rodzaju „ojczyzna was potrzebuje”, co?

- Proszę to nazywać, jak pani chce, ale naprawdę jest nam pani potrzebna.

Potrząsnęła supełkami zdobiaczami ekologiczną koszulkę.

- No dobra, to słucham.

- Prosta rzecz. Wiemy, że Valdes docierał do informacji grubszego kalibru niż operacja plastyczna jakiejś gwiazdeczki. Ma pani koncepcję, komu mógł je sprzedawać?

Parsknęła kilka razy, podrzucając kosmyki najeżonej grzywki.

- A skąd niby mam wiedzieć?! Myśli pani, że mój szef, który nawet notatek nie robił, żeby nikt niczego nie przeczytał, dzieliliby się ze mną takimi ważnymi rzeczami?

Garzon postanowił się wtrącić.

- Na takie szczęście to nie liczymy, ale pani była jego najbliższą współpracowniczką, wie pani, z kim gadał, z kim się kontaktował...

- Mogą państwo zapomnieć. On tylko umiał wyciągać informacje ode mnie, a z tych, które zdobył z innych źródeł, wcale mi się nie zwierzał. Ja tu tylko sprzątałam, a niedługo i to się skończy.

- A co może pani powiedzieć o szefowej tego programu?

Zaśmiała się szczerze.

- Kurwa, możecie ją przymknąć, mnie to wisi, ale wątpię, żeby ta telewizja wpięprzała się w coś takiego!

- A kto byłby zainteresowany upublicznieniem skandalu wokół jakiejś ważnej osobistości, dajmy na to ministra?

- To jaja czy co? Każdy, pani inspektor, każdy dziennikarz w tym kraju by to zrobił! Taki jest dzisiaj świat prasy. A może pani myślała, że tylko prasa plotkarska robi świństwa?

Miała rację, miała przewrotną, koszmarną rację. Każdy. Każde pismo by na to poszło. Dysponując wiarygodnymi informacjami, ukrzyżowałiby samego szefa państwa. Schrupaliby go żywcem. Jeśli byłby odmiennej orientacji ideologicznej niż wydawca pisma, zrobiliby to z tym większą zajądłością. Na pierwszej stronie każdej gazety można by poczytać o brudach z życia dowolnej postaci: prywatnych, publicznych, finansowych czy obyczajowych.

Moja niechęć akurat do szmatławców była tylko znakiem dawnych uprzedzeń. Teraz demoralizacja zataczała szersze kręgi, sięgała głębiej, dotykała nas wszystkich. I dopiero jakieś żółtowołe dziewczę o okrągłych oczach musiało mi uświadomić coś tak oczywistego. Poczułam wstyd.

- Pewnie tak, Maggy, pewnie ma pani słuszość. Nie przypomina pani sobie, czy Valdes nie chodził na spotkanie z szefem jakiejś gazety? A może był jakiś telefon do niego, jakieś oficjalne zaproszenie z kół rządowych? Może ten Lesgano to jakiś polityk?

Kręciła głową, świadoma mojej wzbierającej rozpaczy. Postanowiłam odgrywać bezradność, którą zresztą odczuwałam.

- To co mamy robić, łązić po wszystkich redakcjach w Madrycie i Barcelonie i pytać naczelnych, czy nie płacili Valdesowi za poufne informacje? Myszkować po gabinetach ministrów?

- Mogę jedynie pójść z państwem do czytelnicy prasy. Tam przejrzymy gazety z ostatniego okresu i sprawdzimy, czy gdzieś nie publikowano materiałów kompromitujących jakąś szychę. To by pasowało do niezrealizowanej próby szantażu politycznego. Mogę też popytać swoich ludzi, zasięgnąć języka na temat dziennikarzy albo polityków. Może być?

- Boże! Ileż to roboty, potwornie dużo roboty, w dodatku bardzo niepewnej! Ale może nie mamy innego sposobu. A ja myślałam, że jak wejdziemy w środowisko prasy plotkarskiej, będziemy tylko łązić po bankietach! Nienawidzę prowadzić poszukiwań w czytelnicy prasy.

Maggy znów zaczęła się śmiać. W głębi duszy uznała nas chyba za sympatycznych ludzi, ale mnie humor nie dopisywał.

- Dobrze, Maggy. Jeśli uznamy, że ta propozycja nam odpowiada, zadzwonimy z rana. A do tego czasu, błagam, proszę pomyśleć, czy może coś pani przegapiła. Ma pani mój numer?

Pokiwała głową. A widząc, że jestem bliska załamania, powiedziała:

- Sama pani widzi, że ojczyzna wzywała mnie na wyrast. Musi mi pani wybaczyć.

- Mnie też proszę wybaczyć, że kolejny raz byłam niemila. Poprawię się przy następnej okazji.

- Dzisiaj nie było tak źle.

Uśmiechnęła się buzią zagubionej maskotki, która szuka właściciela. Poczciwa dziewczyna.

Szliśmy bez pośpiechu ulicą, spowici obłokiem kiepskiego samopoczucia i ogólnej frustracji. Z braku kamyków w mieście stołecznym, Garzon kopnął czubkiem buta jakiś pet.

- Naprawdę uważa pani, że przy takim nagromadzeniu trupów możemy sobie pozwolić na wertowanie starej prasy?

- Nie, to moglibyśmy chyba robić na wcześniejszym etapie, teraz to bzdura i strata czasu. Co myślisz o zaproszeniu ognia w świecie dziennikarskim? Dzięki temu może wypełzną jakieś ukryte robale. A co powiesz na kręgi polityczne?

- Przypominam, pani inspektor, że te cholerne gazety co chwila coś publikują. Jak zaczniemy jawnie chodzić po redakcjach i wznecimy plotki, natychmiast o tym napiszą. I diabli wezmą dyskrekcję.

- Zgoda, może to nieostrożność, ale przynajmniej zrobiliby się ruch.

- Albo i nie. Jeżeli Valdes naprawdę należał do siatki dziennikarskich szantażystów, to nie sądzę, żeby byli aż takimi roztropkami. Dwa razy się zastanowią, nim coś chlapną. Poza tym niech mi pani wybaczy, że to mówię, ale jak już porywamy się na grubszą zadymę, to lepiej mieć dowody w rękę. Zapomnijmy o domysłach czy intuicji psychologicznej.

- Dobra, w takim razie chyba muszę się podać do dymisji.

- Wolne żarty! Przekażą sprawę Molinerowi i Rodriguezowi akurat w momencie, kiedy będziemy o krok od kluczowej informacji.

- Może ty czujesz się na siłach zrobić ten krok, ale ja... Zresztą, ta sprawa śmierdzi i będzie zatuszowana. Jeśli ją rozwiążemy, sądzisz, że nam wręczą klucze do miasta?

- Ja tylko chcę zrobić to, co do mnie należy.

- Nie wkurwiał mnie, Fermin, błagam!

- No dobrze, może się zagalopowałem. Powiedzmy, że mam zawodowego zajoba. Nieważne, musi pani przyznać, pani inspektor, że teraz tracimy czas.

- Czasu to mamy aż nadto. Nie mamy za to tropów.

- Pogadajmy z markizem.

- W porządku, pogadamy z markizem. Ale stawiam dziesięć do jednego, że zaprzeczy, jakoby wiedział cokolwiek więcej.

- W takim przypadku użyję nacisku. Pamięta pani ten obraz u niego w domu, ze świętym maltretującym diabła? Tak samo ja go potraktuję.

- Nie zapomnij o mieczu płomiennym.

- A co to?

- Taki miecz, co miota ogień, pewnie działa na gaz.

- To jakieś wynalazki. Moim zdaniem wystarczy pospolity wpierdol.

Zgrzybiała służąca Ruiza Northwella poinformowała nas, że pana nie ma w domu, musieliśmy więc poczekać na niego w pobliskim barze, obserwując drzwi frontowe. Przy okazji postanowiliśmy coś przekąsić.

- Zadzwoń do Sanguesy - rzekłam. - Dobrze by było przesłuchiwać tego koleżkę, mając w zanadru jakieś informacje o jego kontaktach.

- Myśli pani, że już coś znalazł?

- Według teorii Coronasa wystarczy na niego huknąć, a od razu coś wymyśli.

Sanguesa, jak było do przewidzenia, nie skończył raportu na temat markiza. Mimo to wcale nie musiałam huknąć, by usłyszeć, że obecna wiedza pozwala mu wykluczyć, jakoby markiz posiadał jakiegokolwiek konto w Szwajcarii. Natomiast, owszem, ma jedno konto, dość nietypowe, w banku w Madrycie. Nagle w głowie otworzyła mi się klapka. Historia rachunku wyglądała dziwnie. Pojawiały się dość spore wpłaty, ale w nieregularnych odstępach i w różnej wysokości.

- Jakież szczegóły?

- No, chciałem je zawrzeć w raporcie, ale o ile pamiętam, nagle wpływa pięć czy sześć milionów, czasami nawet dziesięć. Potem ta suma topnieje właściwie do zera. A później kolejna wpłata, ni stąd, ni zowąd.

- Rozumiem. Sanguesa, jesteś skarbem. Przykro mi, że szef cię wtedy tak objechał. Jeśli cię to pocieszy, to wiedz, że mnie też.

- Ba, a co byłby z Coronasa za szef, gdyby czasami kogoś nie objechał? A co za podwładni z nas, gdybyśmy to brali na poważnie?

- Podoba mi się ta filozofia! No, nic, powtarzam, jesteś skarbem. Nie mam pojęcia, co byśmy zrobili bez twojej pomocy. .. A teraz nawet nie wiem, co zrobimy z nią!

- Nie bierz mnie pod włos, nim nie dojdziemy do końca twojej listy. Niejaka Marta Merchan staje trochę okoniem.

- Eks-Valdesowa?

- Tak, ale to nic szczególnie podejrzanego. Raczej nie, coś nam się tylko wymyka, może jakieś inwestycje... Nie wiem. Jak się dowiem więcej, to ci przekażę.

Zwróciłam się do Garzona.

- Widzisz? Już mamy nowe informacje. I to bez nacisków czy wrzasków w stylu Coronasa!

- Kolega to nie to samo co podwładny - westchnął.

Zaczęłam nagle krzyczeć:

- Mógłbyś przestać pieprzyć i zeżreć wreszcie te jebane kalmary?! Powinieneś mieć dawno przerobione wszystkie dane o markizie, nim go przesłuchasz i rozkwasisz mu mordę!

Zaniemówił. A ja się uśmiechnęłam.

- Wolisz taki styl odnoszenia się do podwładnych?

On też się uśmiechnął. Zrozumiał dowcip.

- Może pani gęby nie drze, ale rozkazywać to pani umie. Nieraz się przekonałem. Tyle że kobiety uciekają się do innych metod.

- Dużo delikatniejszych.

- Raczej pokrętnych.

- Czyli gorszych?

Wzruszył ramionami i zmienił temat.

- Co znalazł Sanguesa?

Opowiedziałam mu wszystko po kolei. Mówiłam z dużo większym ożywieniem, zresztą czułam się też lepiej. Ruiz Northwell posiadał konto ze zmiennym saldem, chociaż był bez pracy i płacy - a to fakt mocno obiecujący. Znów zaczęliśmy przerzucać się hipotezami. Czy markiz pośredniczył między wyższymi sferami a Valdesem? - to koncepcja Garzona. Możliwe, że na skutek reputacji golca nie miał wstępu na salony, ale mógł co nieco usłyszeć, a Valdes później to sprawdzał, kierując się węchem zawodowca.

Hasaliśmy w kręgu przypuszczeń jeszcze przez prawie godzinę - do chwili, gdy ujrzelśmy, jak Ruiz wchodzi do domu wystudiowanym krokiem sportowca. Oczekaliśmy kilka minut i ruszyliśmy za nim.

Znów otworzyła nam mumia służącej, po czym, utykając, poprowadziła nas do znajomego salonu. Garzon natychmiast ustawił się przed wizerunkiem świętego Michała - może wiedziony fascynacją, a może szukając natchnienia do chłosty, jaką zamierzał poczęstować markiza. Niebawem do pokoju wkroczył Ruiz Northwell, cały w uśmiechach, jakbyśmy wpadli na herbatkę.

- Witam! Państwo znowu? Co słysząc dobrego?

Nim się zorientowałam, Garzon przyskoczył do niego i złapał za koszulę.

- Dosyć tego bajdurzenia! - ryknął. - Albo gadasz wszystko, co wiesz, albo każę ci zeżreć tytuł markiza!

Nawet ja oniemiałam, a wypowiedziana groźba o mało nie doprowadziła mnie do ataku śmiechu. Markiz zerknął na mnie przerażony, w nadziei, że przywołam do nogi brytana, który właśnie zamierzał przegryźć mu gardło. Powoli zbliżyłam się do naszego świętego Michała.

- Przyznaję, że mój kolega jest trochę porywczy, ale prawda, szanowny panie, jest taka, że nadużył pan naszej cierpliwości.

- Ja...? Jak to?

- Ponieważ w sprawie o morderstwo nie wolno ukrywać prawdy, a tym bardziej kłamać.

Garzon znów zaatakował.

- Wiesz więcej, niż gadasz, fiucie!

- O czym państwo mówią? To wbrew konstytucji!

- Owszem, to nieortodoksyjny styl rozmowy, tak samo jak fakt posiadania konta, kiedy się nie zarabia. Skąd pochodzą, panie markizie, pieniądze, które od czasu do czasu pan wpłaca?

Spojrzał na nas zaniepokojony.

- Proszę kazać mnie uwolnić.

Nie musiałam odzywać się do Garzona jak do udomowionego potwora. Mój kolega puścił markiza z własnej woli.

- Proszę szanownych państwa, wszystko mam w porządku, zapewniam. Płacę prawie wszystkie podatki.

- Nie w tym rzecz. Pytamy, skąd pochodzą pieniądze.

- Nie mają państwo prawa...

Nagle poczułam, że jestem zmęczona tą odwieczną komedią. Opadłam na jeden z niewygodnych rokokowych foteli.

- Proszę mnie wysłuchać. Możemy się postarać, żeby to potrwało kilka minut, kilka dni, tygodni albo miesięcy. Możemy deptać panu po piętach i obrzydzić panu życie. Możemy być namolni, brutalni i nieustępliwi. Proszę mi wierzyć, nie warto. Skąd pochodzą pieniądze? Słuchamy i znikamy.

Skinął głową.

- Zgoda, pani inspektor, wszystko opowiem, nie mam nic do ukrycia. Państwo pozwolą, pokazę resztę domu.

Poszliśmy za nim, nie wiedząc, do czego zmierza. W przedpokoju minęliśmy służącą, która drzemała, nie mając pewnie zbyt wiele do roboty.

Ruiz Northwell pokazywał nam po kolei pomieszczenia swojego domu. Były niemal całkowicie puste. Widząc to spustoszenie, doszliśmy do wniosku, że jedynym umeblowanym pomieszczeniem był salon z obrazem.

- Widzą państwo? A przecież ten dom nie zawsze tak wyglądał. Nie ma tu izabelińskich mebli, wartościowych zwierciadeł, obrazów, srebrnej zastawy, starych porcelanowych serwisów do kawy. Wszystko po kolei sprzedawałem, żeby przeżyć. Nie miałem ostatnio szczęścia, zostało mi tylko to skromne dziedzictwo, a teraz sami państwo widzą, jak to wszystko wygląda.

- Sprzedawał pan rzeczy antykwariatom?

- Tak, na większość transakcji mam pokwitowania. Pozostałe poszły na lewo, nie dbam o to, czy mnie państwo zadenuncjują. Myślałem, że ewentualny kontrakt uzdrowi moją sytuację, ale ten łajdak Valdes wszystko popsuł.

- Pan go zabił? - spytał Garzon.

- Nie. Nie rozumiem państwo? Nie mam odwagi zabić. Jaką zresztą mógłbym z tego odnieść korzyść? Zemsta to niemodny motyw, a ja mam co innego na głowie.

- Poprzednio wspomniał pan, że Valdes ciągle wypytywał o informacje na temat ważnych osobistości. Proszę nam więcej o tym opowiedzieć. Zna pan człowieka o nazwisku Lesgano?

- Zapewniam państwa, że o niczym nie wiem. Gdybym wiedział, próbowałbym go szantażować, to na pewno zrobiłbym z rozkoszą. Ale jestem przekonany, że maczał palce w jakiejś grubszej aferze. Nie jestem głupcem i coś tam zdołałem wyciągnąć z Rosario Campos, ale za mało, żeby móc działać.

- Czy Rosario Campos mówiła panu, że planują kogoś zastraszyć?

- Nie, nie mówiła nic konkretnego, ale jednego dnia chwaliła się, że zna Valdesa, drugiego oznajmiała, że może zamieszka za granicą, nie mam pojęcia, dziwne to wszystko było! W każdym razie nic więcej z niej nie wydobyłem.

Pomyślałam, że w jego słowach czai się swoista logika. Na pewno usiłował zdobyć haka na Valdesa, żeby odplacić mu pięknym za nadobne. Teraz, mówiąc, coraz bardziej się nakręcał.

- To on sam pewnie zabił tę dziewczynę, pani inspektor. Ten facet nie miał skrupułów. Zawsze wykorzystywał kobiety. Nawet swoją byłą żonę musiał pewnie zamęczyć!

- Skąd to przypuszczenie?

- Któregoś wieczoru zobaczyłem ich, jak jedli kolację w winiarni. W takim lokalu, do którego my, ludzie z lepszych sfer, zazwyczaj nie chadzamy. Co robili na kolacji tu, w Madrycie, skoro mogli się widywać w Barcelonie?

- Drogi panie, nie uważam...

- Tak! Poza tym jak mnie rozpoznał, cały podskoczył i ukrył twarz. Ale ja go już miałem na oku, oj, miałem! I ją też. Na pewno usiłował tę kobietę szantażować. Świnia, przeklęty sukinsyn!

- Już dobrze, już dobrze, wystarczy. Proszę nigdzie nie wyjeżdżać, może będzie konieczna jeszcze jedna... hmm... rozmowa.

- Nie mam niczego do ukrycia.

- Jest pan pewien? A może inspektorzy podatkowi zapragnęliby pogawędzić o pańskich transakcjach?

- Nic pani nie skorzysta, jeśli na mnie doniesie. Moje grzeszki to pestka przy tym wszystkim, co się dzieje naokoło. No i wątpię, czy podobałoby się pani kopanie leżącego. Proszę pomyśleć o człowieku, który jest spadkobiercą takiego wspaniałego rodu, a spadł na takie dno. Powinna mi

pani raczej współczuć.

- Mamy gdzieś wspaniały ród - wycedził Garzon. - Dlatego niech pan nie liczy na naszą dyskrecję, jasne?

Podinspektor wyraźnie wciąż miał ochotę odgrywać przed panem markizem świętego mściciela. Szczerze mówiąc, nie miałam mu tego za złe, ta ostatnia próba wzbudzenia w nas litości wyglądała żałośnie.

Gdy znaleźliśmy się na ulicy, Garzon, nie bacząc na przechodniów, rozdarł bez żenady gębę.

- Współczuć! Takiemu pasożytowi! A do kamieniołomu z nim, o chlebie i wodzie!

- To zwykły nieszczęśnik.

- Nie wierzę, żeby było go pani choć trochę szkoda. Przecież nie uwierzyła mu pani w te gadki o skrajnej nędzy.

- Ja tylko chcę powiedzieć, że ma nieciekawe życie. On nikogo nie zabił i niewiele wie o działalności Valdesa.

- A cała ta historia z byłą żoną i kolacyjką w winiarni? Założę się, że puszcza zasłonę dymną, żeby coś ukryć.

- Mnie to wygląda na rozpaczliwą próbę przekonania nas, że powie wszystko, co wie.

- Czyli że to prawda?

- Prawdopodobnie tak, aczkolwiek nie sądzę, żeby miała jakieś znaczenie.

- Valdes miałby utrzymywać z eks-mażonką tak dobre stosunki, że jadał z nią kolacje w Madrycie?

- Pewnie coś musieli omówić, może spotkali się fuksem. Nie mać mi tu, Fermin, bo się oddalamy od sedna. Poczekaj, zadzwonię.

Wybrałam numer Maggy. Byłam pewna, że potraktowała naszą wizytę poważnie i że szperała w papierach Valdesa. I nie myliłam się, głosik tej najemniczki plotkarskiego dziennikarstwa od pierwszych słów nappełnił mnie nadzieją.

- Pani inspektor, sama miałam do pani dzwonić, bo chyba coś mam... Przypomniałam sobie, że szef często jeździł taksówkami. Tylko tak się poruszał po Madrycie. I zawsze korzystał z usług jednej korporacji, Taxi-Rapid, na rachunek telewizji. Niewiele, ale zawsze coś.

- Ma pani pokwitowania?

- Chyba tak. Z tego roku. Leżą w administracji. Zamówić?

- To by nam zaoszczędziło czasu. Będziemy u pani za godzinę.

- Powinnam już je wtedy mieć.

Wreszcie trafiliśmy na fizyczny ślad, pozostawiony przez Ernesta Valdesa na tym padole. Nie należało mieć nadmiernych złudzeń, ale może dzięki temu uda nam się odtworzyć szlaki, jakimi przemierzał Madryt, a w zestawieniu z mrokami, jakie nas otaczały, to już naprawdę było coś.

7

Większość adresów, pod jakie Valdes zajeżdżał w ciągu ostatniego roku taksówkami, powtarzała się. Nam jednak, nieznanym Madrytu, żaden nic nie mówił. Na moją prośbę dyrektorka programowa stacji zgodziła się zwolnić Maggy na jakiś czas, żeby mogła mi pomóc. Ponieważ dziewczyna od śmierci swego dobroczyńcy nie robiła dosłownie nic, szefowa przystała na to bez trudu, aczkolwiek musiała być zdumiona, jakż to pożytek może mieć policja z najniższego rangą żołnierza telewizyjnej armii.

Maggy udało się rozszyfrować prawie wszystkie adresy. Niektóre okazały się oczywiście już na pierwszy rzut oka. Na przykład adres hotelu, w którym Valdes zatrzymywał się w Madrycie, czy sklepu, gdzie robił zakupy.

- Zawsze mówił, że tam kupuje ciuchy, których najczęściej używa.

- Miał koszmarny gust - zauważyłam.

- No, ale przynajmniej lubił kolory, nie łąził w stroju grabarza jak większość.

Jedno spojrzenie na jej strój, skrzyżowanie stylu neohipisowskiego i pospolitej szmaty, pozwoliło mi zrozumieć nastawienie dziewczyny.

Garzon, z lekka urażony tymi babskimi pogaduszkami, sprowadził nas na ziemię.

- A co mi pani powie o pozostałych dwóch adresach?

Maggy przyjrzała się kartce, zachwycona swoją nową rolą śledczej.

- Pojęcia nie mam. Jeden powtarza się dwa razy, drugi... szesnaście!

- Trzeba będzie sprawdzić.

Garzon spojrział na mnie z lekkim niepokojem.

- Czy ta pani też powinna z nami jechać?

Maggy oczekiwała mojego wyroku z pozorną obojętnością, to znaczy: jeszcze gwałtowniej żując gumę.

- Jak najbardziej. Może nam powiedzieć, czy szef coś wspominał o tamtym miejscu.

W jej cielejących oczach pojawił się uśmiech. Poskrobała się za obwieszonym kolczykami uchem i powiedziała z flegmą:

- Tylko niech państwo nie myślą, że to dla mnie zaszczyt współpracować z psami. Gdybyście byli w mundurach, to nawet do wyjścia bym was nie odprowadziła Mam przyjaciół, którzy tego nie pochwalają.

- Nie wątpię - odrzekłam.

Kierownik korporacji Taxi-Rapid bardzo dobrze znał Valdesa, w końcu jednego z najsłynniejszych klientów. Żaden szofer nie obsługiwał go na stałe, dziennikarz brał pierwszego wolnego. Na miejscu przez przypadek trafiliśmy na jednego, który przypomniał sobie, że jeździł z Valdesem w ostatnim miesiącu. Żadnych szczegółów, nasz denat nie należał do ludzi rozmownych. Domyśliłam się, że dużo tu nie zdziałyśmy, wobec czego ruszyliśmy pod adres, który powtarzał się szesnaście razy.

Była to, jak się okazało, zwykła kawiarnia, „La Gloria”, nic specjalnego. Przypadkowi klienci i miejscowi jedli śniadanie, wpadali coś przegryźć albo tylko na kawę. Ani luksusowa, ani podrzędna, bar, kilka stolików, to wszystko. Właściciel oczywiście przypominał sobie Valdesa, znał go z telewizji. Szesnaście wizyt w ciągu roku jeszcze nie oznacza statusu stałego klienta, ale wystarczyło, byśmy poznali pewne szczegóły. Valdes spotykał się tu z innym mężczyzną, zazwyczaj tuż przed południem. Facet podał nam nawet przybliżony opis tego drugiego: około pięćdziesiątki, wysoki, dobrze ubrany, w okularach bez oprawki, o eleganckim wyglądzie. Siadali przy osobnym stoliku pod oknem i rozmawiali co najmniej przez godzinę, czasami dłużej. Nigdy nie zdołał usłyszeć, o czym mówili. O ile pamięta, któregoś dnia razem przeglądali gazety. Miał też wrażenie, że raz wymienili się kolorowymi teczkami. Zawsze podejrzewał, że rozmówca Valdesa to ważna figura w świecie dziennikarskim albo telewizyjnym. Kiedyś tamten przyszedł na spotkanie z żoną, bardzo ładną kobietą, mniej więcej w tym samym wieku co on. Valdes musiał ją znać, bo tamten jej nie przedstawił. Rozmawiali we trójkę. Nie potrafił dokładnie opisać kobiety: wysoka, szczupła, tyle. Nie pamiętał koloru włosów ani jak była ubrana.

Gdy znaleźliśmy się na ulicy, zaczęłam gorączkowo myśleć. Ponieważ jednak Maggy wciąż nam towarzyszyła, nie ośmieliłam się podzielić swoimi podejrzeniami z podinspektorem. Postanowiłam raczej zlecić jej jakąś robotę, żeby odsunąć ją od nas i nie urazić przy tym czulej dumy dziewczyny.

- Maggy, znasz miasto i tutejsze grube ryby. Jeśli zgodzisz się jeszcze z nami popracować, chciałabym cię prosić o coś naprawdę bardzo ważnego.

Na jej twarzy inteligentnej małpki z miejsca pojawił się wyraz zainteresowania. Natychmiast go jednak ukryła.

- A co mam zrobić? - zapytała takim tonem, jakby łaskawie darowała mi życie. - Znowu będę nieobecna w telewizji, chociaż i tak mnie pewnie wywałają...

- Nawet nie musisz opuszczać stacji. Wróć tam i przyjrzyj się uważnie planowi tej dzielnicy. Zorientuj się, czy w pobliżu znajduje się siedziba jakiegoś ważnego banku, jakaś redakcja, biuro partii politycznej, rezydencja kogoś ze śmietanki towarzyskiej. Rozumiesz?

Wzruszyła ramionami, bez wątplenia oczekując wyjaśnień, które wzbogaciłyby jej wiedzę o sprawie, a których niestety jej nie udzieliłam.

- Dobra - zgodziła się bez entuzjazmu. - A jak już posprawdzam?

- To dzwoń.

Skinęła kilkakrotnie głową i odeszła bez pożegnania. Popatrzyliśmy w ślad za jej niezgrabną sylwetką, oddalającą się w głąb ulicy.

- Nareszcie! - sapnął Garzon. - Ta mała strasznie mi działa na nerwy.

- A co ci się w niej nie podoba?

- Jej głupota... To ospałe mówienie, zucie gumy... Poza tym dostają gorączki na widok domorosłych detektywów.

- Cóż za niewdzięczność! Ta dziewczyna podrzuciła nam bardzo cenny trop. Co myślisz o spotkaniach Valdesa z tajemniczym facetem?

- Podejrzewam, że to Lesgano, który kupował od niego informacje.

- I może to on go potem zabił albo wynajął mordercę.

- Może on też zabił Rosario Campos.

- Nie ulega wątpliwości, Fermin, że razem z Molinerem zebraliśmy masę faktów.

- Teraz tylko je połączyć. Wie pani, jaki jest kłopot z naocznymi świadkami, choćby takimi jak szef kawiarni. Widział wysokiego mężczyznę, jakąś kobietę... A kim byli? Nikt nie wie. Wiele spraw zamknięto z powodu takich właśnie zeznań. A ci, co naprawdę mogliby coś powiedzieć, nie żyją.

- Nie wszyscy, jest jeszcze ten, co ich wszystkich zabił.

- To może być kilka osób. Mało pani jeszcze trudności? Nawet nie wiemy, ilu zabójców szukamy.

- Mamy dostatecznie dużo trupów, żeby mówić o konkretnej grupie, nie martw się. Jedziemy w drugie miejsce?

Drugi adres z taksówkowych rachunków był w rzeczywistości winiarnią o nazwie „Sancho Panza” w dzielnicy Chamberi. Bardzo autentyczny, arcyhiszpański lokal, ale to wszystko, co zdołaliśmy wywęszyć. Żaden kelner, a było ich tu kilku, nie przypominał sobie Valdesa. Najmłodszy nawet nie wiedział, kto to taki, co pozwoliło mi na chwilę uwierzyć we współczesną młodzież. Nagle pośród przepastnych zasobów danych w mojej głowie zapaliła się lampka. Zadzwoiłam do markiza. Nie zdołał ukryć niechęci, gdy usłyszał mój głos. Za to dobór słów świadczył o czymś wprost przeciwnym.

- Pani inspektor, to znowu pani? Naturalnie, z chęcią odpowiem na pani pytania, jestem zawsze do pani dyspozycji!

Możliwe, że światowe wychowanie nie uczy uczciwości, pracowitości ani płacenia podatków, ale na pewno pozwala cyzelować sztukę kłamstewek.

- „Sancho Panza”, winiarnia „Sancho Panza”? Szczerze mówiąc, nie wiem. W Madrycie jest pewnie z pięćset winiarni o tej nazwie i drugie tyle z imieniem Don Kichota.

- Ta, o której mówię, znajduje się w Chamberi. Może tutaj widział pan Valdesa na kolacji z byłą żoną?

- A, to inna sprawa, trafiła pani w dziesiątkę. W tamtej okolicy mieszka pewien mój znajomy, poszedłem doń w odwiedziny, ale ponieważ nie było go jeszcze w domu, wpadłem do tego lokalu na kawkę i tam właśnie ich napotkałem. Oczywiście, to bardzo możliwe.

Zdołałam wymotać się z gąszczu tej fałszywej uprzejmości, wyłączyłam telefon i spojrzałam na podinspektora, który z wyrazem obrzydzenia na twarzy przysłuchiwał się mojej rozmowie z arystokratą.

- W sumie to miły gość - powiedziałam, chcąc dokuczyć Garzonowi. - Mogę zrozumieć, że niektóre kobiety za nim przepadają.

- Jeśli pani chce, żebym zniknął na parę godzin, wystarczy powiedzieć.

- Nie trzeba, potrafię się oprzeć jego seksapilowi. Podejrzewam, że tylko próbuje zrobić na mnie dobre wrażenie, żebym nie doniosła na niego fiskusowi.

- To jeszcze powinien uwieść mnie.

- A co, chcesz go zakablować?

- Kurwa, jak mi Bóg miły, że chcę! Niech no tylko to wszystko się skończy i ten mydłek nie będzie nam już przydatny, sam pójdę do urzędu skarbowego, żeby go capnęli. Mam potąd tych wszystkich cwaniaczków! Kiedyś muszą zapłacić!

- No, jest to jakieś rozwiązanie. W każdym razie tamta winiarnia mogła być w Chamberi. Najwyraźniej Valdes i jego była żona stanowili cywilizowaną parę i jadali czasami wspólną kolację, może nawet zawsze, ilekroć przyjeżdżała do Madrytu.

- W takim lichym lokalu? I dlaczego w Madrycie, a nie w Barcelonie? To naprawdę ciekawe.

- Była za bardzo znana w Barcelonie i pewnie wolała zachować anonimowość. Mnie to nie dziwi. Ciebie zdumiewa, że w ogóle się spotykali. Może ty byłbyś wobec eks-małżonki bezwzględny.

- Na szczęście nie musiałem przez to przechodzić. Ale zgoda, puszczać kasę na babkę, z którą nie mnie już nie łączy, i jeszcze do tego z przyjemnością...

- Właśnie o tym mówię.

- I co teraz? Bo ja na przykład zgłodniałem...

- Zjemy coś, żebyś nie mówił, że jako przełożona nie mam sumienia ani słabostek. Ale najpierw zadzwonię do Molinera. Sprawdzę, jak im idzie.

Szło nienadzwyczajnie. Pierwsze dane na temat finansów ministra mieściły się w granicach normy. Nie zanotowano żadnych niezwykłych wypłat. Wyglądało na to, że nie musiał nikomu zapłacić pod groźbą. Tylko czy to samo w sobie cokolwiek znaczyło? Nie. Do szantażu i tak mogło dojść. Osobiste dokumenty ministra nie dowodziły, że miał romans pozamałżeński, wyjąwszy może regularne rachunki z kwiaciarni przy ulicy Muntaner. Bukiet czerwonych róż, przesyłanych co środę pod adresem Rosario Campos. Faktury wystawiano na nazwisko Federico Chopin.

- Jakie pretensjonalne! - krzyknęłam.

- Sama widzisz, jak jest. W środowisku Rosario Campos sytuacja też się szczególnie nie klaruje. Coś tam mówiła paru przyjaciółkom, a to, że spotkała mężczyznę swojego życia, a to, że wreszcie jest naprawdę zakochana... Też pretensjonalne.

- Podejrzewam, że zwróciła się przeciw Federicowi Chopinowi powodowana rozczarowaniem. W którymś momencie zdała sobie pewnie sprawę, że on nigdy nie odejdzie od żony. Zmieniła plany, niewątpliwie przy ścisłej współpracy Valdesa. Jej rodzice coś powiedzieli?

- Są pogrążeni w rozpacz, a więc także w milczeniu. Nawet jeśli coś wiedzą, zasłaniają się twierdzeniem, że córka była samodzielna i mieli z nią słaby kontakt. Nie chcą gadać.

- To rozumiałe.

- Owszem, ale szczerze ci powiem, że mam tego po czubek głowy. W tych kręgach nie sposób niczego od nikogo wyciągnąć. Nie to, co przy zbrodniach w rynsztoku. Tam zawsze znajdziesz świadka, rodziny gadają tyle, że na pewno zdobędziesz jakieś informacje.

- Fakt, biedni są bardziej bezbronni wobec wrogów, taka tradycja społeczna.

- Nazywaj to, jak chcesz, ale ja mam tego dosyć, jestem totalnie przemęczony.

- Jak późno pójdziesz spać, to będziesz jeszcze bardziej zmęczony.

W słuchawce zapanowała głęboka cisza. Wreszcie Moliner odezwał się tak samo spokojnie jak przedtem.

- Jeśli ci chodzi o Amandę, to się mylisz. Już się nie spotykamy.

Teraz ja zaniemówiłam. Moliner dodał:

- Chodzi z Guillemem Franquesą z wydziału patologii.

- Co?

- Spotkaliśmy się w jednej restauracji, przedstawiłem ich sobie. Od razu było widać, że przypadli sobie do gustu, bo mnie rzuciła i zaczęła randkować z nim. Mówiłem ci, że kobiet nie da się zrozumieć, co się znowu potwierdziło.

Też odczułam zaskoczenie i podzieliłam się nim z Garzonem, kiedy tylko usiedliśmy coś zjeść w pobliskim barze. On jednakże okazał więcej zrozumienia.

- Gdy cię mąż opuści, to na pewno jakbyś obuchem w łeb dostała. Podejrzewam, że ma się wtedy ochotę zrzucić gorset wierności, który niby miało się nosić do grobowej deski.

- Bardzo pięknie, każdy jakoś przeżył odstawienie od piersi. Ale dlaczego nie znajdzie jakiegoś innego ujścia dla swoich popędów? O co jej chodzi? Chce poderwać wszystkich policjantów w tym kraju?

Garzon ciągnął filozoficzny wywód:

- Pani się martwi, co powiedzą inni, choćby kłamali. Zgrywa pani nowoczesną kobietę, ale tak do końca nie wyzwoliła się pani z pewnych ograniczeń.

- Dobra, Fermin, ty za to przestań zgrywać doradcę uczuciowego. Masz oczywiście rację. Przyznaję. Przyznaję też, że chciałabym, by moja siostra wyjechała i wreszcie stawiła czoło sytuacji. Bo na razie tylko ucieka. Kiedyś w końcu będzie musiała wrócić do domu. I wtedy pogadamy.

- Rozwody i stosunki z eks-małżonkami to strasznie skomplikowana sprawa.

- Każdy to sobie układa, jak umie.

- Pani sama zerwała z Hugonem wszelkie kontakty, a z Pepe pozostaje pani w przyjaźni.

- Nigdy nie wiadomo, co lepsze. Nie ma wzorca. Na tym polega cały dowcip.

- Pani zamierza jeszcze kiedyś wyjść za mąż?

- A skąd ja mam wiedzieć?!
- Ale ja nie pytam z czystej ciekawości.
- A dlaczego?
- Bo chcę wiedzieć, czy da pani nogę z markizem.

Roześmiałam się serdecznie. Popatrzyłam na mojego kolegę. Jak u każdego mężczyzny, było w nim coś dziecinnego - i za to go lubiłam. Powściągnęłam jednak uśmiech i powiedziałam:

- Nie wiem, Fermin, czy wezmę jeszcze ślub, ale jeżeli, to na pewno nie w wyniku teoretycznych założeń. Doszłam do ostatecznego wniosku, że, jak prawie wszystko w życiu, miłość to dzika dżungla, chaos, zamęt, kompletne gwałtu rety. Dlatego absurdem jest robić jakieś plany, ale absurdem jest też nie robić ich w ogóle... Nie wiem, boję się doszukiwać porządku tam, gdzie go nie ma. W końcu dochodzisz do wniosku, że znalazłeś się na Ziemi przez pieprzony przypadek, że jesteś małym zwierzątkiem, zarodnikiem, maleńkim ogniwem w łańcuchu życia.

Garzon zasłuchał się jak przejęte dziecko, mrużąc oczy w celu lepszego zrozumienia mojej knajpianej filozofii. Milczał.

- A ty masz zamiar się jeszcze ożenić?
- Ja...

Przerwał mu dzwonek mojej komórki. Spojrzałam na wyświetlacz.

- No, to chyba nasza detektyw amator.

- Kurwa, niech no jej pani powie, żeby się zapisała do akademii. Będzie się mogła wykazać, jak zostanie glina!

Podczas mojej rozmowy z Maggy Garzon rzucał wściekle spojrzenia znad filiżanki kawy. Wreszcie skończyłam.

- Mówi, że załatwione.

- Załatwione? Co?

- W rejonie tamtej kawiarni nie ma żadnych lokali partyjnych ani urzędów, za to jest tam redakcja dziennika „El Universal”. To ciekawe znalezisko, bo ostatnio pisali o paru skandalach politycznych. Jak dopijesz, pojedziemy pogadać z naczelnym. Może coś wie o sprzedaży kompromitujących informacji i ewentualnych szantażach. A teraz kontynuuj.

- Co mam kontynuować?

- No, miałaś mi zdradzić, czy ożenisz się drugi raz.

- Ja pieprzę, pani inspektor, siedzimy po uszy w intrygującym śledztwie, a panią interesuje, czy stary pierdziel chce się ożenić! A ja skąd niby mam to wiedzieć? Jak spotkam odpowiednią kobietę, to kto wie.

- Słodką, przytulną kobietkę, która poda kaptcie, jak wrócisz z roboty?

- Tak, i żeby dmuchała mi w kawę, jak będzie za gorąca! Niech mnie pani nie wkurza, pani inspektor, bo ja już panią znam! Wystarczająco długo pracujemy razem.

- Oj, chyba nie tak długo, bo na pewno jeszcze cię czymś zaskoczę!

- A żeby pani wiedziała! Zaskakuje mnie pani nawet za często, i to w maksymalnym natężeniu, jakie mogę znieść.

Lubiłam, jak Garzon składał mi takie deklaracje, bo w gruncie rzeczy utwierdzał we mnie mój prywatny mit, coraz bardziej chwiejny na skutek dziwnych meandrów życia.

Żeby przejść przez bramkę w redakcji „El Universalu”, wystarczyło pokazać blachy policyjne. Trudniejsze okazało się załatwienie spotkania z redaktorem naczelnym. Nazywał się Andres Nogales i zdaje się był na jakimś posiedzeniu, musieliśmy więc odczekać pół godziny. Ale nie śpieszyło się nam. Mieliliśmy zamiar po prostu z nim pogadać i zapytać, czy jakiś członek redakcji odpowiada rysopisowi mężczyzny, z którym Valdes jadł śniadanie w „La Glorii”. Kiedy jednak w końcu się zjawił, musieliśmy zmienić strategię. Ku naszemu kompletnemu zaskoczeniu on sam wyglądał dokładnie tak, jak opisał nam właściciel: wysoki, elegancki, w okularach bez oprawek, około pięćdziesiątki. Garzon posłał mi szybkie spojrzenie, więc lekkim zmrużeniem oczu dałam mu znak, że się rozumiemy. Trzeba było błyskawicznie reagować. Czy staliśmy wreszcie przed prawdziwym mordercą Valdesa? Uznałam, że muszę zachować ostrożność i pohamować się z wyciąganiem wniosków. Szef dziennika to nie mały pikuś, którego można zastraszyć bez żadnych dowodów. Nie wiedziałam, od czego zacząć, czułam tylko, że zdradzić się przed nim byłoby niewybaczalnym błędem. Zasiadliśmy przed biurkiem naczelnego w dwóch niewielkich fotelach. Garzon cały czas za-

chowował grobowe milczenie.

Gospodarz uśmiechnął się i rozpostarł ramiona w doskonale opanowanym geście powitania.

- Czym mogę służyć naszej kochanej policji?

Albo był typem wielkopańskiego ironisty, albo zjadały go nerwy. Obydwie możliwości uznalam za korzystne. Odpowiedziałam uśmiechem.

- Jesteśmy zainteresowani krótką pogawędką.

- A o czymś konkretnym?

- Chodzi o przybliżenie nam praktyk dziennikarskich.

- Wiedziałem, że poruszamy się po niebezpiecznym terenie, ale miałem nadzieję, że same praktyki dziennikarskie nie są na razie zaliczane w poczet przestępstw.

- Bo istotnie nie są. Chcielibyśmy tylko, żeby oświecił nas pan w kwestii pewnych procedur.

- Na przykład?

- Jak wygląda w praktyce tak zwane dziennikarstwo śledcze?

Wybuchnął śmiechem.

- Pani inspektor, błagam, nie jestem dzieckiem.

- Nie rozumiem...

- Chyba nie chce mi pani wmówić, że policję zainteresował ten jeden aspekt pracy redakcji gazety. Zwłaszcza że dziennikarstwo śledcze to kwintesencja zawodu, reszta to tylko serwisy agencyjne, których działanie jest państwu na pewno świetnie znane.

- Doskonale, w takim razie mógłby nam pan powiedzieć, czy pańscy dziennikarze sami prowadzą śledztwo, czy raczej korzystają z informatorów zewnętrznych?

Zamknął szufladę niezbyt gwałtownie, ale z wyraźną niecierpliwością. Popatrzył na mnie z dziwną powagą.

- Proszę państwa, ja też lubię pożartować, ale teraz namawiam, abyśmy byli rozsądni. Stoję na czele gazety o zasięgu ogólnokrajowym, orientuję się w wielu sprawach, słyszałem niejedno. I naprawdę nie uwierzę, że przyszli tu państwo zaciekawieni wyłącznie naszymi metodami pracy. Zresztą nie zamierzam poruszać kwestii, w których przysługuje mi prawo zachowania tajemnicy zawodowej. Państwo prowadzą konkretne śledztwo, mogę wiedzieć jakie?

- W sprawie zabójstwa Ernesta Valdesa.

- Świetnie, to już coś, od razu lepiej. Zastanówmy się... Ernesto Valdes, Ernesto Valdes... Rzeczywiście, taki dziennikarz z prasy kobiecej. Został zamordowany w Barcelonie, prawda? Troszkę się państwo oddalili od miejsca zbrodni.

- Ktoś widział Ernesta Valdesa, wchodzącego do tej redakcji niedługo przed śmiercią. Chcielibyśmy wiedzieć, co tu robił. Staramy się odtworzyć jego ostatnie kroki.

- Valdes tutaj? Nie wiem sam, to dziwne, aczkolwiek nie kontroluję tego, co się dzieje w poszczególnych działach. Może robili z nim wywiad albo dostarczał komuś danych na temat prasy kobiecej... Chwileczkę, zaraz to sprawdzimy.

Sięgnął po telefon wewnętrzny i zasłaniając słuchawkę, wyjaśnił:

- Rozmawiam z dokumentacją. Mają wszystko, co ostatnio u nas publikowano. Zobaczymy, czy...

Poprosił o dane, powtórzył z naciskiem, ale oczywiście odpowiedź była negatywna. Po pięciu minutach odwiesił słuchawkę.

- Otóż nic z tego, zostali państwo wprowadzeni w błąd. Valdes nie gościł na łamach „El Universalu”. Jak mnie zapewniono, jego noga w ogóle nie powstała w tej redakcji. Wszyscy jesteśmy dziennikarzami, ale z różnych parafii. Nie wiem, czy jasno się wyrażam.

- Oczywiście. Cóż, pech.

- Czy to wszystko?

- Obawiam się, że tak.

- Pani inspektor, dam pani dobrą radę. Mam nadzieję, że się pani nie obrazi. Kiedy muszą państwo potwierdzić jakiś fakt czy trop, nie jest konieczne, by od razu mnie w to angażować. Moja sekretarka albo któryś z redaktorów równie fachowo się państwem zajmą. Proszę nie myśleć, że odmawiam współpracy, mam z policją świetne kontakty, co więcej, pozostaję w dobrych stosunkach z waszym szefem, czyli ministrem spraw wewnętrznych. W istocie jednak jestem osobą niezwykle zajęta...

- Całkowicie zrozumiałe.

- Kto państwu przekazał taką informację?
- Przykro mi, panie redaktorze, ale nam też przysługuje prawo zachowania tajemnicy zawodowej. Rozumie pan?

- Naturalnie, że tak. Odprowadzę państwa.

- A moglibyśmy rozejrzeć się po redakcji? Nikogo nie będziemy niepokoić; szczerze mówiąc, zżera mnie ciekawość, jak wygląda gazeta od środka.

Pierwszy raz zobaczyłam na jego twarzy cię wątpliwości. Odpowiedź była natychmiastowa.

- Poproszę sekretarkę, żeby państwa oprowadziła.

- Znakomicie! Jesteśmy niewymownie wdzięczni.

Kiedy czekaliśmy w sekretariacie, Garzon zaszemrał mi do ucha:

- Ale koleżka! Darował nam życie.

- Spokój, Fermin - mruknęłam. - Musimy być dyskretni i bardzo uprzejmi. Miej oczy otwarte i szukaj kogoś podobnego do Nogalesa. Na wszelki wypadek.

Wypadek taki nie zaszedł, nikt bowiem nie odpowiadał opisowi podanemu przez barmana. Andres Nogales to był nasz człowiek, założyłabym się o własną cnotę, gdybym ją jeszcze miała. Bałam się wręcz, że opuszczając redakcję, dajemy mu okazję do ucieczki, tak mocno byłam przekonana. Nie wolno się jednak śpieszyć, na razie nie mieliśmy na niego nic konkretnego, nawet nie potrafiliśmy sobie jasno przedstawić motywów zabójstwa.

Pojechaliśmy do komisariatu, z którym Moliner współpracował w Madrycie. Zleciłam podsłuch telefonu Nogalesa, inwigilację satelitarną, a także ustawienie pod redakcją agenta, który robiłby zdjęcia. Wreszcie wróciliśmy do hotelu. Jeżeli nasze podejrzenia są niesłuszne, to przedsięwzięłam środki stanowczo zbyt spektakularne, ale wołałam nie ryzykować.

Nie zdążyłam się jeszcze położyć, gdy zadzwonił Sanguesa. Zdumiało mnie, że telefonuje o tej porze.

- Przepraszam, Petra, że tak późno cię niepokoję, ale idzie mi jak krew z nosa. Ta Marta Merchan staje okoniem i nie popuszcza.

- O co chodzi?

- Wiesz, że narodowe fundusze inwestycyjne to tajemnica jak cholera? Ciągłe odbijamy się od drzwi, nieważne, policja, sędzia śledczy, nie ma świętych. Niczego nie ujawniają.

- Wiem.

- Ale może wiesz też, że jestem najlepszym śledczym gospodarczym w kraju.

- Oczywiście, że wiem!

- No więc, wykorzystując kontakty na szczeblu naprawdę najwyższym, stwierdziłem, że Marta Merchan dwa tygodnie temu zainwestowała całkiem okrągłą sumkę.

- Jaką?

- Dwadzieścia milionów peset.

Zagwizdałam, niepewna, czy powinnam się dziwić. Sanguesa pospieszył z komentarzami:

- Ciekawe, prawda? Skąd je wzięła? Nie figurują u niej na koncie, dochody też tego nie tłumaczą. Trzymała w skarpecie? Zarobiła niedawno w jakiś cudowny sposób? Udało mi się dotrzeć do tych pieniędzy, ale nie mam uprawnień, żeby zbadać ich pochodzenie.

- Jasne.

Zamyśliłam się, usiłując dopasować tę nową informację do poprzednich. Z zadumy wyrwał mnie głos Sanguesy.

- Petra, nic nie powiesz?

- Muszę się trochę zastanowić.

- Ale nie mówisz, jak ci się podoba moja akcja.

Wreszcie do mnie dotarło.

- Sanguesa, jestem porażona, aż nie mogę w to uwierzyć. Wiedziałam, że w tych sprawach jesteś mistrzem, ale żeby dotrzeć do tych inwestycji... Zresztą nie tylko to. Dostałeś ode mnie tak niewiele informacji, a tyle udało ci się ustalić! Powiem szczerze: nie sądzę, żeby ktokolwiek w policji ci dorównał.

Zadowolony śmiech po drugiej stronie świadczył, że mogę przyhamować, wystarczy tych pochlebstw.

- No, Petra, muszę cię teraz pożegnać. Uważaj na siebie, nie chciałbym, żeby coś złego się stało naszej najlepszej policjantce.

- Uwielbiam cię, Sanguesa. Na razie.

Nieprawdopodobna próżność mężczyzn, którą mimo to tak łatwo zaspokoić! Przeginasz do niemożliwości, podlizujesz się jak dzieciak, beczelnie, ocierając się o absurd. A oni to łykają bez mrugnienia okiem, nigdy nie uważają, że to przesada czy prostactwo, są zachwyceni, choćby nawet uważali, że nie zasługują na te pochwały mamuni.

Rozejrzałam się po czterech kątach pokoju. Omiotłam wzrokiem eklektyczne, typowo hotelowe umeblowanie. Kurwa mać! Mój mózg odmawiał wchłonięcia kolejnej informacji - informacji, która nie pasowała do reszty, która wręcz zatrzęsała porządkiem rzeczy, jaki udało mi się zaprowadzić metodą dedukcji i przypuszczeń. Co, do cholery, kombinowała teraz była pani Valdes? Jakie to miało znaczenie w intrydze ze sprzedawaniem poufnych wiadomości? I czy w ogóle ta sprzedaż rzeczywiście doprowadziła do tylu zabójstw? W którym momencie śledztwa się znajdujemy, znowu na początku? Nagle poczułam okropny zawrót głowy, jakbym spadała w próżnię, nie chwyciwszy się żadnej deski ratunku. Uważaj, Petra - pomyślałam. Nie wolno się dać pokonać niepewności. Ani wyskakiwać za bardzo do przodu, ani się cofać. Powoli, jestem, gdzie jestem, i coś mnie aż tu doprowadziło. Po co sprawdzać wciąż te same dowody, powtarzać wszystko, wątpić? Ma się w końcu tę intuicję policyjną czy nie?

Wstałam z łóżka. Spokojnie, to tylko jeszcze jedna informacja. Czy komputer panikuje, kiedy wprowadzają do niego nowe dane? Co robi? Archiwizuje i koniec - ale gdzie? Otóż i problem. A jeżeli odkrycie Sanguesy nie ma nic wspólnego z obecnym dochodzeniem? Poruszamy się w świecie krętaczy. Wszystkie osobniki w tej zdegenerowanej społeczności mają coś do ukrycia, przede wszystkim pieniądze. Byli urodzonymi oszustami, mieli mnóstwo okazji do robienia nietypowych transakcji finansowych. Wydział skarbowy to dla nich synonim diabła. Może Marta Merchan dokonała już wcześniej jakiejś niezaksięgowanej inwestycji, może otrzymała tajny spadek po byłym mężu, ukryty przez adwokata, żeby nie musiała płacić podatku. Tak, to niezła kombinacja, przecież pomimo rozwodu pozostawali w bardzo dobrych stosunkach

Co robić? Jaki następny krok? Jechać do Barcelony? Wykluczone, nie teraz, kiedy mamy Nogalesa na widelcu i jesteśmy tak blisko finałowej strzelaniny. Posłać Garzona, żeby przesłuchał eks-żonę? Należała do tego typu podejrzanych, z którymi podinspektor nie radził sobie rewelacyjnie. Podjęłam w końcu najmniej beznadziejną decyzję. Zadzwoiłam do Molinera. Był już w domu. Poprosiłam, żeby się spotkał z Martą Merchan. Znał szczegóły, nie wykluczaliśmy przecież, że nasze sprawy są ściśle powiązane, to on powinien rzucić tam okiem i ocenić sytuację. A dalej postąpił według jego uznania.

Zgodził się, rzecz jasna. Uznałam, że chwilowo odsunęłam problemy na bezpieczną odległość. Odetchnęłam z niejaką ulgą, los jednak nie dał mi jeszcze szansy zasnąć. Już miałam odwieść słuchawkę, gdy Moliner mnie zatrzymał.

- Petra, wiesz, w jakim momencie zadzwoniłaś?

Poleciałam się natychmiast wszystkim świętym, nie wiedząc dokładnie dlaczego, ale przeczuwałam kataklizm. Zaprzeczyłam, starając się udawać osobę roztargnioną. Kataklizm jednak nastąpił.

- Moja żona definitywnie odeszła.

- Słuchaj, przepraszam, nawet nie spytałam... Przykro mi, już ci daję spokój.

Nie rozłączył się, nawet nie wiem, czy mnie słyszał.

- Tak naprawdę odeszła kilka dni temu, zabrała swoje rzeczy, ma już nowe mieszkanie. Ale na dziś umówiliśmy się na kolację, próbując przynajmniej rozstać się po przyjacielsku... Nie wiem dlaczego, ale ja jak głupi do końca miałem nadzieję, że... Ale odeszła, Petra. Dreptałem po domu, kiedy zadzwoniłaś, i docierało do mnie właśnie, że już nigdy jej tu nie zobaczę.

- Wiesz, jeśli naprawdę udało wam się rozstać po przyjacielsku... to jeszcze się spotkacie, pogadacie i z czasem ci...

- Ale wcale się tak nie stało.

- Jak to?

- Strasznie jej nawrzucałem. Nie mogłem się pohamować, nie wiem, co mnie napadło.

Wzięłam papierosa z nocnego stolika. Wszelkie próby przerwania rozmowy byłyby równoznaczne z okazaniem braku solidarności z gatunkiem ludzkim. Zaciągnęłam się głęboko i słuchałam, bo znów tylko tego ode mnie oczekiwano.

- Powiedziałem jej wszystko to, czego nie powinienem był mówić, rzeczy, których wcale nie

czuję. I w sumie po co? Katastrofa, Petra, jestem kretynek. Moja żona ma pełne prawo dać nogę z innym.

- To kuszące zwalić całą winę na samego siebie, ale to w istocie taki sam błąd jak zwalić wszystko na drugiego.

- A co nie jest błędem?

- Dać sobie czas. Jeżeli naprawdę chcesz się dowiedzieć, co zaszło, przemyśl to jeszcze raz, kiedy miną ci ból, nienawiść i złość.

- A kiedy to nastąpi?

- Nie wiem.

- Dać sobie czas. Łatwo powiedzieć.

- Ale jeśli rzeczywiście potrzebny ci jest natychmiast winny, weź pod uwagę swoją pracę, to niezawodny sposób. Przyszło ci kiedyś do głowy, ilu policjantów jest samotnych albo rozwiedzionych?

- Nigdy.

- Otóż cała masa. To normalne, Moliner. Żaden współmałżonek nie wytrzyma tych nieregulowanych godzin pracy, napięcia, jakie przynosimy do domu, czasu poświęconego na jedno śledztwo, telefonów o dowolnej porze...

- I myślisz, że to pociecha, jak sobie wyobrażę, że ja tu zasnuwałem, a ona w tym czasie zabaśniała się z innym?

- To by było zbyt banalne. Ale jeżeli to cię najbardziej boli, to już mniejszy problem.

Usłyszałam smętny śmiech.

- Petra Delicado, jak zwykle bardzo oryginalna!

- Powinni mnie zatrudnić w prasie kobiecej.

- Aha, jeśli chodzi o twoją siostrę...

- Zali ja jestem stróżem brata mego? Jak to powiedział przesławny Kain. Zapomnij o tym, zajmij się czymś ciekawszym.

- Dobrze, Petra, pójdę przesłuchać Martę Merchan. Zrobię to z takim samym zaangażowaniem, jakie ty byś w to włożyła.

- Przypuszczalnie z większym, zawsze byłeś ode mnie lepszy.

Dziwne, ale między rozwodnikami prędzej czy później pojawia się nie sympatii i solidarności. Zawsze podejrzewałam, że z czasem udałoby się stworzyć sporą grupę nacisku. Politycy mówiliby o nas w przemówieniach, żebyśmy na nich głosowali, mielibyśmy wyspecjalizowane sklepy i własne kluby. Kto wie, może w przyszłości staniemy się podporą cywilizacji - w miejsce dychawicznej monogamii, tak przewidywalnej i stereotypowej, wyzbytej wszelkich silnych emocji. Kiedy w każdym razie nadejdzie ta świetlana epoka, ja już będę poza marginesem, więc może lepiej nie fantazjować, tylko zrobić coś o wiele właściwszego: pójść spać.

Współpracujący z nami komisariat w Madrycie spisał się na medal. Już nazajutrz czekały na nas pierwsze wyniki. Nie spuszczała Nogalesa z oczu. Przez całe popołudnie i wieczór nie stwierdzono w jego zachowaniu niczego podejrzanego. Siedział w redakcji do późna. Wyszedł z zastępcą, Juanem Montesem, i razem poszli na kolację do jednej z tych restauracji, co są otwarte do świątu. Wreszcie wrócił do domu. Telefony też niczego nie sugerowały, wszystkie rozmowy miały charakter zawodowy. Zdumiała nas jakość fotografii. Był na nich widoczny w całej okazałości, przy wyjściu z redakcji z profilu, a w drzwiach restauracji niemal en face. Nie sposób go było nie rozpoznać.

- Masz ochotę na śniadanko? - spytałam Garzona.

- Pod warunkiem, że w „La Glorii”.

Adolfo, właściciel, rozpoznał Nogalesa natychmiast, jak mu podsunęliśmy pod nos zdjęcia, bez najmniejszego trudu. Po chwili jednak się wycofał, może żalując, że nie pomyślał wcześniej. To typowa reakcja: co innego zeznać, że widziało się gdzieś jakiegoś anonimowego gościa, a co innego wskazać go na zdjęciu, które podsuwają ci gliniarze. Oskarżyć kogoś znanego z imienia i nazwiska to krok, na który niewielu się decyduje.

- No, nie wiem, powiedzmy, że to on, chociaż, wiedzą państwo, tylu ludzi się tu przewija... W każdym razie takie mam wrażenie.

Nie należało teraz mówić mu o formalnym zeznaniu w obecności sędziego śledczego. W tym celu trzeba go będzie jeszcze dopaść bez uprzedzenia. Usiłowałam nadać jego przypuszczeniu

większą precyzję.

- Ale można powiedzieć, że niemal łudzaco przypomina mężczyznę, którego widział pan tu często razem z Valdesem?

- Tak, jest bardzo podobny.

Walczyły w nim strach, że nierozważnie wdepnął, mówiąc, co wie, i potrzeba wyznania prawdy. Uznałam, że lepiej go pozostawić w takim stanie, ale po wyjściu z kawiarni Garzon wyraził swoją dezaprobatę.

- Trzeba było bardziej docisnąć, ja bym temu świadkowi nie ufał ani na jotę. Może w każdej chwili spanikować. I co wtedy? Powiemy Nogalesowi, że świadek przypuszczalnie widział go z Valdesem, a może kogoś podobnego do niego? Przecież zaśmieje nam się w nos.

- Niewykluczone, że kiedy świadek przemyśli wszystko spokojnie, dojdzie do wniosku, że zeznając, nic nie ryzykuje.

- Zazwyczaj świadkowie dochodzą do innego wniosku: że bardziej opłaca się nie pchać w kłopoty.

- Zgoda, co w takim razie miałam zrobić?

- Postraszyć go troszeczkę.

- Zagrozić, że go pobijemy? Mowy nie ma, kochany inspektorze. To idealny prezent dla adwokata, który będzie twierdził, że jego klient padł ofiarą zastraszenia!

- Może i ma pani rację, ale wcale nie jestem zadowolony z tego, co zrobiliśmy.

- Ja też nie. Musimy się przeżegnać i rozegrać tę partię jak najlepiej.

- Ale jak? Powie pani Nogalesowi, że rozpoznał go właściciel kawiarni?

I tu jest pies pogrzebany. Gdybyśmy tak zrobili, Nogales mógłby zareagować w różny sposób: albo by się przyznał, widząc, że nie ma drogi ucieczki, albo nic by nie robił, ufając, że to tylko podpucha, albo by się zapierał do chwili bezpośredniej konfrontacji, albo wreszcie mógłby postarać się przekupić świadka bądź wynająć kogoś, kto tamtego zastraszy lub, co gorsza, zamorduje. Zakładając, że to on jest winny dwóch poprzednich zabójstw, co go powstrzyma przed popełnieniem trzeciego, jeżeli to mu gwarantuje zatarcie kompromitujących śladów?

- Zawsze możemy postawić kogoś na czatach w „La Glorii”. W ten sposób dopadlibyśmy Nogalesa, gdyby usiłował zastraszyć świadka.

- Myślisz, że zrobi to na oczach wszystkich? Są tysiące sposobów, żeby go zastraszyć bez zbliżania się do kawiarni!

- No to będziemy też śledzić świadka, zrobimy zdjęcia wszystkim, którzy wchodzą do lokalu! Założymy mu podsłuch w telefonie!

- Tutejszy komisarz pošle nas do kurwy nędzy.

- Powiemy mu, że w Barcelonie takie procedury są na porządku dziennym. Nadeśniemy im na odcisk.

- W porządku, można spróbować, pogadaj z komisarzem. Ale i tak nie ubezpieczymy się na każdą możliwość. Mogłoby poskutkować, gdyby wysłał notowanego zabójcę, ale jeżeli tego nie zrobi? Może ma jakiegoś chłopca do specjalnych poruczeń, kogoś, kogo nie odróżnimy od zwykłego klienta.

- Nigdy nie ma się stuprocentowej pewności, sama pani wie najlepiej. Czasem trzeba liczyć na błąd przeciwnika, a błędy popełniają nawet najbardziej inteligentni.

- To prawda! Żeby nie szukać za daleko, chociażby ja sama, kiedy zgodziłam się na naszą współpracę.

Zaśmiał się szczerze.

- Żeby się pani przekonała, że jestem aniołem i nie chowam urazy za typowe pani docinki, sam pójdę do komisariatu wyprosić te dodatkowe działania. Jak mają posłać kogoś do kurwy nędzy, to już niech to będą ja.

- Zgoda, czekam w hotelu. Jak się uwiniesz, daj mi znać, to się wybierzemy z wizytą do „El Universal”.

Chwilę później zamknęłam się w pokoju, żeby trochę pomyśleć o strategii przesłuchania Nogalesa. Nalałam sobie whisky z barku i sprawdziłam wiadomości w skrzynce komórki. Dwie - jedna od Maggy, żadnej jakichś nowin, druga od męża mojej siostry. Prosił mnie o jak najszybszy kontakt telefoniczny. Zadzwoiłam do niego z ogromną niechęcią, bo coś mi mówiło, że ta rozmowa na pewno nie przyniesie ukojenia. Enrique od razu odebrał.

- Petra, usiłowałam cię trzymać z dala od tego wszystkiego, ale tak już być nie może. Co się dzieje z Amandą?

- Możesz mi nie wierzyć, ale nie wiem. Mieszka u mnie, tyle że ja od kilku dni jestem służbowo w Madrycie. Nie umiem ci powiedzieć.

- Wiem, że u ciebie zamieszkała. Ale ostatnio nawet nie podchodzi do telefonu. Rzadko udaje mi się ją zastać, a i wtedy, jak tylko mnie słyszy, odkłada słuchawkę.

- A jak ja ci mogę pomóc?

- Zadzwoń do niej, pogadajcie. Przecież nie może tak wyjechać i już. Nawet nie porozmawialiśmy o przyszłości, niczego nie zaplanowaliśmy, nie mam pojęcia, co ona zamierza, jak długo chce siedzieć w Barcelonie. Dzieci nie wiedzą, co się dzieje, ja też. Wyjechała i zostawiła nas w kompletnym zawieszeniu, a to nie jest normalne. Trzeba się zastanowić, co dalej, jak to wszystko zorganizować. Ona musi stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością.

- Tak ci się śpieszy, żeby się ulotnić?

Zamilkł. Usłyszałam, jak wzdycha głęboko.

- Petra... Proszę, czy ja mam się przed tobą teraz tłumaczyć? Mamy powołać grupy przyjaciół, podzielić ich na tych, co trzymają z mężem, i tych po stronie żony? Nawet z tobą nie da się tego uniknąć?

- Chyba się da. Nieważne, Amanda ze mną też nie rozmawia.

- Dlaczego?

Zawahałam się przez moment.

- Bo... Jak podejrzewam, dlatego, że ją strofuję i zgrywam doświadczoną siostrę, którą obchodzi tylko własny interes.

- Kiedy wracasz do Barcelony?

- Nie mam pojęcia. Na razie jeszcze posiedzę w Madrycie.

- To naprawdę beznadziejna historia.

- Poczekaj trochę, ten lewy rozejm nie może trwać wiecznie.

- Zgoda, ale obiecaj, że postarasz się ją namówić do powrotu, chociażby po to, żeby powie działa, czy chce praw opiekuńczych.

- Postaram się.

Czy ja jestem wzorem kobiety neutralnej? Czy do mnie będą się zgłaszać wszyscy Hiszpanie w trakcie separacji? Może minęłam się z powołaniem i powinnam udzielać porad małżeńskich? Nie zdążyłam nawet odstawić telefonu na stolik, kiedy znów się rozdzwonił. Aż podskoczyłam. Garzon.

- Pani inspektor? Gotowe.

- Już?

- Poszło jak po maśle. Będą mieć na oku kawiarnię „La Gloria” i nawet nie posłali mnie do kurwy nędzy. Wie pani, co mi do głowy przyszło? Że u nas w komisariacie o każdą pomoc trzeba się więcej naprosić. Coronas to twarda sztuka. Wpaść po panią?

- Nie, czekaj w „El Universalu”, zaraz tam będę.

Popatrzyłam na szklanę i piękny, jasny brąz whisky, po czym zdecydowałam wylać zawartość do umywalki. Musiałam być przytomna. Nie dysponowałam żadną taktyką na to spotkanie, pozostawało mi ufać własnemu talentowi improwizatorskiemu i znajomości typów pokroju Nogalesa. Po namyśle jednak uznałam, że lepiej łyknąć świętą miksturę: tylko głuszając swoje lęki, Czerwony Kapturek miał szansę w konfrontacji z wilkiem. Wychyliłam szklanę do dna. Wszystko mi teraz sprzyjało, Kapturek nie miał nawet zahartowanego w bojach Garzona u boku.

I znów rytualne czekanie pod drzwiami redaktora naczelnego. Jest na posiedzeniu. Jak widać, ważne osobistości żyją na zebraniach. To coś podobnego do seansu spirytystycznego. Nogales przyjął nas dopiero w godzinę i kwadrans od naszego przybycia do redakcji. Jak zauważyłam, był ociupinkę mniej uprzejmy niż poprzedniego dnia.

- No, proszę! Tak bardzo policja potrzebuje dziennikarzy?

Zaczynaliśmy tę samą szermierkę słowną. Nie mogłam pozwolić, żeby mi się wymknął tymi przemyślnymi sztuczkami. Oddałam śmiercionośny strzał.

- Panie redaktorze, wczoraj oświadczył pan, że nie znał osobiście Ernesta Valdesa. Czy dzisiaj potwierdza pan to zeznanie?

- A! Więc to było zeznanie? Nie miałem pojęcia. Skoro to tak poważna sprawa, może lepiej

zadzwońię po swojego adwokata, żeby był obecny podczas tej rozmowy. To chyba nie jest bezprawne, prawda, pani inspektor?

Uśmiechnął się z precyzyjnie odmierzoną dozą cynizmu. Ten inteligentny i oblatany facet z miejsca wykorzystywał wszelkie moje potknięcia.

- Może pan robić, co pan zechce. W sumie niewiele dziś od pana oczekujemy. To raczej my chcielibyśmy dostarczyć panu danych.

- Doskonale! Do publikacji? Nigdy nie tracę z oczu obowiązków dobrego dziennikarza. Podejrzewam, że państwo również są zawsze dobrymi policjantami.

- Nie wiem, czy nasze dane nadają się do publikacji, sam pan zdecyduje. Może pańskich czytelników zainteresuje zapewnienie pewnego świadka, że widział pana ze zmarłym Valdesem.

Nawet nie drgnął, zaśmiał się tylko wyniośle.

- Pani inspektor, mówiłem już pani, świat dziennikarski jest niewielki i pełen absurdów. Każdy mógł mnie widzieć obok Valdesa w tłumie na przyjęciu, podczas jakiejś inauguracji czy na zjeździe politycznym. Jest nawet możliwe, że zamieniłem z nim parę słów, aczkolwiek nie przypominam sobie tego. Nie podważa to mojego zeznania, jak to była pani łaskawa nazwać, bo ja po prostu nie utrzymywałem z tym panem kontaktów. Tak brzmi lepiej?

W tym momencie, zgodnie z wcześniejszym planem, wtrącił się Garzon, ja tymczasem skupiłam się na uważnej obserwacji zmian na twarzy Nogalesa.

- Nie o to chodzi. Pan jadał z nim śniadania w kawiarni „La Gloria”. Właśnie tam panowie rozmawiali i wymieniali się dokumentami. W ciągu ostatniego roku widywali się panowie w tym lokalu wystarczająco często, by rozpoznać panów właściciel.

Przysięgłabym, że oczy mu się minimalnie zwięzły, ale nic więcej nie dostrzegłam.

- No cóż, to już jest istotnie pewna nowość. Ten pan mnie zna? A skąd? Jak? Zrobił mi zdjęcie, jak jadłem śniadanie z Valdesem? Boże święty, a jakąż musiałem mieć minę, kiedy się widywałem z tym potworem! Zobaczymy, jeżeli ten jegomość jest pewien tego, co mówi, zatem rozpozna mnie także w obecności sędziego śledczego. Doskonale, tam się spotkamy. Nie bardzo mi się uśmiecha, że stracę przy okazji cenne poranne godziny pracy, ale cóż poradzimy? Redaktora naczelnego spotykają w życiu różne dziwne historie, ta będzie kolejna.

- Świetnie, panie redaktorze, w takim razie to wszystko. Gdyby nagle przypomniał pan sobie coś nieoczekiwanego, proszę zadzwonić do tego komisariatu i poprosić mnie.

- Pani inspektor, za pozwoleniem, mogę wiedzieć, jaką pani ma teorię? Cóż takiego uczyniłem, rzekomo jedząc śniadanie z Valdesem? O co chodzi, plotkowaliśmy o wielkich tego świata czy może zamordowałem go, ponieważ znał moje supertajne sekrety?

- Wolalabym zachować swoją teorię dla siebie. Kiedy przejdziemy do zajęć praktycznych, to ją pan pozna.

Wyszliśmy niczym para zuchwalców, jakbyśmy zostawiali za sobą bombę zegarową, która w każdej chwili może wybuchnąć. A prawda była dokładnie odwrotna: Nogales od razu znalazł naszą piętę achillesową. Czy świadek zechce zeznać przed sędzią? A nawet jeżeli, to czy takie zeznanie będzie wystarczającym dowodem, by wydobyć na jaw sprawę ewentualnej sprzedaży informacji? Wszystko wisiało na włosku, a on wiedział o tym równie dobrze jak my. Raczej wątpliwe, byśmy zdołali go przyłapać za malwersacje finansowe, na pewno wszystko w dokumentach ma jak trzeba. Rozpacz! Jakbyśmy mieli na wyciągnięcie ręki wspaniałe ciasteczko, a nawet nie mogli go powąchać. Dysponowaliśmy tylko pozornymi dowodami. Żeby je uwiarygodnić, potrzebowaliśmy faktów, a te za nic nie chciały spaść nam z nieba.

- Niech wpadnie w pułapkę, którą zastawiliśmy na niego wokół kawiarni - powiedział Garzon.

- Jakoś nie bardzo w to wierzę - odrzekłam.

- Odczekajmy przynajmniej dobę, a potem dociśnijmy świadka, żeby zeznawał.

- Dobrze, ale ani minuty dłużej.

Poszliśmy na obiad do restauracji regionalnej. Posiłek miał szansę stłumić moje niepokoje. Z pewnością stłumił niepokoje podinspektora, który zaordynował sobie taką porcję flaczków, jakby to właśnie one były największym pragnieniem, płynącym z głębi jego duszy. W środku panował gwar, jak w każdym madryckim lokalu o tej porze. Hałas, krzyki, a nad tym wszystkim jeszcze nawoływania kelnerów. Powtarzali zamówienia klientów z takim zaangażowaniem, jakby wzywali do rewolucji i zagrzewali ducha tłumu żadnego sprawiedliwości i przekąsek. W tym rejwach ledwie usłyszałam dzwonek komórki, która jak opętana darła się we wnętrzu mojej torebki.

- Tak? - zapytałam, robiąc z dłoni rodzaj dźwiękoszczelnej muszli.

- Petra? Tu Moliner. Musisz mnie uważnie wysłuchać.

- Słuchać to cię słucham, Moliner, ale fatalnie cię słyszę. Możesz zadzwonić za pół godziny, jak skończymy obiad?

- Przykro mi, ale nie. Przespaceruj się do łazienki, wyjdź z tego hałasu.

Podniosłam się jak automat, uspokoiłam gestem Garzona i wyszłam na zewnątrz. Odczuwałam coś nieokreślonego, coś między trwogą a zaciekawieniem. O co chodzi, moja siostra, Coronas?

- Petra, znalazłem Martę Merchan, a raczej jej zwłoki.

Nie zdołałam mu odpowiedzieć. Całe jedzenie, jakie zdążyłam wchłonąć, teraz gwałtownie chciało zawrócić. Kilka razy odetchnęłam głęboko, tymczasem po drugiej stronie Moliner tracił cierpliwość.

- Petra! Słyszysz mnie czy nie?

- Słyszę, słyszę, Moliner. Jesteś pewien, że to ona?

- Petra, czyś ty się upiła? Jasne, że ona! Sam ją znalazłem. Wydzwaniałem do niej, nikt nie odbierał, w końcu postanowiłem odwiedzić ją bez uprzedzenia i... Petra, zaraz tu przyjeżdżaj, to dowiesz się reszty.

Poleciałam najbliższym wahadłowcem, Garzon został w Madrycie. Nie mogliśmy zostawić nakreślonej przez nas afery samopas. Jeżeli przewidywania podinspektora miały podstawę, Nogales mógł w każdej chwili zaatakować.

Wydawało się, że lot trwa wiecznie. Po głowie tłukły mi się hipotezy, jedna za drugą, jak w kalejdoskopie. Byłam bliska szaleństwa. Nie było dobrym pomysłem zignorować dane na temat finansów Marty Merchan. Ewidentnie była w coś zamieszana, ale w co? I jak? Usiłowałam, metodą jogi, oddzielić śledztwo od myśli, ale nadaremnie. Kiedy tylko z ekranu mentalnego znikwały próby wyjaśnienia tej historii, zaraz pojawiała się tam twarz Coronasa i słyszałam jego głos: „Kolejny trup, Petra, kolejny trup. Kiedy wreszcie rozwiążecie tę sprawę. Jak ostatni podejrzany wyzionie ducha?” Mówiąc coś w tym stylu, będzie miał rację. To przypominało epidemię dżumy albo przejście tornada. Jeżeli sprawy dalej się tak potoczą, winnego wskażemy przez eliminację. Będzie nim ostatni żywy, a ostatnim żywym był w tym momencie Nogales.

Wyjęłam z torebki ołówki i zaczęłam bazgrać na serwetce, którą stewardesa położyła przed chwilą obok szklaneczki soku. Nogales. Nogales. Nogales. Wpadłam w jakąś hipnotyczną obsesję. Nogales. Nogales. Nogales. I nagle zobaczyłam: No-ga-les. Les-ga-no. Zwykle przestawienie sylab. Tajemniczy Lesgano wreszcie się ujawnił. Jakich jeszcze dowodów nam trzeba? Bez wątpienia Nogales wynajął kolejnego mordercę, ale dlaczego zginęła Marta Merchan?

Zadzwoniłam do Molinera zaraz po przybyciu na lotnisko El Prat. Czekał na mnie w mieszkaniu Merchan, wzięłam więc taksówkę. Młyn, który policja tam rozkręciła, już się uspokajał. Wszystko było gotowe: zrobiono fotografie, zabezpieczono ślady, zdjęto próbki... Rutyna. Sędzia nakazał zabranie zwłok, niebawem miała się odbyć sekcja w Zakładzie Medycyny Sądowej. Coronas był już w drodze i Moliner snuł się właśnie jak zombi po miejscu zbrodni. Był znacznie bardziej zdenerwowany, niż się spodziewałam, i wkrótce dotarło do mnie dlaczego. To on ją znalazł. O większości trupów, z jakimi mamy do czynienia, dowiadujemy się od kogoś, kto wcześniej natrafił na zwłoki. Moliner jednakże absolutnie nie był przygotowany na to, co zastanie, a to zawsze powoduje poważny wstrząs.

- Drzwi kuchenne były otwarte. Zorientowałem się przez przypadek. Pukałem, stukałem... W końcu wszedłem. Leżała w salonie, rozciągnięta na podłodze. Wszędzie było pełno krwi. Rany widoczne na kilometr: w klatce piersiowej, na szyi... Nawet na twarzy miała krew.

- Co mówił lekarz sądowy?

- Sztylet. Była martwa przypuszczalnie od jedenastej rano, co najmniej trzy-cztery godziny.

- Niezbyt profesjonalna robota.

- Nie, raczej wygląda na amatorską zbrodnię w afekcie, z kupą krwi. Lekarz mówił, że prawdopodobnie doszło do szamotaniny. Po sekcji będziemy wiedzieli więcej.

- Bałagan?

- To, co widzisz tu i w gabinecie. W głębi jest biurko, wszystkie szuflady były otwarte. Czegoś szukali, poszli od razu tam, reszta domu jest nietknięta. Albo znaleźli to, co chcieli, albo zabójca nie chciał tracić więcej czasu i uciekł z pustymi rękami.

- Przesłuchałeś już sąsiadów?

- Kobieta z willi naprzeciwko widziała dziś rano jej córkę. Wyglądało, jakby szła normalnie na zajęcia. Służąca zawsze w ten dzień tygodnia ma wychodne.

- Ślady włamania na drzwiach?

- Nie.

- Czyli zabójca znał ją, jej dom i obyczaje domowe.

- Na to wygląda.

Przyjechał Coronas w grobowym nastroju. Moliner opowiedział mu to samo co mnie. Zastanawiałam się, za co tym razem oberwę ochrzan. Na szczęście przesyłałam mu pocztą elektroniczną codzienne raporty i najwidoczniej komisarz czytał je na bieżąco. Ochrzan nie nastąpił.

- Jaka nadzieja, że Nogales złoży zeznanie? - zapytał.

- Nie wiem, panie komisarzu.

- To się nazywa szczerłość. Czy możemy jakoś powiązać Nogalesa z tym morderstwem?

- Nie. Szef „La Glorii” mówił, że Valdes i Nogales byli tam raz w towarzystwie kobiety.

- Dobra, Petra, nie zajmuj się drobiazgami, wracaj do Madrytu. Zabierz zdjęcie denatki i pokaż temu pieprzonemu świadkowi w lokalu. Uświadom mu, że sprawa nabrała najwyższej wagi. Postraszyć, że go oskarżymy o współnictwo, jeśli nie zezna przed sędzią, że widział Nogalesa z Valdesem. Rób, co ci instynkt podpowie, ale chcę, żebyśmy przed przesłuchaniem Nogalesa mieli już coś na niego. Zaczynamy grę w otwarte karty, jasne?

- Ale ten facet po namyśle nie był pewien...

- Uważasz, że go rozpoznał, jak mu pokazałaś zdjęcia?

- Tak, ale po namyśle...

- Wiesz co? Ten cały jego namysł weź i powieś w kiblu! Może się kiedyś pomyli i zrobi z niego użytek zamiast z papieru toaletowego, jasne?

- Ale, panie komisarzu, jak pojedę do Madrytu, nie będę mogła przesłuchać służącej ani córki Marty Merchan.

- Zostaw to Molinerowi. Przecież się upieraliście, żeby połączyć wasze sprawy. No to jazda!

- Garzon już jest w Madrycie.

Popatrzył na mnie cierpliwie swymi ciemnymi oczami.

- Jeśli kiedyś wydam ci rozkaz, który wykonasz bez szemrania, będę naprawdę szczęśliwy. Nie chciałabyś uszczęśliwić szefa?

- Bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- No to... precz! Musimy działać błyskawicznie. Jeden z najczęstszych i najbardziej przerażających błędów policyjnych to mieć na oku zdobycz i pozwolić jej uciec. Powiadomimy cię o wynikach sekcji i o przesłuchaniu kuchty tudzież córki. I na razie postaramy się utrzymać tego trupa w tajemnicy.

Spojrzałam na Molinera, który stał równie bezradny jak ja. Coronas nie mógł się doczekać, kiedy zniknę.

- Moliner - rzekłam - rzuć okiem jeszcze na pozostałą część domu, dobra?

- Spokojna głowa - odparł cichutko.

Coronas znów się do mnie odwrócił.

- Petro Delicado, wiesz, ile lat Moliner jest inspektorem? Pozwalam sobie przypomnieć, że kiedy zaczynałaś pracę w policji, komisariat już całkiem nieźle funkcjonował bez twojej pomocy. Czy te uwagi naprawdę są konieczne?

- Nie miałam zamiaru...

- Won mi stąd!

Wyszłam z podkulonym ogonem i uczuciem podobnym do tego, które nas nęka, gdy pakujemy się w pośpiechu i mamy wrażenie, że o czymś zapomnieliśmy. Ale rozkaz to rozkaz, więc sprzeciw był nie do pomyślenia - jak w wojsku.

Wsiadłam znowu do wahadłowca, który stał się już dla mnie wahadłem uczuć. Zasnęłam w powietrzu, nie reagując na spacerujące stewardesy proponujących kawę. Nawet nie zdążyłam porozmawiać z siostrą, żeby miała szansę znowu posłać mnie do diabła. Nie, policjanci nie tylko nie mogą mieć małżonków, rodzin też nie. Powinniśmy stanowić odrębną rasę, która rozmnażałaby się przez zarodniki, wyrastała na dziko jak krzaki i wegetowała w zależności od zmian klimatycznych. W ten sposób przynajmniej mielibyśmy z głowy nieczyste sumienie i stresy.

Garzon był rozczarowany. Ptaszek nie wykonał żadnego ruchu, który sprowokowałby nas do użycia sił policyjnych. Żadnych podejrzanych telefonów, nie pojawił się nawet w kawiarni „La Gloria”, żeby próbować zastraszyć właściciela. Spotkał się tylko ze swoim adwokatem w jego kancelarii. Mój kolega był zdania, że znajdujemy się w impasie, ale musimy ufnie czekać. Opowiedziałam mu o swoim sylabicznym odkryciu: „No-ga-les, Les-ga-no”, które go zaintrygowało, ale nie bardzo wiedział, jak moglibyśmy je wykorzystać.

- Sam widzisz, Fermin, jak jest. Wieczorem, gdy facet zamknie lokal, pójdziemy mu złożyć przyjacielską wizytę. Trzeba go przycisnąć, byśmy mogli formalnie oskarżyć Nogalesa. Rozkaz komisarza.

- Zawsze to samo! Pojawia się nowy trup i wszyscy wpadają w histerię! Czyżby nie zdawali sobie sprawy, że martwi to ludzie, którzy właśnie przestali stwarzać problemy?

- Mówisz, jak gdyby zasztyletowanie Marty Merchan nie zmieniało sytuacji.

- A zmienia? W jaki sposób?

- Jestem zmuszona odpowiedzieć ci to samo, co usłyszał ode mnie Coronas: nie wiem. I tylko Bóg rozumie, jak mnie to wkurza. Nie ma nic gorszego niż poruszać się po omacku, iść naprzód z nadzieją, że któryś kolejny krok pozwoli wykonać następny.

- A pani wolałaby mieć hipotezę dopracowaną od początku do końca, w stylu Sherlocka Holmesa.

- Możesz sobie drwić, ale to prawda.

- Pracuje pani jako inspektor wystarczająco długo, by wiedzieć, że nigdy tak się nie układa. Tu się pełza jak robak pośród różnych faktów, a nie koloruje narysowany obrazek.

- I ty to mówisz? Przecież to dzięki twojej hipotezie dotarliśmy do Nogalesa! Musisz po prostu spróbować jeszcze raz.

- Ale co?

- Postawić kolejną hipotezę, tym razem na temat zabójstwa eks-żony Valdesa.

- Musiałbym trochę wysilić wyobraźnię.

- Droga wolna!

- No... najprostszym rozwiązaniem wydaje mi się coś takiego: Marta Merchan dowiedziała się, że Nogales załatwił Valdesa. Logiczne, że jej się to nie spodobało, więc zagroziła mu, że na niego doniesie. Wtedy ptaszek ją też kazał sprzątnąć, żeby nie paplała.

- Ta hipoteza przecieka ze wszystkich stron. Pierwsze i najważniejsze: w jaki sposób Merchan się o tym dowiedziała? Znała Nogalesa? Wiedziała o jego konszachtach z Valdesem?

- Czerpała z nich korzyści! Valdes dopisał ją do listy beneficjentów.

- Dlaczego? Zgoda, jadalі czasem wspólnie kolację, pozostawali w dobrych stosunkach po rozpadzie małżeństwa, ale czy to oznacza, że musieli się dzielić ogromnymi zyskami? Nie wierzę w aż tak dobry układ porozwodowy.

- A pani by się nie podzieliła dochodami ze swoimi byłymi?

- Możesz być pewien, że nie, zwłaszcza nielegalnymi dochodami.

- Nie przychodzi mi do głowy żadna lepsza hipoteza. Poza tym jest już późno, pani inspektor. Nie mamy chyba nic lepszego do roboty, to może przejedziemy się do „La Glorii”? Czemu nie mogliby zamknąć dziś wcześniej z jakiegoś nieprzewidzianego powodu?

- Nie mam nawet pojęcia, która jest godzina. Od tego latania między Barceloną a Madrytem straciłam poczucie czasu. Zaczynam rozumieć stresy biznesmenów, którzy spędzają dzień w waha-dłowcu.

- Widzi pani? Czyli są zawody gorsze niż policjant, tyle że tamtym oczywiście więcej płacą.

- A niech się wypchają tą forszą, nie zamieniłabym się.

- To mi się w pani najbardziej podoba, ma pani klasę, pani Petro. Podoba mi się pani mina na dźwięk słowa „pieniądze”, jakby nagle coś pani zaszkodziło albo jakby ktoś położył na stole śmierdzącego robala.

- Tak, odrobina ćwiczeń i można to w sobie wykształcić, nauczę cię.

Zamówiliśmy samochód z zaprzyjaźnionego komisariatu. Na miejscu zatrzymaliśmy się za rogiem, blisko „La Glorii”. Po dziesiątej lokal już świecił pustkami, wyraźnie nie miał charakteru

nocnej przystani.

O jedenastej wyszła stamtąd kobieta, najprawdopodobniej kucharka. W środku nie było już widać okolicznej ludności, ruszyliśmy więc lekkim krokiem w stronę świadka.

Nasz widok wywołał na twarzy faceta całą gamę emocji. Dostrzegłam zaskoczenie, strach, pragnienie, by rozpląnąć się w powietrzu.

- Witam, ale mnie państwo wystraszyli, już miałem zamykać.

Nic nie odrzekliśmy. Z obrzydzeniem rzuciłam na kontuar zdjęcia zwłok Marty Merchan.

- Adolfo, proszę się przyjrzeć.

Właściciel kawiarni był przejrzysty jak szkło. Znów jego rysy ujawniły pełen zestaw uczuć: panikę, przerażenie, litość.

- Mój Boże! - stęknął.

Garzon uruchomił w sobie program „buldożer”. Walnął z całej siły pięścią w drewniany blat, aż zadrżały dwie jeszcze niezebrane szklanki.

- Żadne Boże, żadne Najświętsza Panienko! Odpowiadaj, kurwa, wprost, jak cię pytam! To tę kobietę widziałeś tu z Valdesem i drugim facetem na śniadaniu?

Właściciel skulił się w sobie, jakby się bał, że następny cios spadnie już nie na ladę, tylko na niego. Podinspektor szarżował dalej swoim silnym, głuchym głosem, który znałam jak zły szeląg.

- Mówżeż, kurwa mać! Ta kobieta została zadżgana, bo nie przyszło ci do jebanego łba rozpoznać tamtego gościa na zdjęciu! Co jest grane, ktoś cię postraszył, obiecano ci kasę?! To też przestępstwo, gdybyś nie wiedział!

Tamten zaczął bełkotać:

- Nie, nikt mi nic nie mówił, nikt mi niczego nie proponował, ja tylko mówiłem, że nie mam pewności...

- Sram na twoją pewność! Najpierw przyjeżdżamy i recytujesz nam z pamięci, jak tamten wyglądał. A potem nagle zaczynasz się wahać. Słuchaj, albo powiesz prawdę, albo tak cię urządzimy, że będziesz musiał sprzedać ten lokal, żeby się wypłacić adwokatom.

Znajdowaliśmy się na granicy legalności albo nawet ją przekroczyliśmy. Z Nogalem w życiu byśmy tak nie rozmawiali. Po prostu wykorzystywaliśmy niewiedzę tego naiwniaka. Ot, życie.

Adolfo był tak przerażony, że z trudem zbierał myśli.

- Ja niczego nigdy nie zrobiłem, nie ładowałem się w lewe interesy, przysięgam. Ja tylko pracuję, mam rodzinę, nawet płacę za parkowanie. Jak trzeba współpracować z policją, to będę współpracował, okay? Chyba zaszła pomyłka co do mojej osoby, jakieś nieporozumienie.

- Zeznasz przed sędzią śledczym, że rozpoznajesz tego człowieka?

- Tak, oczywiście, jeżeli tak powinno być. Przecież nigdy nie mówiłem, że nie chcę zeznawać. Załatwione i spokój.

- A co możesz powiedzieć o tej kobiecie?

- Tak, chyba była tu z nimi.

- Chyba?

- To ona, tak. Żona tamtego człowieka.

- Jesteś pewien, że nie przyszła z Valdesem?

- Nie, nie, przyszła z tym drugim. Jestem więcej niż pewny.

- No, może się jakoś wywiniesz, ale nie bądź za bardzo pewien. Ja bym na twoim miejscu zeznawał przed sędzią, dla własnego dobra.

- Zeznam, zeznam. Zawsze chciałem zeznawać.

Jeżeli to nie było policyjne zastraszanie świadka, to niech Bóg zstąpi na ziemię i sam potwierdzi. Kiedy wychodziłam z kawiarni, poczułam, że mi niedobrze.

- Jak temu koleśowi przyjdzie do głowy opowiedzieć, co tu zaszło, to nasze głowy polecą, Fermin.

- Nic nie powie, robi w portki. Poza tym czy on odróżnia sędziego śledczego od policji? Słyszała pani o opłatach za parkowanie. Dla niego to wszystko jeden wielki wydział ścigania.

- Ale głupio się czuję.

- To niech się pani nie czuje. W końcu i tak najczarniejsza robota przypada mnie.

- Wcale nie czuję się przez to mniej winna.

- Co mi tu pani mówi o winie? Pani inspektor, tyle jest winy, ile da się udowodnić. Przecież sami się z tym borykamy, nie?

Policyjna logika. Sama ją powinnam zastosować.

Garzon załatwił, żeby nadzór nad lokalem zamieniono na ochronę świadka. Tylko tego brakowało, żeby w obecnej sytuacji stał się kolejnym punktem na liście sztywnych!

Zadzwoniliśmy do Coronasa i powiadomiliśmy go o wynikach naszej brudnej roboty. Przyjął je z wielkim zadowoleniem.

- Panie komisarzu, świadek zezna przed sędzią.

- Świetnie, Petra, świetnie. Co teraz?

- Jutro z rana przesłuchamy Nogalesa, tym razem zastosujemy inną taktykę.

- Zadzwoń przedtem, bo na ósmą mam obiecane rezultaty sekcji. A nuż się przydadzą.

No, wreszcie daliśmy krok naprzód w świecie rzeczywistym, a rzeczywistość podsuwała nam kolejne dane, suche i niewytłumaczalne. Marta Merchan знаła Nogalesa. To wszystko. Chamskie metody przyniosły nam zaledwie taki oto odosobniony fakt. Żeby dostrzec zależności między nim a resztą, należało podejść do wszystkiego w sposób bardziej złożony i systematyczny.

Poszłam spać pełna niepokoju i podniecenia. Byłam pewna, że w środku nocy zbudzi mnie telefon, ale się myliłam. Spałam równie głęboko jak zapomniane buty w szafie. Po przebudzeniu miałam wrażenie, że spóźniłam się na własny pogrzeb, ale nie było potrzeby takiego alarmu. Wszystko przebiegało absolutnie zwyczajnie. Była siódma, nikt nie interesował się moim losem, mogłabym równie dobrze umrzeć.

Garzon rozwiął mój grobowy nastrój spokojną celebracją śniadania. Maczał precelki w kawie z takim samym namaszczeniem, z jakim pobożniś przystępuje do porannej modlitwy.

- Dobrze spałeś? - spytałam.

- Jak kłoda - wyznał. - Niewiele rzeczy przyprawia umię o bezsenność. Zawsze śpię jak niemowlę. A pani?

- Przespałam noc ciurkiem.

- Nie wierzę, mina u pani nietęga, pewnie rozmyślała pani po nocy nad sprawą. Pani jest taka niepraktyczna! Proszę chociaż śniadanie zjeść porządnie, te precelki są zabójcze. Może wytyłać je pani jeszcze w cukrze?

Uśmiechnęłam się.

- Chcesz się mną zaopiekować?

- Ludzie samotni mają obowiązek troszczyć się o siebie nawzajem. Mam myśl, pani Petro. Pani powinna jeszcze raz wyjść za mąż.

Mój szczerzy śmiech przeraził nieliczne ranne ptaszki przy sąsiednich stołach.

- A może mi powiesz, za kogo?

- A, to już pani powinna sama wiedzieć!

- Zaczekam, aż ty się pierwszy ożenisz.

- No to przepadło.

- Bo co, doradzasz małżeństwo tylko innym?

- Jestem za stary na nowe komplikacje.

Znowu znaleźliśmy się w sferze wynurzeń prywatnych, co wcale mi się nie podobało. Na blacie leżał mój telefon. Popatrzyłam na niego.

- Założysz się - odezwał się do Garzona - że moja komórka zadzwoni w ciągu paru chwil? Komisarz zapowiadał, że będzie telefonował punkt ósma.

- On też się powinien ożenić!

- Przecież od lat jest żonaty! Mają czwórkę dzieci. Niemożliwe, żebyś nie wiedział.

- Mężczyźni nie zwierzają się sobie nawzajem.

- Za to kobietom pasjami.

Zacukał się, zaskoczony.

- Może.

Za minutę ósma komórka się odezwała. Coronas, energiczny od świtu, zaczął nadawać:

- Petra, oto szybka relacja z wyników sekcji włók Marty Merchan. Siedem pchnięć nożem, zadanych na chybił trafił. Tylko jedno śmiertelne. Zawodowiec wykluczony. Do napadu doszło o ósmej wieczorem. Lekarz twierdzi, że ciosy zadano z niewielką siłą. Wszystkie dosięgły ofiary w rejonie klatki piersiowej. Podejrzewa więc, że zabójcą był mężczyzna skromnej postury i niewielkiego wzrostu lub też kobieta. Ofiara stawiała pewien opór, są ślady szamotaniny, ale ewidentnie została zaskoczona, dlatego jej reakcja nie była zbyt zdecydowana. Znalaziono jeden włos, który

chyba nie należy do Marty Merchan, ale to może być włos córki, służącej, kogokolwiek. Poszedł już do analizy. Co do sąsiadów, nikt nie widział żadnego obcego samochodu ani niczego szczególnego. Nic dziwnego, bo domy otaczają tam spore ogrody. Na razie nie mam nic więcej. Zanotowałam sobie wszystko?

- Tak. Co z córką i kuchcią?

- Moliner bierze się do nich od rana. Wczoraj Raquel Valdes po powrocie z uczelni dostała ataku nerwowego, widząc, co się stało. Noc spędziła na środkach uspokajających i pod obserwacją lekarską. Kiedy spotykacie się z Nogalesem?

- Jak wybije dziewiąta, panie komisarzu.

- Idźcie na całość.

- Oczywiście, panie komisarzu.

Zdałam podinspektorowi sprawę z treści rozmowy, po czym ruszyliśmy w kierunku redakcji „El Universalu”. Pod budynkiem powiedziałam do Garzona:

- Na razie chcę przemilczeć fakt śmierci Marty Merchan. Może dobrze będzie wystrzelić z tym w niespodziewanym momencie.

- Jak pani chce, pani inspektor. Ja tam nie mam klucza do tego gościa.

- Musimy zaufać intuicji.

- Obawiam się, że zjadła pani za mało precelków, by intuicja dobrze zadziałała.

- W takim razie bądź czujny. Jak stwierdzę, że nie mam natchnienia, przejmiesz obowiązki.

Skoro wszystko zależy od liczby pożartych precelków, to będziesz tu błyszczał.

„Pan redaktor jeszcze nie przyjechał” - poinformowała nas sekretarka. „W takim razie zaczekamy” - odrzekłam. I tak zrobiliśmy. Przez ponad godzinę obserwowaliśmy poranne wędrówki dziennikarzy, widzieliśmy, jak w kółko odbierają telefony, jak kolejni pracownicy przychodzą ze swoimi kartami magnetycznymi, gdy tymczasem nieproszonym gościom utrudniano wejście. W chwili gdy mieliśmy największą zabawę, zjawił się Nogales. Momentalnie nas spostrzegł i skierował się w naszą stronę. Wstaliśmy, lecz nie daliśmy mu nawet dojść do słowa.

- Panie redaktorze, właśnie na pana czekamy. Musi pan jechać z nami do komisariatu w celu przesłuchania.

- Jestem zatrzymany?

- Nie, ale dysponujemy obciążającym pana zeznaniem i chcemy pewne rzeczy wyjaśnić.

- Dobrze, proszę mi powiedzieć, który to komisariat, zawiadomię mojego adwokata, żeby był obecny.

Przed wejściem do redakcji znajdował się postój taksówek. Widząc, że kierujemy się w tę stronę, Nogales powiedział szybko:

- Jeżeli nie mają państwo nic przeciwko temu, wolę pojechać własnym.

Chwila niezdecydowania: nie, chyba nie będzie próbował ucieczki, zresztą telefon miał na podsłuchu. Skinęłam głową.

W komisariacie pokój był już przygotowany do przesłuchania. Nogales dojechał pięć minut po nas, na adwokata trzeba było poczekać pół godziny. Bez niego nie chcieliśmy zaczynać.

- Panie Nogales, za tą szybą znajduje się właściciel kawiarni „La Gloria”. Jest przekonany, że to pana widywał wielokrotnie u siebie, jedzącego śniadanie i rozmawiającego z Ernestem Valdesem. Dziś to potwierdzi i podpisze stosowne zeznanie.

Natychmiast wtrącił się adwokat.

- Nie przyjmujemy tego faktu, dopóki nie zobaczymy podpisanego zeznania tej treści.

- Bardzo dobrze - odparłam. Wstałam i wyszłam. W pokoju obok siedział świadek w towarzystwie kilku policjantów. Przywitałam go i z miejsca spytałam: - Czy to tego mężczyznę pan widział?

Zdenerwowany Adolfo, z twarzą pokrytą kropelkami potu, kiwnął głową.

- Proszę powiedzieć, tak czy nie.

- Tak, oczywiście, że tak. Jestem absolutnie pewny.

Odetchnęłam z ogromną ulgą.

- Dobrze, proszę tu podpisać i wypełnić dane na podstawie dowodu osobistego. Niewykluczony, że sędzia śledczy zechce wezwać pana na konfrontację.

Podpisał przygotowane zeznanie drżącą ręką.

Wzięłam kopię i wróciłam do pokoju przesłuchań. Podsunęłam Nogalesowi deklarację, ale

sięgnął po nią adwokat, rzucił okiem i zażądał:

- Chcę zobaczyć oryginał.

Bez słowa i nie okazując najmniejszego zniecierpliwienia, zabrałam dokument i znów wyszłam. Po minucie wróciłam z oryginałem.

- Proszę bardzo.

Garzon przestępował z nogi na nogę, co świadczyło o lekkim podenerwowaniu. Wzrokiem zmusiłam go, żeby usiadł. Pojął w lot.

- No, sam pan widzi, jak się sprawy przedstawiają. Ma pan coś do powiedzenia na temat tego zeznania?

Znowu odezwał się adwokat.

- Mój klient odpowie tylko wtedy, kiedy zostanie mu postawiony oficjalny zarzut z konkretnym przedmiotem oskarżenia. Chwilowo z całą mocą stwierdza jedynie, że nigdy nie był we wspomnianej kawiarni „La Gloria”, tym bardziej nie spotykał się tam ze zmarłym panem Valdesem, którego zresztą nie zna.

Nie tracąc ani na moment spokoju, odrzekłam:

- Zgoda. Pozwolę sobie także napomknąć, dla panów wiedzy i dla celów dalszego postępowania, że ten sam świadek widział raz panią Martę Merchan, była żoną Ernesta Valdesa, w towarzystwie jego samego oraz pana Nogalesa. Co więcej, zeznaje, że wspomniana pani przyszła do jego lokalu razem z panem Nogalesem, nie zaś z byłym małżonkiem.

Na twarzy adwokata przez chwilę zamajaczyła konsternacja, lecz zareagował jak prawdziwa maszyna prawnicza.

- Świadek informuje o takich szczegółach, chociaż widział tę panią zaledwie raz? W takim razie mamy do czynienia z prawdziwym mistrzem spostrzegawczości! Czy ktoś jeszcze ich widział?

Wzruszyłam ramionami.

- Mogę poinformować panów jedynie o niezbitych dowodach, którymi dysponujemy - odparłam obojętnym tonem.

Prawnikowi nagle zaczęło się śpieszyć. Twarz Nogalesa przez cały ten czas nawet nie drgnęła.

- W porządku, proszę państwa, jeżeli to wszystko, czego oczekują państwo od mojego klienta, może sobie pójdziemy. Będziemy czekać na stosowne wezwanie. Miłego dnia.

Obydwaj wstali i ruszyli ku drzwiom. Adwokat szedł za Nogalesem, jakby w obawie, że wbijemy jego klientowi nóż w plecy. Dokładnie to zamierzałam uczynić. Kiedy byli tuż przy wyjściu, powiedziałam czystym, spokojnym głosem:

- Panie Nogales, może zainteresuje pana najnowsza wiadomość. Możliwe też, że pańskiego adwokata zaciekawia rozmiar spraw, w które wedle naszych przypuszczeń jest pan zamieszany.

Zatrzymali się, ale żaden się nie odwrócił. Stali do mnie plecami.

Bardziej poufałym tonem dodałam:

- Marta Merchan została znaleziona wczoraj w swoim domu w Barcelonie. Martwa. Ktoś ją zamordował, nie wiemy jeszcze kto.

Zapadła solenna cisza. Zobaczyłam, że Nogales podnosi dłoń do twarzy. Kiedy się do mnie odwrócił, okulary miał przekrzywione, co zupełnie burzyło harmonię i surowość rysów jego twarzy. Popatrzył na mnie z dzikim wyrazem w oczach. Usta mu się ściągnęły, a wargi zaczęły drżeć. Adwokat, nic nie rozumiejąc, wpadł w lekką panikę. Wziął swego klienta pod ramię i jął go jawnie wypychać w kierunku wyjścia.

- Chodźmy, Andres, chodźmy. To cię do niczego nie zobowiązuje. Oficjalnie dowiesz się wszystkiego, co ci mają do zakomunikowania.

Wywierał na niego autentyczny nacisk. Nogales był wyraźnie wstrząśnięty, ale dał się wyprowadzić. Kiedy wyszli, zwróciłam się do Garzona.

- Widziałeś?

- Tak, pierwszy raz tego fiuta coś zdołało wytrącić z równowagi, ale dobrze to maskował.

- Wcale nie maskował, adwokat wypchnął go siłą, on sam stał jak ciełe.

- Nie ma wątpliwości, że ją znał, nawet bardzo dobrze. W jakiś sposób Marta Merchan musi być kluczem do całej historii.

Moja komórka się odezwała. Odebrałam z bijącym sercem. Moliner.

- Petra? Ktoś dzwonił parę minut temu na telefon Marty Merchan. Udało się namierzyć numer, należy do Nogalesa.

- Kto miał jej telefon?

- Ja, w teczce.

- Powiedziałaś coś?

- Nie odebrałem.

- Dobra. Zastanawiam się, czy powinnam go już zatrzymać.

- I to natychmiast. Mam lepszą rzecz. Raquel Valdes powiedziała, że jej matka i Nogales byli ze sobą od ponad dwóch lat.

- Stanowili parę?

- Co jeszcze mówiła?

- Nie naciskaj mnie na razie, bo ciągle prowadzę przesłuchanie. Dziewczyna jest strasznie zdeenerwowana. Nie mogę jej poganiać. Jak skończę, zadzwonię.

Niczego z tej rozmowy nie musiałam powtarzać podinspektorowi, bo chwycił wszystko na bieżąco.

- Myśli pani, że wrócił do redakcji?

- Nie wiem, Fermin, ale zasuwasz do dyżurnego sędziego i poproś o nakaz aresztowania. Przekaż mu, że nadzór nad sprawą ma jedenasty oddział prokuratury w Barcelonie.

- A pani?

- Zaczekam na drania w redakcji.

- A jak się nie pojawi?

- Pojawi się. Adwokat mu pewnie doradził, żeby zachował pozory niewinności.

- Pewnie też mu doradził, żeby nie dzwonił do Marty Merchan, ale nie posłuchał.

- Fakt. Chyba znaleźliśmy jego słaby punkt.

Wybiegł, a ja za nim, tyle że w innym kierunku. Nie musiałam się jednak śpieszyć, bo Nogales siedział u siebie w gabinecie. Tym razem, kiedy sekretarka powiadomiła go o moim przybyciu, nie kazał mi czekać nawet minuty, tylko wpuścił mnie natychmiast. Nie był sam, adwokat przyjechał razem z nim i teraz z miejsca przystąpił do ataku.

- Pani inspektor, nie dalej niż dwadzieścia minut temu oświadczyłem pani...

Przerwałam mu z dziką rozkoszą:

- Panie mecenasie, mój pomocnik, podinspektor Garzon, zwrócił się do sędziego o nakaz aresztowania pańskiego klienta.

- Pod jakim zarzutem?

- Raquel Valdes zeznała właśnie w Barcelonie, że jej matka, Marta Merchan, od dwóch lat była kochanką pańskiego klienta.

- A o co mój klient jest oskarżony?

- O morderstwo.

- Czyje?

- Też Marty Merchan.

- Pani inspektor, to jakiś absurd. Mój klient nie opuszczał Madrytu.

- Sądząc po sposobie, w jaki zamordowano Martę Merchan, mamy pewność, że dokonał tego wynajęty zawodowiec. Ten sam człowiek zamordował swego czasu, również na zlecenie, Ernesta Valdesa, a potem także Higinia Fuentesę, zwykłego przestępcę i konfidenta policji w Barcelonie. Zabił też żonę konfidenta.

Wyraz przerażenia na twarzy adwokata świadczył, że facet nie zdawał sobie raczej sprawy z rozmiarów afery, w jaką wpłatał się jego klient. Mimo to nawet nie mrugnął. Tylko pewności miał z każdą chwilą coraz mniej.

- Pani inspektor, to wszystko trzeba będzie udowodnić. Niedopuszczalne jest wchodzenie tu i...

Niespodziewanie Nogales, dotąd sztywno siedzący za swoim biurkiem, zabrał głos.

- Agustín, zostaw mnie sam na sam z panią inspektor.

Tamten, słysząc takie zdanie, wpadł w panikę. Odwrócił się do swego klienta.

- Andres, proszę cię, to nie jest wskazane. W ogóle nie jesteś zobowiązany...

Nogales przerwał mu z hamowaną złością.

- Agustín, wyjdź stąd.

- To szaleństwo, jestem twoim adwokatem i uważam...

Nogales wstał tak gwałtownie, że aż fotel obrotowy odjechał i grzmotnął o ścianę.

- Won!

Dziki ton tej komendy przyprawił mnie o dreszcz.

Nie wiem, jaką minę miał uparty prawnik, bo wpatrywałam się cały czas w Nogalesa. Usłyszałam tylko, że zamknął za sobą drzwi. Zostaliśmy sami. Zagrałam mocną kartę i oto rezultat. Gra była nadal niebezpieczna, nie mogłam zrobić żadnego fałszywego kroku.

Zdjął okulary, odłożył je na blat. Pomasażował sobie powieki, po czym spojrzał na mnie. Bez tych szkielek sprawiał wrażenie zupełnie innej osoby. Jego wygląd zmienił się diametralnie, teraz pan redaktor siedział przede mną jak obnażony. Natychmiast zrozumiałam, że wcale nie jest przygnębiony i wcale mi się tu nie rozklei podczas przesłuchania. Nadal przypominał niewzruszoną skałę. Trzeba było znów wejść na krętą ścieżkę, którą podążałam dotychczas. Włożył z powrotem okulary, chwila słabości minęła. Jakby to on był panem sytuacji, sam przystąpił do pytań.

- Skąd mam mieć pewność, że Marta Merchan naprawdę nie żyje?

- Czy na serio podejrzewa pan, że policja zastawia tak wymyślne pułapki jak w filmach?

- Proszę mi odpowiedzieć.

Wyjęłam z torebki telefon.

- Niech pan wybierze numer komórki Marty Merchan. Ten aparat należy do sieci telefonów policyjnych. Kiedy ktoś odbierze, proszę mi go oddać.

Zrobił, jak powiedziałam. Usłyszałam głos Molinera.

- Petra, to ty? W tej chwili nie mogę...

- Moliner, zaraz podam komuś słuchawkę i chcę, żebyś podał tej osobie swój numer, stopień i przynależność do komisariatu.

- Ale, Petra...

- Zrób to, proszę cię.

Przytknęłam komórkę do ucha Nogalesa i obserwowałam bacznie jego reakcję. Oczy lekko mu się zwięzły. Skinął głową.

- Dzięki, Moliner, potem zadzwonię.

Teraz ze spokojem zwróciłam się do podejrzanego.

- Jak pan chce, możemy zadzwonić też do niej do domu. Ktoś odbierze, postawiliśmy tam swojego człowieka.

Odmówił. Otrzymał cios prosto w twarz, ale szybko pozbierał się w sobie, choć głos nieco mu się zmienił.

- Jak ją zabili?

- Strzałem w czoło, dziewiątką półautomatem. Potem poderżnęli jej gardło.

Teraz aż się zachwiał. Zapadła śmiertelna cisza, którą przerwał niemal szeptem.

- Dlaczego?

Błyskawicznie zdałam sobie sprawę, że zadał to pytanie samemu sobie. Zaczął się gwałtownie pocić, wszystkimi porami twarzy jednocześnie.

- Panie Nogales, niech pan powie, kto to był, jeszcze możemy go złapać, niech pan powie. - Ja też byłam spocona, a serce waliło mi tak, że niemal traciłam oddech. - Andres, kto ją w tak potworny sposób zamordował? Musi mi pan to powiedzieć. To ten sam zawodowiec, którego pan wynajął? Bo to pan jest Lesgano, prawda? Gdzie możemy znaleźć tego mordercę? Słucham pana, czas nagli, nie wolno pozwolić mu uciec.

Otworzył usta, a ja natychmiast podsunęłam mu kartkę.

- Niech pan pisze: nazwisko, adres...

- Znam tylko jego ksywę i numer telefonu kontaktowego.

- Niech pan pisze, szybko!

Znał na pamięć. Zapisał. Chwyciłam kartkę. W tym momencie musiałam zakończyć rozmowę. Tak nakazywały względy strategii. Wstałam i niemal wybiegłam z pokoju. Nawet za siebie nie spojrzałam.

Stojąc u wejścia do redakcji, wezwałam pilnie radiowóz i czekałam. Pięć minut później dojechał Garzon z nakazem aresztowania. Na funkcjonariuszy trzeba było poczekać jeszcze parę chwil. Przekazałam im nakaz.

- Aresztujcie Andresa Nogalesa. Nie róbcie skandalu, nie będzie stawiał oporu, poza tym jest tu naczelnym. Zawieźcie go na Tetuan, już się go tam spodziewają.

Z ogromną ochotą zatrzymałabym się teraz w jakimś barze i jednym haustem wypić piwo.

Ale jeszcze nie nadszedł moment odpoczynku, wyścig dopiero się rozpoczął.

Spojrzałam na Garzona nieprzytomnym wzrokiem.

- Lubisz działanie i ryzyko?

- To pierwsze bardziej.

- No to będziesz miał okazję zakosztować.

- Powie mi pani, jakim cudem, do cholery, nakłoniła go pani, żeby się przyznał?

- Uderzyłam w nutę osobistą. Powiedziałam, że morderstwo na Marcie Merchan zostało popełnione w taki sam sposób i tą samą bronią, co na Valdesie. Nie namyślał się długo.

- O w dupę! No to go pani chytrze podeszła! Przyznał się?

- Dał mi namiary na mordercę, którego sam wynajął. Chcesz mocniejszego dowodu?

- Płaszczyl się?

- Nie, zachował spokój, ale ma świadomość, że obręcz za mocno już się wokół niego zacisnęła. Przegrał.

- I stracił kochankę.

- Chciałby wiedzieć, dlaczego ten ktoś ją zabił, i zależy mu, żebyśmy go dopadli.

- Jak się nazywa morderca?

- Toribio, taką ma ksywę. Mamy jego telefon. Co robimy?

- Sprawdźmy, do kogo należy numer, i jedźmy. Lepiej chyba nie dzwonić.

Zamówiliśmy dane w komisariacie przy Tetuan, a Garzon zasugerował, żebyśmy tymczasem poszli do jakiegoś baru. Po chwili wahania zaakceptowałam ten pomysł. Wypiłam piwo pochłonięta myślami o tym, co się stało, i o tym, co się stanie w najbliższej przyszłości. Nagle Garzon zamachał mi gwałtownie przed oczami.

- Pobudka, pani inspektor! Niech się pani zrelaksuje, bo pani mózg zaraz wybuchnie!

- Nie mogę przestać myśleć. Wszystko trzyma się jak ma szpileczkach i może zaraz się rozlecieć.

- Mamy winnego.

- Jednego. A czy on jeden zabił tylu ludzi?

- Marty Merchan raczej nie.

- Nawet na pewno. Zadzwoń do Molinera, może dziewczyna coś jeszcze zeznała.

- Lepiej nie, pani inspektor, wszystko po kolei. Znowu pani im przerwie i coś się przez to psuje.

- Rozumna rada. Jak zwykle.

- Bo jestem człowiekiem spokojnym i rozumnym.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. To prawda, był spokojny, jego spokój świetnie równoważył moją ekscytację. Szczęka już mnie bolała od zaciskania zębów.

Pół godziny później mieliśmy komplet danych. Numer należał do kobiety, niejakiej Concepción Argentera. Podszuch założono natychmiast. Adres nic nam nie mówił. Wezwaliśmy samochód i dwóch policjantów w cywilu. Oni pojechali przodem, my za nimi.

W tej dzielnicy na oko mieszkała klasa średnia. Atmosfera bezosobowa, dokładnie taka jak blok, przed którym się zatrzymaliśmy. Trzy razy okrążyliśmy kwartał, nim znaleźliśmy miejsce do zaparkowania. Samochód ze wsparciem stanął na jezdni dyskretnie „na drugiego”, jakieś dziesięć metrów od wejścia.

Zrezygnowaliśmy z windy i poszliśmy po schodach. Piąte piętro. Słyszałam, jak podinspektor sapie, pierś falowała mu gwałtownie. Zatrzymaliśmy się na półpiętrze.

- Co robimy?

- Przejmę inicjatywę, jeśli pani pozwoli.

Zgodziłam się.

- Pani inspektor, mam to zrobić sam?

- Oczywiście, że nie.

Nacisnął dzwonek. Żołądek mi się przewracał, jakbym połknęła węża. Wewnątrz odezwał się kobiecy głos.

- Kto tam?

- Chcemy rozmawiać z Toribiem - powiedział Garzon.

Zapadła kompletna cisza. Drzwi nadal były zamknięte.

- Proszę otworzyć!

- Tu nie mieszka żaden Toribio.

- Policja, otwierać natychmiast!

Usłyszeliśmy szcęk zamka, po chwili w szparze ukazała się dziewczyna o twarzy dziecka. Miała na sobie spódnicę i koszulkę w kwiaty, a we włosach wstążkę. Od razu zauważyliśmy, że się boi.

- Chyba się państwo pomylili - odezwała się niemal szeptem.

Garzon zbytecznie uderzył w drzwi, otwierając je na oścież. Dziewczyna cofnęła się zatrwożona. Weszliśmy, podinspektor zamknął za nami. Złapał ją za ramię i popchnął w głąb mieszkania. Zatrzymaliśmy się wreszcie w saloniku, w którym pełno było papierosowego dymu, stał też włączony telewizor. Garzon rzucił swoją ofiarę na sofę, z bezwzględnością, która aż mnie zaszokowała.

- No, mała, a teraz pogadamy.

- Ja nie mam nic do powiedzenia.

Widząc ją w pełnym świetle, stwierdziłam, że oczy ma mocno umalowane, a usta uszminowane na krwisty kolor, co ostro kontrastowało z jej dziecinną buzią. Pomimo strachu przyglądała mi się z zaciekawieniem.

- Gdzie on jest?! - ryknął podinspektor.

- Mieszkam sama.

Garzon zaczął się rozglądać z furią. Nagle wyszedł z pokoju, słychać było, jak myszkuje po mieszkaniu. Dziewczyna nawet nie zaprotestowała, siedziała jak w imadle. Wzrok wbiła w wypełnioną petami popielniczkę. Ja też się nie ruszałam, zafascynowana widokiem tej kobiety, zarazem kruchej i zdeprawowanej. Wysokie obcasy, czarny stanik wystający z dekoltu... Wyglądała jak dziewczynka w teatralnym przebraniu prostytutki.

Podinspektor wrócił z naręczem ubrań. Rzucił je w twarz dziewczynie i krzyknął:

- A to czyje?! Psa?!

W bezkształtnej masie ciuchów, jaka opadła na sofę, mogłam rozróżnić męskie koszule i spodnie. Na koniec Garzon zachował parę wielkich buciorów, które dopiero teraz cisnął dziewczynie pod nogi. Zachowywał się bardzo pompatycznie, jakby ćwiczył ten balet już wielokrotnie.

- Gadaj, skąd to, kurwa, masz!

Przeżrana dziewczyna tylko kręciła głową.

- Wspaniale. Zaczekamy.

Naprawdę chcieliśmy tkwić w tym mieszkaniu? Ogarnęła mnie ogromna ochota, żeby się ulotnić, czułam się uwięziona i skępowana. Podinspektor postanowił jednak spełnić swoją groźbę. Patrzyłam na niego, jakbym oczekiwała wskazówek, on tymczasem ze spokojem usadowił się naprzeciwko naszej zakładniczki, wyciągnął papierosa i zapalił. Poszukałam wzrokiem jakiegoś wygodnego miejsca, gdzie mogłabym spędzić czas oczekiwania, nie tracąc resztek spokoju ducha. Wreszcie postawiłam krzesło koło okna i zajęłam się obserwacją ulicy. Mieszkańcy dzielnicy mieli masę zajęć. Autobusy stawały na przystankach i zabierały pasażerów. Jakiś chłopak wyprowadzał na spacer trzy psy drobnej rasy. Słychać było nawoływania dzieci z boiska pobliskiej szkoły. Zazdrościłam zwykłym obywatelom, że tak sobie idą do pracy albo wracają, robią zakupy, spotykają się w barze. Nie miałam prawa narzekać, wstąpiłam do policji dokładnie po to, żeby oszczędzić sobie tej codziennej rutyny. Ten wybór doprowadził mnie w końcu do przygnębiającego domu, do mieszkania spanikowanej dziewczyny. Przeżywałam kryzys tożsamości: kim jestem, co tu robię? Kim jest ten potężny facet, dręczący dziewczynę, która mogłaby być jego dzieckiem? Musiałam chyba bardzo chcieć uciec od horroru, bo oparłam ramiona na parapecie i przysnęłam. Chwilę później zbudził mnie głos dziewczyny. Co powiedziała? Zobaczyłam, jak Garzon ją rewiduje, wychodzi z nią i po pewnym czasie wraca.

- Chciała do łazienki - wyjaśnił.

- Ile czasu tu zostajemy?

- Aż koleżka się pojawi.

- A jak się nie pojawi?

- Przyjdzie. Inaczej coś by nam powiedziała, nie wytrzymałaby tu z nami nie wiadomo ile.

Poza tym szykowała się do wyjścia.

- Nie wiem tylko, czy ja wytrzymam.

- To niech pani idzie, dam sobie radę.

- Zostanę.

- To proszę jej teraz popilnować. Rozejrzę się po mieszkaniu. Pewnie nic nie znajdę, ale...

Dziewczyna była z powrotem, słaba i wymięta. Usiadła i podniosła na mnie oczy. Podałam jej papierosa i ogień. Nie byłam w stanie z nią rozmawiać. W tym momencie na niewielkim stoliku zadźwięczał telefon. Garzon przybiegł z sąsiedniego pokoju.

- Nie odbieraj! - krzyczał.

Dziewczyna nawet nie drgnęła. Przygryzła wargę.

- Nie odbieraj! - wrzeszczał Garzon.

Zaczęła cichutko płakać. Łzy spływały jej po twarzy, kapiąc z oczu i z nosa.

- Mogę pójść po chusteczkę? - spytała.

Garzon zakazał jej gestem. Telefon zamilkł. Dwie minuty później rozdzwonił się na nowo. Po-tem scena powtórzyła się jeszcze raz, po czym telefon ostatecznie przestał dzwonić. Pomyślałam, że nie odbierając, posyłamy mordercy sygnał ostrzegawczy, ale ufałam, że Garzon wie, co robi. Dziewczyna ocierała teraz twarz rąbkami spódnicy. Podałam jej chusteczkę jednorazową, którą znalazłam w torebce.

I czekaliśmy, czekaliśmy, czekaliśmy. Garzon wziął pilota i zaczął przerzucać kanały w tele-wizji. Trafił na program sportowy z fragmentami meczów piłkarskich i kompletnie się wyłączył. Nie mogłam w to uwierzyć: czasem wydawał z siebie ciche pomruki, widząc słabe zagranie, albo jęki zachwyty, gdy padała bramka. Robi to szczerze czy się zgrywa? - pomyślałam naiwnie, aż po-znałam prawdę w momencie, gdy podniósł głos, jakbyśmy siedzieli w barze „La Jarra de Oro”.

- No, musi być karny! Widziała pani?

Mogłam go zabić na miejscu, ale posłałam mu tylko gromiące spojrzenie, ponieważ to on tu dowodził i mieliśmy świadka.

Tak minęła godzina i jeszcze trochę. Garzon wziął sobie piwo z lodówki, a ja byłam bliska obłędu, gdy nagle w drzwiach zachrzęścił klucz. Dziewczyna wyprostowała się, a oczy prawie wy-skoczyły jej z orbit. Usłyszeliśmy, jak drzwi wejściowe się otwierają. Dobiegł nas męski głos.

- Patricia! Patricia, jesteś?

Gdy się ocknęłam z pierwszego oszołomienia, zobaczyłam, że Garzon przytknął dziewczynie pistolet do twarzy.

- Odpowiedz, odpowiedz spokojnie - szepnął.

Dziewczyna wysilała się, ale słowa uwięzły jej w gardle.

Podinspektor wcisnął lufę w policzek zakładniczki.

- Odpowiadaj mu, suko!

Wydała z siebie przerażone, słabe „cześć!”, ale nikt nie odpowiedział, nikt nie wszedł, nikt nie zamknął drzwi. Garzon wypadł z pokoju i zaczął krzyczeć:

- Stać, policja! Stać!

Pobiegłam za nim. Zeskakiwał po stopniach, mknąc za jakimś niewyraźnym cieniem. Nagle usłyszałam strzał. Przechyliłam się przez poręcz i zerknęłam w dół, lecz wtedy światło na klatce automatycznie zgasło.

- Garzon! - krzyknęłam. - Garzon!

Cisza. Klnąc pod nosem, zawróciłam do mieszkania, popędziłam do okna, otwierałam je na oścież i oddałam strzał w powietrze. Policjanci momentalnie wyskoczyli z samochodu i pobiegli do wyjścia z bloku. Zrobiłam krótką przerwę w tym szalonym wyścigu i odetchnęłam głęboko. Dziew-czyna siedziała na podłodze i płakała, kryjąc twarz w dłoniach.

Usiłując zachować jaki taki spokój, zeszałam po schodach. Na drugim półpiętrze znalazłam Ga-rzona. Leżał skurczony. Klęknęłam przy nim.

- Fermin, co się stało? Gdzie cię trafił?

Podniósł spoconą i zbolałą twarz.

- Nie ma strachu, pani inspektor, w ramię. Nic takiego.

Na klatce otworzyło się kilkoro drzwi. Jakaś starucha darła się jak papuga:

- Kto tam?! Co się tam dzieje?!

Z samego dołu dobiegł nas głos jednego z kolegów.

- Mamy go, pani inspektor! Mamy go!

Usiadłam obok mojego kolegi. Mogłabym teraz zabić za papierosa.

- Dlaczego oni wszyscy nie zamkną się w cholere? - mruknęłam.

Agustin Orensal. Nie chciałam go osobiście przesłuchiwać. Cuchnął śmiercią jak upolowana zwierzyna. Zawodowiec, autentyczny zawodowiec. Wszystkiemu zaprzeczał, choć miał przy sobie półautomat, którym popełniono tamte morderstwa, i nawet taką samą amunicję. Nie trzeba było więcej dowodów. Całkiem prawdopodobne, że wchodził w skład liczniejszej grupy wykonawców wyroków, ale nie chciał nic mówić.

Garzon z ręką na temblaku brał za to udział w przesłuchaniach, razem z dwoma inspektorami z Madrytu. Z pewnością się nie patyczkowali. Trzeciego dnia zatrzymany zeznał: Nogales wynajął go do zamordowania Ernesta Valdesa. Konfidenta sprzątnął z własnej inicjatywy. Popęlnił błąd, bo wygadał się przy nim podczas jakiejś popijawy. Powiedział mu, że załatwił Ernesta Valdesa, który z kolei znał Rosario Campos. Najwidoczniej Higinio Fuentes usiłował sprzedać tę podwójną informację mnie i Molinerowi i zainkasować od nas obojga. Czyli intuicja Molinera nie zawiodła.

Ktoś doniósł Orensalowi, że żona Higinia Fuentesowa rozmawiała ze mną. Musiał działać. W jego zawodzie nie ma miejsca na niedyskrecję, a on się jej dopuścił. Ten błąd trzeba było naprawić. Przysięgał natomiast, że nie ma nic wspólnego z zabójstwami Rosario Campos i Marty Merchan. Moi koledzy nie wydobyli z niego żadnych informacji na ten temat.

- Nie chciałyby pani z nim porozmawiać? - zapytał mnie podinspektor.

- W najmniejszym stopniu.

- Będą go dalej przepytывать, może zezna coś jeszcze oprócz nazwisk członków siatki.

- Był bity?

Garzon pokazał swój imponujący bandaż.

- Ja jestem ranny, niech pani na mnie tak nie patrzy.

- A ta dziewczyna w mieszkaniu?

- Mieszkali ze sobą, młoda kurewka.

- Wie coś?

- Tylko sędzia z nią rozmawiał. Podejrzewam, że wiedziała coś niecoś o robocie lubego, ale niewiele poza tym.

- Ogromna różnica wieku.

- Miłość jest ślepa, pani Petro.

- Podobno. Co z nią teraz będzie?

Garzon zwrócił się do mnie całym ciałem i z drwiącą miną zaczął potrząsać głową.

- Ależ pani jest wkurzająca, z całym szacunkiem. Dostaję postrzał, który mógł mnie wysłać na tamten świat, z rąk faceta, który nie wiadomo ile jeszcze osób załatwił, a pani co na to? Pani pyta, czy tego bandziora bito, martwi się pani o przyszłość jego kochanki... Pani Petro, pani powinna zostać wolontariuszką społeczną, albo lepiej mniszką!

- Nie pieprz, Fermin. Wiesz dobrze, że w głębi duszy jestem pozbawiona uczuć.

Zawahał się, po czym odparł ze śmiechem:

- Najgorsze, że wszystko to mówi pani serio.

Nie wiem, czy mówiłam serio, czy też nie, ale na pewno zawsze byłam przeciwna męczeniu schwytych zwierząt - może dlatego, że wszyscy je po trosze przypominamy, a świadomość braku ucieczki to potworna rzecz. Co innego Nogales, jego zamierzałam wyżyć jak brudną szmatę. Dowody mieliśmy tylko przeciw sprawcy dwóch morderstw, do których sam się przyznał. Co oznaczało, że absurdałna potrzeba zabijania skusiła kogoś jeszcze.

- Jak Nogales wszedł z nim w kontakt?

- Jeden z dziennikarzy śledczych „El Universalu” znał sposób.

- Powiedz o tym sędziemu, może to też przestępstwo.

- Powoła się na tajemnicę zawodową.

- To już nie nasz problem, zrób to.

- Wiem, może jestem trochę namolny, ale uważam, że pani też powinna przesłuchać zabójcę.

- A poradzę sobie lepiej niż trzech byków, którzy o mało go nie zakatowali?

- Oj, przesadza pani.

Myślą i wolą kierowałam się jednak w inną stronę. Wszystko było gotowe, by oskarżyć głównego podejrzanego: nakazy wystawione przez sędziego śledczego, analizy balistyczne, podpisane zeznania... Tu właśnie ciekawość zżerała mnie jak gorączka: chciałam go przesłuchać, zanim sędzia postawi mu formalne zarzuty. Miałam do tego prawo, dwa morderstwa były nadal niewyjaśnione: pierwsze i ostatnie, jak w żmudnej grze na długie niedzielne wieczory.

Zażądałam, żeby go przywieziono do komisariatu. Jego łajzowaty adwokat przyjechał razem z nim. Już się nie śpieszyłam, byłam spokojna, mogłam go teraz wyprowadzić z równowagi, czasu miałam dość, by go zmusić do złożenia kompletnego zeznania, w którym wciąż świeciła ogromna luka, mogąca w sam raz pomieścić dwa trupy.

Odbyłam długą rozmowę telefoniczną z Molinerem, sytuację w Barcelonie znałam więc nieźle. Raquel Valdes nie ujawniła więcej interesujących szczegółów. Nasz kolega uważał, że po prostu nie wiedziała zbyt wiele na temat życia swojej matki, ale Nogalesa znała, mało tego, podziwiała go. Weekendy spędzał u nich w domu, nierzadko rozmawiał z nią przez telefon... Raz nawet pojechała z matką do Madrytu i wspaniale spędzili czas we trójkę, zwiedzając atrakcje turystyczne. Ta wiedza mogła mi się przydać w sali przesłuchań. Wkraczałam do niej, dysponując ogromem informacji i przekonana, że prawda jest już w zasięgu ręki.

Od razu rzucił mi się w oczy widok twarzy Nogalesa. Kilka dni spędzonych w areszcie pozostawiło nieznaczące ślady, ale ogólnie wciąż wyglądał jak prawy obywatel, który stawiał się na zwykłe spotkanie. Zmrużył nieco oczy za okularami - najwyraźniej moja ponowna obecność wzbudziła w nim ciekawość. Nie okazywał niepokoju, przygnębienia czy smutku. Zamiast nich przepelniała go absolutna, wyniosła obojętność. Pozwolił sobie nawet na leciutki, zgryźliwy uśmieszek. Za to adwokat natychmiast wbił mi się w znużony ciągłym myśleniem mózg, trajkocząc:

- Pani inspektor, mój klient nie został poinformowany, że...

Garzon zamykał właśnie drzwi. Gestem dłoni przerwałam przemowę prawnika. Usiadłam. Następnie, zrelaksowanym głosem, rzekłam:

- Panie mecenasie, ma pan prawo być obecny podczas tego przesłuchania, może pan także w zwięzłych słowach udzielać rad klientowi co do zeznań, do których kodeks go nie zobowiązuje. O tym wszystkim doskonale pan wie. Natomiast, być może, nie wie pan, że gdy tylko przerwie mi pan w sposób, który uznam za nieuzasadniony, wyrzucę pana bez prawa powrotu. Wtedy będzie pan mógł zaprotestować przed sędzią śledczym, poskarżyć się prasie lub wyrazić niepoehlebnie o moich obyczajach, ale zapewniam pana, że zrobię to, albo nie nazywam się Petra Delicado.

Nienawisć w jego oczach musiała ustąpić miejsca zaskoczeniu. Rozdziawił gębę, po czym zartasnął ją z gniewnym grymasem. Garzon rozkoszował się sceną wszystkimi komórkami ciała, nie próbując nawet ukryć uśmiechu. Spojrzałam na Nogalesa.

- Panie Nogales, wymienię teraz fakty, którym nie będzie pan mógł w tym momencie w żaden sposób zaprzeczyć. Następnie będę zadawać pytania, a pan na nie odpowie. Proste jak drut.

- Pani inspektor, chwileczkę. Dowiedziałem się od mojego adwokata, że zatrzymano tego człowieka i że złożył już zeznanie, ale nie znam jego treści.

- A co pan chce wiedzieć?

- Dlaczego zabił Martę?

- Twierdzi, że tego nie zrobił. Że od dawna nie ruszał się z Madrytu.

- No i...?

- Sprawdzamy to, na razie wygląda, że mówi prawdę.

- Jak w takim razie wytłumaczyć, że Marta została zamordowana tą samą amunicją i w ten sam sposób?

- Nie wiem, zobaczymy.

Podniósł głos.

- Czy to wszystko, co policja potrafi? Mówić „zobaczymy”?

- Panie Nogales, może nie orientuje się pan w sytuacji, ale to ja jestem tu od zadawania pytań.

- Mam prawo wiedzieć...

Adwokat wtrącił się na moment.

- Uspokój się, Andres, proszę cię.

Spojrzałam na niego drwiąco.

- Bardzo dobrze, panie mecenasie, świetnie. Chyba wszyscy już poznaliśmy role, jakie mamy do odegrania w tym pomieszczeniu.

Zachowywałam się bez zarzutu, mój stan ducha też był w porządku. Początek przesłuchania napęlił mnie dumą. Wkrótce jednak sprawy się skomplikowały. Nie przewidziałam, jaki wstrząs emocjonalny wyrwie na Nogalesie brak wiadomości o zeznaniu mordercy. Stracił panowanie nad sobą, wstał i zrobił kilka małych kroków. Powinnam była się tego spodziewać, przecież odczuwał brak nie tylko bliskiej osoby, ale także władzy. Dotychczas dostawał potrzebne informacje w ciągu kilku sekund. Wystarczyło, że zadzwonił z gabinetu do któregoś dziennikarza. Nie mógł zatem znieść tortury, której go dziś poddałam - tortury niewiedzy.

Nagle zwrócił się do mnie z wściekłością.

- Pani inspektor, może pani wracać, skąd pani przyszła. Oskarżajcie mnie, o co macie ochotę, i tak nie będę mówił. Nie mam dostępu do wyników śledztwa.

- A jakim prawem miałby pan go mieć? Nie występuje pan tutaj w roli dziennikarza, tylko oskarżonego.

- Wszystko jedno, nie powiem ani słowa, mowy nie ma! Nie dam się wykorzystać jak byle nieszczęśnik, zatrzymywany przez was dzień w dzień!

Adwokat usiłował go ułagodzić, brał Nogalesa pod ramię, sadzał z powrotem na krześle. Z pewnością nieoczekiwany stan ducha klienta musiał go mocno konsternować. Ja za to zaczęłam dostrzegać w jego niezłomnym charakterze pierwsze rysy, przez które przenikało światło. Zerknęłam na Garzona. Jego wyniosła mina nie zdradzała żadnych uczuć. Może nadeszła pora na kolejny nieortodoksyjny krok...

- Nogales, chce pan zawrzeć ze mną układ?

Garzon i adwokat zareagowali identycznie: najpierw obydwaj podskoczyli, następnie stężeli. Nogales, wyraźnie odzyskawszy równowagę, podniósł na mnie wzrok.

- Jakiego typu układ?

Adwokat usiłował się wtrącić, ale Nogales kazał mu się uciszyć. Nie spuszczałam podejrzanego z oczu.

- Pan mi opowie wszystko od początku, a ja przedstawię panu zeznanie tamtego.

- Zeznanie, co oznacza, że...?

- Proszę, niech pan słucha mnie uważnie. W sumie nie ma pan nic do stracenia. Po prostu chcę, żeby mi pan ułatwił pracę dedukcyjną. Podstawowa sprawa została już rozstrzygnięta: będzie pan oskarżony o spowodowanie śmierci Valdesa.

- Zgoda - szepnął.

- Pani inspektor, oświadczam pani, że... - zdołał wyrzec adwokat.

- I niech pański adwokat opuści ten pokój. To też jest część układu - dodałam.

- On też musi wyjść - powiedział Nogales, wskazując na Garzona.

Nie miałam absolutnie powodu przystać na taki warunek, ale wyraziłam zgodę. Nie musiałam nawet wydawać poleceń; podinspektor wyszedł bez słowa, ledwie zwróciłam na niego niepewny wzrok. Spojrzenie, jakie Nogales posłał swojemu adwokatowi, było dużo cięższe i bardziej złowrogie. W końcu i mecenas wyszedł, z panicznym strachem w oczach.

- Może pani zaczynać. - Nogales udzielił mi głosu.

Uśmiechnęłam się.

- Czy to możliwe, że nadal nie orientuje się pan w swojej sytuacji? No, Nogales, to pan może zaczynać. Proszę pamiętać, że od wydawania poleceń jestem ja.

- I tak zeznam wszystko, co wiem, tym bardziej że moje wyjaśnienia w dużym stopniu mnie odciążą.

- Nie mogę się wprost doczekać tych wyjaśnień.

Zbył moją ironię lekkim skrzywieniem ust i zaczął mówić.

- Poznałem Martę Merchan na przyjęciu w ambasadzie Francji. Przyjechała akurat z Barcelony jako przedstawiciel handlowy firmy, dla której pracowała. W niedługim czasie już byliśmy w sobie zakochani. Jestem samotny, dobiegam pięćdziesiątki. Nigdy dotąd w nikim się nie zakochałem. Kiedy się dowiedziałem, że to eks-zona Ernesta Valdesa, byłem porażony: cóż za gratka dla moich wrogów! Zdecydowaliśmy więc, że przez jakiś czas nie będziemy się razem pokazywać publicznie. W tym okresie Marta miała okazję poznać mnie takiego, jakim jestem naprawdę.

- A jaki pan jest naprawdę?

- Jestem mężczyzną z ambicjami, pani inspektor. Musiała to pani zauważyć...

- Chyba tak.

- Marcie przyszedł do głowy plan, który mogłem zrealizować na polu zawodowym. Przez ręce jej byłego męża przechodziła masa informacyjnego śmiecia. Pomyślała więc, że może by mi się przydały niektóre fakty dotyczące życia prywatnego znanych postaci ze świata polityki. Skontaktowałam mnie z Valdesem.

- A pan mu płacił za każdą informację.

- Niezależnie od tego, czy ją wykorzystywałem, czy nie.

- Czy osoby zainteresowane bywały poddawane szantażom? - (Milczał). - Proszę odpowiedzieć.

- W ostatecznych wypadkach tak.

- Nie rozumiem, proszę to wytłumaczyć.

- Ja pozyskiwałem od niego fakty wyłącznie w celach dziennikarskich. Gdy jednak decydowałem, że nie będę czegoś publikował, pozwalałem, żeby Valdes dorabiał sobie na boku szantażami. Jeżeli natomiast fakty miały trafić do mojej gazety, dostawał pieniądze tylko ode mnie.

- Z funduszy „El Universalu”?

Zrobił dłuższą przerwę, po czym odparł lakonicznie:

- Tak.

- W każdym razie miał pan już to, czego pan chciał, prawda, Nogales? Mógł pan kontrolować te osoby, które miały coś do ukrycia. Wszechpotężny człowiek, sam pozostający w cieniu. Ta sytuacja dawała panu nieograniczone możliwości manipulowania politykami i przedsiębiorcami: awanse, sojusze, nawet skuteczne obalenie rządu... Jeśli wierzyć pogłoskom, ostatecznym celem pańskiej kariery dziennikarskiej było wejście do świata polityki.

- To wykracza poza zakres tego zeznania, dlatego odmawiam odpowiedzi.

- Powiedzmy zatem, że pieniądze nie były głównym obiektem pańskiego zainteresowania.

- Obiektem mojego zainteresowania było dobro kraju. Nie chciałem, by skorumpowani politycy dochodzili do władzy albo się przy niej utrzymywali. Poświęciłem wiele czasu i zdrowia...

Przerwałam mu tak chłodno, jak tylko byłam w stanie.

- Jak sam pan trafnie zauważył, pańskie motywy wykraczają poza zakres tego zeznania.

- Ma pani rację, wątpię, żeby policję interesowały czyjekolwiek przekonania.

- Proszę dalej.

- Valdes powiedział mi, że moglibyśmy osaczyć ministra zdrowia. Poznał Rosario Campos, ta nawet zgodziła się współpracować, oczywiście za pieniądze, u ludzi z ulicy próżno by szukać pobudek ideologicznych. Coś się jednak między nimi popsulo i dziewczyna zaczęła grozić Valdesowi, że ujawni całą machinację. Poinformował mnie o tym, więc mu poradziłem, żeby zaoferował dziewczynie więcej, niż było umówione, ale ten bydlak, ten nieprawdopodobny skurwiel Valdes, nie mówiąc mi ani słowa, nie licząc się ze mną, bez uprzedzenia, po prostu ją załatwił! Jak się dowiedziałem, myślałem, że sam pożegnam się z tym światem!

- Jak ją załatwił? Wynajął kogoś?

- A skąd mam wiedzieć?

- Niech pan pomyśli, to bardzo ważne.

- Sądzę, że załatwił to za niego jakiś bliski współpracownik, ale nie zdradził mi kto. Wszystko jedno, zło już się stało. Musiałem go powstrzymać, ten facet był mordercą, stanowił zagrożenie, stworzył niebezpieczny precedens, nie rozumie pani? Ja nie miałem w planach żadnych morderstw, a Valdes wymykał się spod kontroli.

- I dlatego, nie chcąc samemu stać się mordercą, zamordował go pan. Jednemu ze swoich dziennikarzy śledczych kazał pan spenetrować środowisko zawodowych zabójców i kiedy miał pan wystarczająco dużo informacji, skontaktował się z fachowcem i zlecił zabójstwo Ernesta Valdesa. Nie był już pańskim wspólnikiem, już nie mógł nic powiedzieć, prawie wszystko zostało utajnione. Jeszcze tylko pozostało niewyjaśnione, kto zabił Rosario Campos, ale tego nie chciał zdradzić. Ot, taki pański miecz Damoklesa, prawda? Nie udało się, nie wyznał. Czyściutko, bez podejrzeń, tylko jeden trop, ale z takim ryzykiem musiał się pan liczyć.

- Zabiłem mordercę, który nakręcał spiralę śmierci. To będzie okoliczność łagodząca, przekonaj się pani.

- Założę się, że jeszcze pana odznaczą. Czy Wielki Krzyż Zasług Obywatelskich by panu wystarczył? Aha, jaką rolę odgrywała w tej sprawie Marta Merchan?

- Absolutnie żadnej. Poza tym, że skontaktowała mnie na samym początku z byłym mężem.

- Oj, kłamiemy, przyjacielu, chyba że jest pan idealistą, nieświadomym, na jakim świecie żyje.
- Co mi pani próbuje wmówić?
- A nie przyszło panu do głowy, że pańska cudowna kochanka także czerpie korzyści majątkowe z każdego interesu ubitego przez pana z Valdesem?

- To nieprawda!

- Mamy dowody, że zawarli układ. Marta Merchan robiła dziwne inwestycje, wkładając w to sumy, których jej zarobki nie usprawiedliwiają.

- Nie wierzę.

- Nie ma znaczenia, czy mi pan wierzy. Podejrzewamy, że miała gdzieś ukrytą sporą sumę. Jestem przekonana, że niedługo ta forsa się ujawni.

- To śmieszne, ona nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

- Skończmy z tym, Nogales. Teraz, zgodnie z naszą dżentelmeńską umową, wywiążę się z tego, do czego się zobowiązałam. Powiem panu mianowicie, że jest mało prawdopodobne, by zatrzymany przez nas płatny zabójca zamordował Martę Merchan.

Na jego twarzy pojawił się nagły niepokój.

- Dlaczego?

- Pański człowiek załatwił, owszem, naszego konfidenta i jego żonę, ale nie można dowieść, że zabił także panią Martę.

- Jak to nie można dowieść? A sposób, a amunicja...? Sama pani mówiła...

- Pomyliłam się. Marta Merchan zginęła zasztyletowana przez osobę dużo niższej postury niż pański zleceniobiorca. Przykro mi, to była pomyłka.

Twarz mu gwałtownie poczerwieniała. Również oczy nabiegły krwią. Zgrzytnął zębami i rzucił się na mnie. Próbowałam go odepchnąć, lecz zacisnął mi mocno dłoń na szyi. W tym momencie do pokoju wbiegł policjant w towarzystwie Garzona. Chwycili go, zaczęli bić po rękach, ale trzeba było jeszcze trzeciego policjanta, by oderwać te szpony od mojej szyi. Skuli go, dzięki czemu mogłam się odsunąć. Nie przeszkodziło mu to jednak splunąć mi w twarz w ostatniej chwili.

- Suka, suka! - rzęził.

Garzon zamierzył się pięścią, chcąc rozkwasić mu twarz.

- Oszalałeś, Fermin?! - krzyknęłam. - Nie dotykaj go nawet! Zabierzcie go!

Policjanci otoczyli Nogalesa, który w tym momencie nagle złagodniał, wręcz się rozkleił.

- Pani inspektor - zaczął mówić z trwogą - dziewczynka, Raquel, uważajcie na nią, ją też mogą zabić. Teraz każdy może zrobić cokolwiek, ja już nic nie rozumiem, nie wiem...

- Sprawy wymknęły się spod pańskiej kontroli i niczemu nie może już pan zapobiec. To ryzyko, jakie ponosi manipulator.

Na mój rozkaz wyprowadzili go. Podinspektor od dłuższej chwili podsuwał mi chusteczkę jednorazową. Byłam wzburzona, zdyszana, jeszcze nie osiągnęłam normalnego stanu.

- Niech się pani wytrze, pani inspektor, proszę ze mną.

Poprowadził mnie pod ramię wzdłuż korytarza aż pod drzwi damskiej toalety.

- Niech pani wejdzie i umyje sobie twarz, pani Petro, od razu się pani lepiej poczuje.

Posłuchałam go. Podstawiłam twarz pod kran, odkręciłam silny strumień wody i zmyłam cały niesmak, jaki odczuwałam. Kiedy się wyprostowałam, z lustra spojrziała na mnie kobieta o głębokich zmarszczkach, spięta, blada jak śmierć, z czerwonymi śladami na szyi. To nie byłam ja, ta wykrzywiona twarz o oczach naznaczonych obłędem nie miała ze mną nic wspólnego. Ja chyba byłam gdzie indziej, opanowana, piękna i pełna godności.

Garzon i ja wypiliśmy litry herbaty. Uznaliśmy, że musimy to zrobić, nim cokolwiek zaczniemy, nim nasze neurony uruchomią kolejne reakcje. Herbata zielona, herbata z cytryną, herbatka z melisy... Kelner herbaciarni poczuł, że musi nas uprzedzić o pobudzających właściwościach teiny, ale nam właśnie tego było trzeba - pobudzenia. Po zdaniu raportu Coronasowi poczułam się oklapła jak dętka. Ten drań, zamiast nam pogratulować sukcesów, napomknął jedynie, że sprawa nie jest jeszcze zamknięta. „Brakuje tylko dwóch drobiazgów” - ośmieliłam się odrzec. Na to on wybuchnął jak bomba, która wpadła do piwnicy. „Drobiazgów?! Mówisz: drobiazgów?! Dwóch denatów nazywasz drobiazgami?! Jeden wystarczy, żeby zapełnić pół gazety!” „W sprawie Rosario Campos musimy wyłącznie stwierdzić, kto fizycznie ją zamordował” - przekonywałam. Nie pamiętam dokładnie, co odpowiedział, wiem tylko, że wspomniał coś o naszych planach, a konkretnie, co, kurwa,

zamierzamy. Później, nie przerywając wiać i morałów nie na miejscu, dorzucił jeszcze, ile go kosztuje nasz pobyt w Madrycie. Poprosiłam, żeby dał nam jedno popołudnie na obmyślenie strategii - i teraz mieliśmy za sobą już dwie bezczynne godziny, spędzone przy herbacie.

- Co zrobimy, Fermin?

- A już ma pani siłę myśleć?

- Nie martw się, dam sobie radę.

- Bo jak umysł nie chodzi, to reszta też nie.

- Przekwalifikowałeś się na guru?

- Stawiam pierwsze kroki w medytacji.

- To wymedytuj mi tu zaraz, kogo Valdes mógł wynająć, żeby zlikwidować kochankę ministra.

- Nogales mówił o bliskim współpracowniku.

- A co ty możesz wiedzieć? Valdes mógł mu chlapać byle co! Może nawet sam ją zawodowo sprzątnął.

- Miał za mało jaj. Nie, do tego potrzebny był ktoś, kto lepiej zna ulicę, kto bez problemu zdobędzie pistolet i zrobi z niego użytek.

- Czyli wracamy do hipotezy o dwóch płatnych zabójcach?

- Jeżeli tak, to jesteśmy ugotowani, nigdy się nie dowiemy, kto to.

Garzon zamówił herbatę po arabsku i teraz obserwował, jak nasionka w naparze podnoszą się i opadają. Zadzwoiła moja komórka.

- Petra? Tu Moliner. Służąca wyśpiewała wczoraj wieczorem, że pryncypałka płaciła jej za ukrywanie brudnych pieniędzy w domu.

- Te pieniądze wszystkich już upaprały.

- Pieniądze zawsze paprzą.

- Coś jeszcze?

- Będę ponownie przesłuchiwał Raquel, choć uważam, że w nic nie jest zamieszana.

- Uważacie na nią? Nogales twierdzi, że może jej grozić niebezpieczeństwo.

- Powiem komisarzowi, ale łązi cały wkurwiony.

- Wiem, wiem.

- Chwilowo dziewczyna mieszka u ciotki i chyba nic jej się nie stanie.

- Zależy, kto zabił jej matkę i dlaczego.

- Wróćcie niedługo? Dobrze by było, żebyś rzuciła okiem na wszystko.

- Wrócimy, Moliner, wrócimy, przecież nie zamierzamy siedzieć w stolicy do śmierci. Tęskniemy już bardzo, ale mamy tu jeszcze parę spraw do rozwiązania.

Garzon dalej tkwił wpatrzony w zawieszinę.

- A ja uważam, pani inspektor...

Znałam świetnie ten początek zdania. Anonsował doniosłe wnioski, wyciągane na przekór logice, z marzeniem o przejściu do historii.

- Otóż uważam, tak mi się wydaje, że... znamy jedną współpracowniczkę Valdesa, może zresztą jedyną. A ona na pewno zna ulicę.

- Maggy?

- Innej nie miał. Szefowa z telewizji mówiła przecież, że Maggy była jego prawą ręką, jedyną osobą godną zaufania, totumfacką. On ją wydobył z nicości.

- Maggy byłaby mu aż tak oddana, żeby zabijać?

- Nie sądzę, żeby miała inne zajęcia niż to, co zlecał jej Valdes. A chyba nie chciała wrócić do zawodu kelnerki albo nocnej sprzątaczkii biurowej. Mógł zagrozić, że ją wyleje.

- Ale Maggy pomogła nam dorwać Nogalesa.

- To niczego nie dowodzi. Nogales nie mógł jej zaszkodzić. Możliwe zresztą, że nawet chciała posadzić zabójcę szefa.

Popatrzyliśmy na siebie uważnie.

- Nie mamy przeciw niej żadnych dowodów oprócz niejasnych wzmianek konfidenta - powiedziałam, chcąc wyeliminować wszelkie fałszywe domysły.

- Pani inspektor, zdołałem się przekonać, że kiedy trzeba, kłamie pani jak z nut. Może jeszcze raz nie zawadzi?

- Kłamstwo jest nieetyczne.

- Owszem.
- Nawet nie jestem pewna, czy się sprawdzi.
- Spróbować można.
- A może pułapka?
- Śmiertelna?
- Maggy nigdy nie widziała Molinera. Nie wie nawet, że płatny zabójca Valdesa jest już aresztowany.
- Kapuję. Może wystarczy ktoś z madryckiego komisariatu?
- Oszalałeś? Nie możemy powierzyć tej sprawy komuś, do kogo nie mamy stuprocentowego zaufania.
- A jak Coronas nie pozwoli mu opuścić Barcelony?
- Ugnie się. Jesteśmy bliscy zakończenia skomplikowanego śledztwa i nie będziemy się teraz nawzajem przepychać.
- Może się i zgodzi, ale wkurwi się jeszcze bardziej.
- Na jedno wychodzi: wkurwienia, podobnie jak miłości, nie da się zmierzyć.

Moje rozumowanie było prawidłowe, choć w kwestii wkurwień dałoby się wprowadzić pewną gradację: wkurwienie, wkurwienie solidne, wkurwienie piekielne i wkurwienie totalne. Otóż to, co zaprezentował Coronas, wykraczało poza wszelkie kategorie zwyczajowych wkurwień. Gdyby był trzęsieniem ziemi, położyłby w gruzy miasto średniej wielkości. Co było epicentrum tego kataklizmu? Nie umiałabym stwierdzić. Szefowie wpadają w złość, kiedy jakaś część podległej mu firmy wymyka się spod bezpośredniej kontroli. Jasne, nie spędzaliśmy tylu dni w Madrycie z uwagi na gościnną atmosferę miasta. Byliśmy nawet w stanie przedstawić wyniki, które świadczyły o dobrym wykorzystaniu środków, jakie nam powierzono. Wszystko jedno: nie było nas, byliśmy nieobecni, nie przychodziliśmy do komisariatu ani z niego nie wychodziliśmy, nie widywano nas co dzień o jedenastej w kolejce do automatu z kawą. Otaczał nas nimb niezależności, jakiejś choćby czysto teoretycznej swobody, która nie pasowała do wizerunku zespołu, starannie zaprogramowanego w umyśle komisarza.

Przede wszystkim nie powiedzieliśmy wyraźnie, jakiej pomocy spodziewaliśmy się po Molinerze w Madrycie, wszelkie detale zostawiając do późniejszego raportu. Tu Coronas popłynął na oratorskie szerokie wody, typowe dla wkurwionego szefa: ma skąpy personel, skąpe środki, my nie informujemy na czas o wynikach poszukiwań, traktujemy tę łamigłówkę jak grzybobranie, a na dołdek siejemy wokół siebie śmierć. Gdyby mi to powiedział zaraz na początku mojej pracy w komisariacie, następnego dnia złożyłabym dymisję. Jednakże doświadczenie pozwoliło mi wykształcić mechanizmy obronne. Wiedziałam, że odgrywam tylko pewną rolę: mam słuchać, zwięźle zaprzeczać, powtarzać po stokroć to samo rutynowe wyjaśnienie, a na koniec gadki Coronasa palnąć szybkie „rozkaz, panie komisarzu”, które kiedyś uznawałam za skrajny debilizm.

O trzeciej pojechaliśmy po Molinera na lotnisko. Minę miał zadowoloną. Niewykluczone, że oddalając się od Barcelony, odsuwał od siebie także problemy osobiste.

- Czyli mam zagrać płatnego mordercę. Kurwa mać, jak za dawnych lat! Od dawna nie bawiłem się w te klocki.

- Obawiam się, że to nie taka przygoda, jak myślisz. Nie będziesz musiał wkręcać się do żadnej mafii ani nadstawiać specjalnie karku. Masz tylko zastraszyć jedną panienkę.

- Żeby zaczęła gadać?

- Lepiej, żeby ci pokazała kasę, jaką dostała.

- Mam przejść do czynów?

- Uważaj, nie jesteśmy za dobrze kryci, nie mamy nawet wcale pewności, czy ona jest winna. Jak ją tkniesz, możesz się nieźle wpieprzyć. Masz jej tylko napędzić stracha.

Skinął głową, szacując ewentualne triumfy i zabawę, jakie oferowała w perspektywie ta historia. Uwielbiałam go, był policjantem pełną gębą, pancernikiem, który nie potrafił myśleć bez odznaki wpiętej w mózg. Takich ludzi nam brakowało. Nie miałam wątpliwości, że prędko się otrząśnie po rozstaniu z żoną, jego życie nabierało blasku, gdy brodził we krwi. Czy ja się od niego bardzo różniłam? Może znalazłam się już na dobrej drodze, by stać się pokrewnym gatunkiem. Praca pochłaniała nas bez udziału naszej świadomości, na co dzień nawet jej nie zauważaliśmy. Za to na pewno zjadała nas od wewnątrz jak podstępny czerw.

Zdałam sobie wyraźnie sprawę z tego przekleństwa - a może szczęścia - gdy nagle odezwał się telefon. Z tamtej strony powitał mnie głos Amandy.

- Petra, wyjechałaś i nie dajesz znaku życia, więc dzwonię, by ci powiedzieć, że wyjeżdżam z Barcelony.

Kompletnie o niej zapomniałam, o jej problemach, o jej istnieniu, o jej prośbie o pomoc i czułość, o mojej drętwej reakcji... O wszystkim. Nawet nie umiałabym skłamać, że jest inaczej.

- Dokąd jedziesz?

Zaśmiała się krótko.

- Do siebie. Mieszkam w Geronie, może pamiętasz.

- A dlaczego jedziesz?

Znowu śmiech.

- Petra, jest tam jakieś lustro? Przejrzyj się z łaski swojej. Jeżeli masz wybałuszone oczy i zzieleniałą cerę, to znak, że musisz parę dni odpocząć.

- Tak, na pewno. Ale poza tym chciałabym wiedzieć, czy wracasz z jakiegoś konkretnego powodu.

- Chyba muszę stawić czoło sytuacji. Enrique się wyprowadzi, ja zostanę z dziećmi i dopiero wtedy przemyślę, co zrobić ze swoim dalszym życiem. Tak się jakoś mówi, nie?

- Coś w tym guście. Czy mogę ci wyznać, że uważam to za dobre rozwiązanie?

- A jest jakieś inne?

- No, stawić czoło światu to zawsze lepiej niż...

- ...podrywać policjantów?

- Nie ja to powiedziałam...

- Wiem, wiem, żartuję tylko. I proszę o wybaczenie. Moje reakcje były chyba dosyć wybuchowe. Ale tak to jest, kiedy ci się małżeństwo rozlatuje.

- Ja też nie chodziłam radosna jak skowronek. Wiesz, niedługo stąd wyjeżdżam.

- Zamykacie sprawę?

- Zamykamy, nie zamykamy, w każdym razie muszę wrócić najpóźniej pojutrze. Może byś zaczekała, to się pożegnamy jak ludzie?

- Myślisz, że zdążę się jeszcze przespać z jakimś kolejnym gliniarzem?

- Jeśli mogę cię prosić o przysługę, to wyrwij komisarza. Ostatnio ma humor, że nie daj Boże. Tym razem wybuchnęła serdecznym śmiechem, co mnie w dużym stopniu uspokoiło.

- Dobra, zostaję. Ale jakby coś się stało i będziesz musiała zostać, to już o mnie nie zapominaj.

- Ja o tobie nie zapominałam! Tylko bałam się wtrącać.

Oczywiście wcale mi nie uwierzyła. Nie nasyciłam tego kłamstwem dostateczną porcją prawdopodobieństwa. Jasne, nie musiałam wydusić zeznania z mordercy, więc nie byłam tak zainteresowana. Chociaż co to za wyrzuty sumienia? Czy ja siebie obwiniam o zbyt słaby instynkt rodzinny? Może faktycznie powinnam się przejrzeć w lustro, przypatrzeć się zielonym worom pod oczami, które zapowiadały rychłą utratę rozumu. Źle się poczułam, bo zapomniałam o siostrze? Przecież chyba byłoby gorzej, gdybym zapomniała o śledztwie dotyczącym strasznych zabójstw tyłu ludzi. Poczulałam głębokie, absurdałne zmęczenie, jak zwykle, gdy usiłowałam przeniknąć czyjś sposób myślenia, odwołując się do cudzych wartości. Rodzina i obowiązek - tandem, od którego chce się rzygać, a na którym, niestety, ciągle jadę.

Tego wieczoru zjadłam kolację w tawernie razem z obydwoma kolegami. Nie miałam ochoty gadać, co nie sprawiło nikomu kłopotu: tamci byli ożywieni jak nigdy. Z ogromnym upodobaniem układali strategię zastawiania pułapki na Maggy. Jak ją zmusić do zeznania prawdy, jak stłamsić dwudziestodwuletnią dziewczynę - też mi wyczyn detektywistyczny! Oczywiście, ta szemrana i nieokrzesana panna była w stanie zabić. Zabić z zimną krwią, za pieniądze, kobietę, której nawet nie znała. Po tylu latach w policji wyrobiłam sobie jasne zdanie: wszystko jedno, w jakim środowisku zbrodnia zostaje popełniona, niemal zawsze ma w tle interes finansowy. Ta dziwka forsa jest powszechnym impulsem. Nie miałam wątpliwości, że w sprawie o zabójstwo nie trzeba sięgać po katalog emocji spisany przez Szekspira, wystarczy jedna, maksimum dwie. Może dlatego przypadek Nogalesa nosił znamiona oryginalności. Nim powodowała żądza, władzy, chociaż wszystko psuło to żalosne przekonanie, że działa dla dobra kraju. Już bym wołała, żeby sobie uświadomił swoją ciężką paranoję.

Zauważyłam zaniepokojony wzrok Molinera i Garzona. Od kilku chwil uporczywie kiwałam głową. Inspektor taktownie zapytał:

- Petra, dobrze się czujesz?

Garzon trafił bliżej.

- Niech pani idzie się położyć, nie ma już nic do roboty.

- Chcę poznać waszą strategię.

- Przecież dopiero co ją pani wyłożyliśmy!

- W porządku, Fermin, myślę, że inspektor Moliner z przyjemnością powtórzy wyjaśnienia.

Moliner się uśmiechnął. Pewnie zdziwiła go trochę szczególna poufałość, jaka panowała między mną a podinspektorem, i raczej jej nie pochwalał. Sam przywykł do nieco brutalnego koleżeństwa, a czasami Garzon i ja zachowywaliśmy się jak małżeństwo emerytów, robiąc - że posłużę się eufemizmem - zabawne wrażenie.

Zostałam z grubsza poinformowana o czymś, co w sumie było do przewidzenia, a czego i tak nie sposób dokładnie zaplanować. Moliner miał pójść do mieszkania Maggy i zażądać części kasy, jaką dostała za zamordowanie Rosano Campos. Ona oczywiście oświadczyłaby, że nie rozumie, o co chodzi. Tu, jak to określił Moliner, zaczynałby się taniec. On miał jej powiedzieć, że jest zabójcą wynajętym do zamordowania Valdesa na życzenie swojego pana i władcy, czyli redaktora naczelnego gazety. Miał przy tym rozwiać wątpliwość, która z pewnością dręczyła ją od dawna: Valdes rzekomo zdradził Nogalesowi imię swojej tajemniczej współniczki w morderstwie. Nogales z kolei niby wiedział, że to ona doniosła na niego na policję, i teraz zamierzał się zemścić. Ponieważ jednak zleceniodawca siedzi w kiciu, Moliner, jako wytrawny profesjonalista, proponuje Maggy ocalenie życia w zamian za kasę.

Powodzenie całego planu zależało od tego, jak dziewczyna zareaguje. Obawiałam się, że wpadnie w trwogę, bo mogłam przypuszczać, że Moliner przyprawi swoją komedię szczyptą brutalności. Chyba lepiej posłuchać Garzona i iść spać. Nieważne, czy Maggy była okrutną morderczynią; myśląc o niej, nie potrafiłam oprzeć się współczuciu.

- Na pewno nie jestem wam potrzebna? - W ten sposób prosiłam, by pozwolili mi odejść.

Podinspektor, niczym troskliwa matka, odparł:

- Proszę nas zostawić samych, naprawdę. Nie ma się pani co przejmować. Kiedy pan inspektor skończy, zadzwonimy powiedzieć, jak poszło.

- Nawet o trzeciej nad ranem?

- Słowo honoru.

Wstałam ociężale. Za nic w świecie nie zostałabym dłużej. Kluczem okazały się słowa Garzona: „Proszę nas zostawić samych”. Przecież byliśmy na wyjeździe w Madrycie, a do momentu rozpoczęcia „akcji” pozostawało jeszcze sporo czasu. Jak tylko zamkną się za mną drzwi restauracji, moi koledzy zaraz pobiegną obalić kilka whisky w barze topless. W gruncie rzeczy podinspektor nie miał zbyt wiele szczęścia, wchodząc w parę ze mną. Postanowiłam zrekompensować mu to kiedyś, zapraszając go na najbardziej wyuzdany striptiz, jaki znajdziemy w mieście. Wychodząc, kiwnęłam im ręką. Za plecami pozostawiałam ich kilkugodzinną swobodę.

Recepcjonista w hotelu patrzył na mnie jak na zjawę. Miał swoje powody. Na wszelki wypadek powinnam po drodze unikać swego odbicia w lustrach. Nic jednak na to nie poradzę, że żyjemy w cywilizacji na wskroś narcystycznej - wszędzie mijalam masę zwierciadeł: w windzie, na korytarzu, przy wejściu do pokoju, we wnętrzu szafy i w łazience. Postanowiłam jednak twardo patrzeć w podłogę. Jak w legendach o wampirach i żywych trupach, moje odbicie znikło z tego świata.

Moliner i Garzon zlitowali się nade mną i dali pospać. Miałam o to do nich pretensję rano, kiedy zeszli na śniadanie. Oni za to tryskali humorem. Maggy wyśpiewała wszystko bez zająknięcia. Wpadła w popłoch. Od razu chciała dać Molinerowi dwieście tysięcy, a kiedy on złapał ją za gardło, mówiąc, że na pewno ma schowane znacznie więcej, rozkleiła się zupełnie. Nie miała więcej, wszystko wydała na wynajęcie przyzwoitego mieszkania. A reszta, gdzie reszta? Ten sknera Valdes dał jej mizerny milion peset za zamordowanie jednym strzałem Rosario Campos. Do tego, by zostać morderczynią, przekonała ją tak naprawdę obietnica, że nie straci pracy. Proste, banalny motyw, samo życie. Każdy może zostać płatnym zabójcą.

- Mówiła, że ciężko się złapać na porządną robotę - ironizował Moliner.

- Tak, kurwa mać, w dzisiejszych czasach, żeby utrzymać się na poważnym stanowisku, nie masz wyjścia, musisz mordować.

Śmiali się, jakby to rzeczywiście było takie śmieszne. Cudownie, dzięki topornej farsie i pewnie paru szturchnięciom, o których nie raczyli mi opowiedzieć, dwaj dzielni detektywi zdołali zde-maskować okrutną morderczynię, nieszczęsną diabolicę z najbardziej odrażającego moralnie dna.

- Co powiedziała, jak się ujawniłeś?

- Nawet nie przypuszczasz, jaki ona ma język! Puściła mi taką wiąchę w madryckiej łacinie, że chyba niewiele zrozumiałem. Ale możesz sobie wyobrazić: policjanci to skurwysyny i tym podobne uprzejmości. Musiałem się powstrzymać, żeby jej nie przyrznać.

- Udało ci się?

- Co?

- Powstrzymać.

- Petra, nie było użycia siły, chyba już mówiłem.

Garzon uznał, że to superokazja do komentarzy, które nut co dzień musiał zachować dla siebie.

- Pan nie wie, panie inspektorze, że inspektor Delicado to niezmordowana obrończyni przestępców, taka Matka Teresa zbrodniarzy.

Spojrzałam na niego ze smutkiem.

- Kurwa, Garzon, ależ ty się musisz przy mnie nacierpieć!

Zastygł, po czym postanowił obrócić wszystko w żart.

- Nieprawda, pani inspektor, z reguły wcale nie jest tak źle.

Westchnęłam. Bez wątplenia Garzon i ja stanowiliśmy duet dość szczególny na tle policyjnej codzienności, czego on na pewno żałował, i to nieraz. Ale słusznie zauważył, choć niby żartem, że nie zawsze było nieprzyjemnie. Na przykład w tym momencie mogliśmy już wrócić do Barcelony, wejść w progi naszych porzuconych mieszkań, odgrzać stare przyzwyczajenia i wreszcie przestać zasypiać w zimnych pokojach hotelowych. Czego więcej trzeba? Niestety, to zadane w duchu pytanie rozwiało resztki optymizmu, jakie zdołałam wyhodować na gruncie ostatnich wydarzeń. Stwierdzenia „sprawa zamknięta” - oto czego nam było jeszcze trzeba. Na nieszczęście nic nie wskazywało na to, że wkrótce je usłyszymy. Wciąż pozostawała niewyjaśniona tajemnicza śmierć Marty Merchan.

10

Bagaż Amandy stały spakowane w salonie. Miała zamiar zjeść ze mną kolację i zaraz potem wrócić prosto do swego domowego pogorzeliśka. Gdy weszłam z torbą podrózną, krzyknęła na mój widok i poprowadziła mnie do lustra.

- Przyjrzyj się sobie uważnie.

Przyjrzałam się. Włosy w kompletnym nieładzie, każdy kłak w inną stronę. Twarz zmęczona, bez makijażu. Miałam na sobie kompletnie wymiętoszony cienki czarny sweter.

- I co masz mi do powiedzenia?

- No... nie wiem.

- Uważasz, że to fantastyczny styl?

- Słuchaj, Amanda, pościg za mordercą to absorbujące zajęcie, człowiek nie ma czasu zadbać o siebie.

- Czyli coś jak zakochanie?

- Owszem, tylko bardziej syfiaste.

- Ale nigdy nie należy zapominać o własnym wyglądzie.

- Kiedy badam jakiś przypadek, tracę samoświadomość, odlatuję, żyję w innej rzeczywistości.

- Nieźle powiedziane. Myślisz, że też mogłabym zbadać jakiś przypadek?

- Twoja rzeczywistość nie jest tak beznadziejna.

- Jak się z nią spotkam, to dopiero dam ci znać.

- Wystarczy, że mi opowiesz, co robiłaś przez te kilka dni, i już mi dostarczysz niezłej rozrywki.

Wybuchnęła śmiechem.

- Tak, lepiej, żebym komuś opowiedziała, bo za parę miesięcy sama nie będę mogła w to uwierzyć. Słuchaj, wiesz, co powinniśmy zrobić? Weź prysznic, zrób się na bóstwo, a ja cię zapraszam na kolację do najlepszej restauracji w mieście.

Nie spodziewałam się zastać mojej siostry w tak karnawałowym nastroju. Ucieszyło mnie to. Może w ten sposób postanowiła stawić czoło najbliższej przyszłości.

Wzięłam prysznic, umyłam włosy, natarłam ciało perfumami w kremie. Amanda upierała się, że umaluje mi oczy, ale się sprzeciwiłam. Pewnie zabrzmi to niemiło, lecz nie miałam ochoty jeść z nią kolacji. Nie mijałam się z prawdą, kiedy jej mówiłam, że mając umysł pochłonięty jakąś sprawą, źle znoszę wszystko, co odciąga uwagę. A w tym momencie nie miałam głowy do niczego innego: tłukły mi się po niej tylko pytania: „Martę Merchan, kto? Dlaczego?”

Pojechałyśmy do Miasteczka Olimpijskiego. Zamówiłyśmy ryby. Amanda przypatrywała mi się z zadowoleniem.

- Od razu lepiej.

- To ty wyglądasz dużo lepiej niż wtedy, gdy przyjechałaś.

- To prawda. Kilka szaleństw i od razu poczułam się wspaniale.

- A teraz co zamierzasz?

- No, przede wszystkim to, od czego nie ma odwrotu. Wrócę do domu, pogadam z Enrique, uzgodnię kwestie związane z prawami opiekuńczymi, sprawy finansowe i... Jakoś pójdzie.

- To wszystko nie należy do przyjemności, mimo to...

- Mimo to...?

- Mimo to postaraj się rozstać z nim w przyjaźni. Robiąc sobie z niego wroga, niewiele zyskasz.

- Pewnie masz rację, ale potwornie mnie kusi, żeby go posłać w cholere.

- Ze sprawy, nad którą pracuję, dowiedziałam się, że są rozwodnicy, którzy potrafią się dogadać.

- Świat przestępczy zawsze może służyć za przykład.

- Ten świat jest bliżej, niż myślimy. Każdy ma szansę stać się przestępcą. Tego też się dowiedziałam.

- W końcu zdecyduję się załatwić Enrique. Taka zbrodnia w afekcie, od której włosy stają dęba.

- Zadzierzgnęłaś niezłe znajomości w policji, więc możesz sobie pewnie na to pozwolić. Zawsze ktoś ci da alibi - (Zaśmiała się serdecznie). - Amanda, pytam poważnie. Co zamierzasz?

- Zabawne, Petra! Nagle przypomniałaś sobie, że jesteś moją siostrą, i mówisz rzeczy, które zwykle mówi się w takich przypadkach. A w głębi duszy nic cię to nie obchodzi.

- Obchodzi mnie to, żebyś nie popadła w nimfomanię. Albo przeciwnie, żebyś za życia nie zamknęła się w grobie...

- Ba, możesz być spokojna! Postąpię tak, jak mi nakaze rozsądek. Żeby cię uspokoić: epokę bzykania z gliniarzami uważam za zakończoną.

- Cieszy mnie to. Przydało ci się na coś to doświadczenie?

- Tak. Czuję się już tak upokorzona, tak odsunięta na bok... A teraz, bez nadzoru, żyjąc na całego, bez opamiętania, jakbym powróciła w czasy młodości.

Spojrzałam na nią z uśmiechem i znów zaczęłam się o nią martwić. Najgorsze było ciągle przed nią: prawdziwe rozstanie, widok opuszczonego domu, pustego łóżka... Przypomniałam sobie słowa Molinera w dniu, kiedy jego to spotkało.

- Amanda, zacznij znowu pracować, to bardzo ważne.

- Spokojna głowa, zrobię to.

Odniosłam wrażenie, że po wyjeździe Amandy dom jest pusty, pewnie dlatego, że ostatnio sama długo byłam w nim nieobecna. W lodówce znajdowały się tylko smutna resztką sera camembert i nadpsute jabłko. Nieważne, mogłam sobie w każdym razie nalać whisky na dwa palce i posłuchać Beethovena. Zrobiłam to przed pójściem spać, jak w dawnych, dobrych, cywilizowanych czasach, kiedy prowadziłam dochodzenia w sprawie pojedynczych zabójstw i nie musiałam spędzać życia w wahadłowcu na trasie Barcelona-Madryt. Ale nadaremno, nie zrelaksowałam się ani na chwilę, bo w moim wnętrzu cały czas bębniło to samo nierozstrzygnięte pytanie: „Kto i dlaczego?”

Pierwsze spotkanie z Coronasem było jak mordercza bitwa. Nie starczyło nam czasu na przygotowanie, dlatego stawiliśmy się u niego w gabinecie ze stertami papierów i raportów, które ewidentnie wymagały uporządkowania. Chaos wzmogło nadejście Molinera. Narada przypominała raczej policyjną układankę: każdy przyniósł swój kawałek, który w dodatku na pierwszy rzut oka nie pasował do reszty.

Pamiętając, jak cięty bywał komisarz ostatnio, bałam się, że w każdej chwili może nas posłać do diabła. Jednak nie. Z jakiegoś tajemniczego powodu stan ducha szefa uległ zasadniczej zmianie. Teraz Coronas był w błogim nastroju, jak prowincjał zakonu, i cierpliwy niczym oddziałowa w szpitalu dziecięcym. Przyjął nas z pogodną twarzą i ani razu się nie żołądkował, gdy dzieliliśmy się wątpliwościami. Powtarzał pytania tyle razy, ile było trzeba, i czekał grzecznie na odpowiedź. My tymczasem przerzucaliśmy się świeżymi wyciągami z komputera i usiłowaliśmy je poskładać w jakąś spójną całość.

Na koniec zapytał:

- A czy macie choćby cień domysłu, kto zabił Martę Merchan?

Dokładnie tego się obawiałam. Starając się unikać oględnych monosylab, zaryzykowałam.

- Panie komisarzu, zdaje się, że tu właśnie utknęliśmy. Mamy wszystkie elementy i żadnemu nie brakuje wyjaśnienia. Wszystko pasuje. Żaden ślad nie prowadzi nas do potencjalnego mordercy.

- Na pewno wszystko macie posprawdzone?

- Została tylko robota papierkowa i podsumowanie - odezwał się Moliner.

- Świetnie, w takim razie zajmijcie się tym. Wyczyśćcie raporty, uporządkujcie je - przesłuchania, wyniki badań balistycznych, sprawy finansowe, kopie z rejestrów. Zestawcie wszystko do kupy i zamknijcie się gdzieś z całym materiałem. W takiej postaci to wymaga niezwykłej uwagi. Szczerze się zdziwię, jak znajdziecie tam dalszy trop.

Wyszliśmy cichutko we trójkę z gabinetu, podejrzewając, że zły humor Coronasa chyba zełżał. Ośmieliłam się nawet wygłosić uwagę na ten temat, na co Garzon odrzekł:

- Krążą plotki, że miał problemy małżeńskie, ale podobno jest już lepiej.

- A skąd niby ludzie mieliby się o tym dowiedzieć?!

Wtrącił się Moliner ze zrezygnowaną miną.

- Tu najbardziej prywatne szczegóły natychmiast wyłażą na jaw. Pomyślcie, co o mnie mówili: „Boże, żona go rzuciła!”

- Przejmujesz się?

Wyprzedził nas znacznie, więc nawet nie wiedziałam, czy nie mamrocze zwięzłego „nie”.

- Chyba nas zaatakował wirus małżeński - odezwał się Garzon.

- Ciebie nie powinno to chyba specjalnie obchodzić.

- Ja to się kiedyś ożenię, choćby tylko po to, pani inspektor, żeby panią zadziwić.

- Nie licz na to, Garzon. Dzięki plotkom w komisariacie Petra będzie od razu na bieżąco - ciągnął swoje Moliner.

Pożegnaliśmy się. Teraz każde z nas czekało kilka godzin pracy w samotności.

Może wydawało się dziwne, że komisarz zlecił nam pracę papierkową po tym, jak osiągnęliśmy wyżyny w sztuce śledczej. Wystarczył jednak rzut oka na moje biurko, by zmienić zdanie. Sterta papierów, do tego pliki w komputerze, a w dalszej przyszłości jeszcze benedyktyńskie porównywanie danych, którymi dysponowała nasza trójka.

Przystąpiłam do roboty z dużymi oporami, przekonana, że naprawdę trudno znaleźć diament na drodze, którą szło się już tyle razy. Jednak na taki sposób myślenia żaden policjant nigdy nie powinien sobie pozwalać. Nikt nie potyka się o diament, choćby nie wiem jak zawęzić poszukiwania. Najczęściej, przechodząc, przypadkowo dostrzeżesz jego błysk w kałuży. Dobry policjant staje i przygląda się uważnie. Zły idzie dalej w nadziei, że trafi na cały, piękny okaz.

Po jakimś czasie zadzwonił Garzon.

- Pani inspektor, co by pani powiedziała na małą kawkę w „La Jarra de Oro”? Ta papierkowa robota mnie dobija.

- Powiem krótko: nie. Co oznacza, że ty też nie powinienes iść.

- Do dupy! Panią gdzieś zaprosić to naprawdę...

- Pracuj, podinspektor, pracuj. Właśnie doszłam do wniosku, że drobne tropy ukryte pośród zeschniętych liści to w sam raz materiał dla dobrego policjanta.

- To jak przykazania Konfucjusza dla gliniarzy.

Odłożyłam słuchawkę. Nie byłam dostatecznie przekonana do swojej maksy, żeby teraz brnąć w komentarze.

Dwie godziny później to ja zadzwoniłam do Garzona.

- Mniej więcej mam wszystko gotowe. Jak u ciebie?

- Skończyłem już z godzinę temu, ale wolałem się nie przyznawać, żeby mi pani nie kazała podłóg szorować, bo niby czasu mam za dużo.

- A co u Molinera?

- Już do niego dzwonię.

Spotkaliśmy się w konferencyjnej pół godziny później. Wszyscy zdążyliśmy zrobić swoje, zaczęliśmy więc zestawiać dane, żeby uzyskać jakąś w miarę obiektywną opowieść. Nie było to łatwe, ciągle gubiliśmy trop, wybiegaliśmy to naprzód, to wstecz. Za dużo mieliśmy materiału, żeby się w tym spokojnie połapać. Zrobiliśmy więc kopie dla każdego i umówiliśmy się ponownie na następny dzień. Nie wyglądało na to, że osiągniemy jakikolwiek postęp, jeżeli każde z nas nie przestuduje uważnie całości.

Coronas przyglądał się owym manewrom z pewnej odległości. Na pewno zastanawiał się przy tym, jak daleko sięga nasza nieskuteczność albo jaką część tych zabiegów stanowi rzetelna praca.

Nasiadówki ciągnęły się jeszcze cały kolejny dzień, ale nie doszliśmy do żadnego odkrywczego wniosku, jakiego wcześniej już byśmy nie obrobili. Wspaniały diament nie chciał się objawić, nie było nawet kałuż, w których można by dostrzec jego lśnienie. Pozostawał tylko jeden niewyjaśniony wątek: czy ostatnio Valdes dostał jakąś zapłatę w związku ze sprawą ministra? Wyciągi z konta na to nie wskazywały, ale co z tego? Czy powinniśmy się zatrzymywać akurat nad tą historią, od której zaczęła się jatka? Czy rzuci jakiś cień na całość materiału? Nie sądziliśmy, mimo to rzecz wymagała rozwiązania. Moje stosunki z Nogalesem po tym, jak go podstępnie podpuściłam, z pewnością nie pozwalały mieć nadziei, że zgodzi się nam powiedzieć, czy wypłacił Valdesowi zaległą dolę za ministra. Czy zresztą coś to zmieni, jeśli się okaże, że te pieniądze rzeczywiście istnieją? Zapewne nie. Nie ma chyba znaczenia, czy Valdes przechowywał dodatkowo jakąś sumę w skarpecie albo czy służąca Marty Merchan trzymała te pieniądze w szafie.

A jednak w momencie, gdy wypowiedziałam te niemal retoryczne pytania, coś mnie zastanowiło.

- Słuchajcie, a gdzie Valdes mógł trzymać pieniądze, zanim je zawoził do Szwajcarii?

Koledzy chyba pomyśleli, że długie godziny pracy doprowadziły mnie do kompletnego zidionienia.

- No, albo u siebie w domu, albo u służącej Marty Merchan, albo u kochanki.

- W porządku, we własnym domu na pewno by się bał, przecież cały czas był poddawany naciskom: ktoś mógł zacząć węszyć, któryś z wrogów mógł wynająć detektywa. Poza tym nie miał sejfu ani żadnej skrytki, która dawałaby minimum zabezpieczenia. Możliwe, że przechowywał forsy w mieszkaniu kuchy byłej żony. Co do Pepity Lizarran, to nie sądzę, żeby w ogóle była wprowadzona w tę całą kabałę.

- Takie mieliśmy wrażenie, jak ją przesłuchiwaaliśmy. Na jej koncie nie ma żadnych dziwnych sum, ale jak pani chce, możemy przeszukać jej dom - zaferował usłużnie Garzon.

Moliner patrzył na mnie z niejaką wyrozumiałością.

- Petra - rzekł wreszcie - nie sądzisz, że kwestia, kto był skarbnikiem przejściowym, nie ma specjalnego znaczenia? Jeżeli ktoś ukrywał jakieś pieniądze, już dawno zdążył się ich pozbyć.

Skinęłam głową. Między wierszami dał zdaje się do zrozumienia, że dzielę włos na czworo. Garzon też chyba to dostrzegł, bo zerknął na mnie lekko zaambarasowany.

- Jeśli to panią uspokoi - rzucił - mogę zaraz pójść do Pepity, nie ma sprawy.

Podziękowałam mu za to, że wykazał się takim absolutnym posłuszeństwem, ale pokręciłam głową.

- Nie, daj spokój. To chyba niepotrzebne. Nie ma wątpliwości, że... morderca Marty Merchan sam zaczął przeszukiwać jej mieszkanie. Może myślał, że znajdzie tam pieniądze, bo nie wiedział nic o schowku u służącej.

Moliner podskoczył gwałtownie, jak pajacyk na sprężynie.

- Słuchaj, Petra, ja rozumiem, że to cię nie przekonuje, więc nalegam, byśmy przesłuchali wszystkich jeszcze raz. Dotąd głównie ja prowadziłem rozmowy, a to naprawdę lekkomyślne. Co

byśmy zrobili, gdyby to był sam początek śledztwa? Przesłuchalibyśmy wszystkich zamieszanych po parę razy! Musimy zacząć cały korowód na nowo.

Westchnęłam i skrzywiłam się niezadowolona.

- Wystarczy, że mówisz „początek śledztwa”, a już mi się żołądek skręca.

- Ale jeśli nie mijasz się z prawdą, to właśnie tak może być. Przypuśćmy, że Marta Merchan się wygadała i wciągnęła w to wszystko kogoś, o kim nie mamy pojęcia. Do diabła! Zaczynamy właściwie od zera. Czyli nowe śledztwo.

- Serio myślisz, że po świecie łążą stada morderców?

- Myślę, że po świecie, który otaczał naszych ulubieńców, łążą stada ludzi żyjących ponad stan. A to już prosta droga do zabójstwa dla pieniędzy.

Podrapałam się po głowie jak mała na wczesnym etapie rozwoju naczelnych.

- Boże! Mogę złożyć dymisję, a ty przejmiesz sprawę. Wypożyczam ci podinspektora Garzona.

- Chciałabyś. Nawet nie wspominaj o tym Coronasowi! Co najwyżej mogę go poprosić, żeby przydzielił nam dodatkowo Rodrigueza.

Zniechęcona, kiwnęłam parę razy głową.

- Zgoda - bąknęłam w końcu. - Zaczynamy tę sprawę na nowo, i to, kurwa, natychmiast.

- A jaka różnica, jeden trup więcej czy mniej? Śledztwo to śledztwo!

- Czasem lubię odmianę.

- Przestań się cackać ze sobą. Zamówię raport o środowisku zawodowym Marty Merchan. Rodriguez i ja zasięgniemy języka na temat jej przyjaciół. Popytamy w rodzinie. A wy przesłuchajcie jeszcze raz tych, których ja obrabiałem. Zaraz wracam.

Wyszedł z gabinetu. Spojrzałam na Garzona.

- A ten już rozkazuje! - zawołałam.

Mój partner miał nastroszoną i nieobecną minę.

- Mnie tam wszystko jedno, ja jestem jak odkurzacz, który się pożyczka sąsiadowi z czwartego piętra.

Najwidoczniej poczuł się urażony moją propozycją, że go wypożyczę do pomocy Molinerowi.

- A ty nie rozumiesz, że to była ironia?! Oj, pieścisz się, Fermin! Sądziłam, że stworzymy bardziej zgrany zespół.

Chyba go przekonałam, bo zaczął pomstować w nieskończoność, ileż to godzin już pracuje bez jednej skromnej kawki, po czym zaproponował, byśmy wypili ją wspólnie, więc też wyszliśmy. Moliner chciał wydestylować jakieś konkrety w sprawie „nowego śledztwa”, ale to nie oznaczało, że mamy go słuchać, jakby był Napoleonem. Ewentualne „nowe śledztwo” mogło poczekać z pół godziny.

Do perspektywy ponownego badania okoliczności śmierci Marty Merchan odniosłam się niechętnie, aczkolwiek nie wskutek zwykłego lenistwa czy klaustrofobii. W głębi duszy byłam nadal przekonana, że jej śmierć to część sprawy Valdesa. Przecież to wszystko razem przypominało film klasy B, gdzie ludzie załatwiają porachunki bez namysłu i najchętniej strzałem w serce! Zgoda, możemy przyjąć, że pieniądze same z siebie prowokują do mordowania, ale przecież na Wall Street nikt nie tarza się we krwi. Dlatego na ten etap śledztwa spoglądałam trochę inaczej niż mój kolega Moliner.

Oczywiście Coronas kłął w żywy kamień, ale przystał na nasze ustalenia. Nie miał w tym momencie specjalnego wyboru. Ostrzegł jednak, że jeśli po upływie jakiegoś czasu nie wyjaśnimy sprawy, odsunie Molinera albo mnie od dochodzenia i skończą się te kombinacje równoległe.

Skoro czekała nas powtórka z przesłuchań, musieliśmy złożyć rewizytę Raquel Valdes. W tym celu niezbędne było zezwolenie sędziego, ponieważ zamierzaliśmy spotkać się z nieletnią, w dodatku przebywającą pod ścisłą ochroną. Nie uzyskaliśmy zgody na przeprowadzenie rozmowy w komisariacie, musieliśmy zatem pofatygować się do domu jej ciotki, starszej siostry Marty Merchan.

Wymowny był chłód, z jakim nas przyjęła. Margarita Merchan wyjechała z całą serią obiekcji i wyrzutów, na które byliśmy przygotowani: ostrożnie z dzieckiem, przechodzi straszny dramat, nie wolno dręczyć jej bolesnymi wspomnieniami ani za bardzo dociekliwymi pytaniami. Kiwalimy głowami z uprzejmością równą tej, którą sama się wykazała. Wyszło jednak na to, że zachowujemy się zbyt dyplomatycznie, bo dama uznała za stosowne powtórzyć swoje warunki jeszcze raz. Nie wytrzymałam i przerwałam jej, pytając wprost:

- Chwileczkę, co pani woli, uchronić siostrzenicę przed ewentualnym urazem czy dowiedzieć się, kto zabił pani siostrę?

Była to wytworna, światowa kobieta, więc nie udało mi się wytrącić jej z równowagi. Odpowiedziała pewnym głosem, nie tracąc kontenansu.

- Pani inspektor, nigdy nie pochwalałam tego, jak żyła moja siostra, także jej fatalnego małżeństwa, które, być może, stało się przyczyną jej śmierci. Ta dziewczyna to jedyne dobro, jakie zawdzięczamy Marcie, i nie pozwolę, żeby ją jeszcze dobijać.

Poucządzając nas w ten sposób, nadmieniła, że w przesłuchaniu weźmie udział psycholog, wyznaczony przez Biuro Ochrony Nieletnich. Rozmowę mieliśmy odbyć w salonie. O, w dupę! Facet mógł się okazać nieprzejednany i wtedy groziło nam gadanie o kwiatkach, jak w przedszkolu. Było przynajmniej oczywiste, że siostra denatki jest tego samego zdania co ja: że zabójca należy do kręgu Valdesa. Nie mamy więc po co węszyć wśród kontaktów zawodowych Marty.

Psycholog okazał się młodzieńcem o wyglądzie piosenkarza z lat pięćdziesiątych. Ani razu ust nawet nie otworzył. Moglibyśmy wpędzić dziewczynę w nieuleczalne koszmary, a on i tak by się nie wtrącił. Zresztą na jedno wychodziło, bo córka Valdesa też nie wykazała się elokwencją. Nic nie wiedziała, a jeżeli nawet coś jeszcze tliło się w jej pamięci, zapewne zamierzała o tym zapomnieć. Cały czas odsyłała nas do rozmowy, którą odbyła z Molinerem. Uznałam, że wykonujemy kompletnie zbędną robotę, więc daliśmy jej spokój.

Kolejny raz wracaliśmy z pustymi rękoma i zupełnym brakiem motywacji do dalszych działań. Nie udało nam się dotychczas odpocząć po tych kilku dniach, które spędziliśmy między Madrytem a Barceloną, tropiąc masę podejrzanych na drodze pełnej przeszkód.

Garzon rzucił:

- No, to została nam tylko pogawędka z kuchcią. Jeśli będzie równie rozmowna jak mała, to skończymy raz-dwa!

- Została zatrzymana?

- Nie, ale sędzia uznał, że jest zamieszana, więc będzie musiała złożyć zeznanie. - (Westchnęłam głęboko). - Co, już straciła pani ochotę dowiedzieć się, kto zabił Martę Merchan?

- Wiesz, co straciłam? Siłę, kochany podinspektorze. Przydałyby mi się jakieś wakacje. Ale żeby nie mówili, że się migamy, to do dzieła! Chyba zdjęcia trupa mogą nam pomóc w tej rozmowie. Powinny zrobić na niej wrażenie.

- Musimy po nie pójść do komisariatu. Najgorsze, że...

- ...że Coronas może nas tam zobaczyć i pomyśli, że się objamamy.

- Objamamy? I kto to mówi? Fermin, trochę wiary!

- Podejrzewam, że jedno jest pewne: Moliner i Rodriguez zgarną wszystkie zaszczyty, jeśli nas ubiegną.

- Chcesz wiedzieć, co mnie to obchodzi?

- Ja to już wiem, pani inspektor, i to aż za dobrze. Tyle co gówno w przerębli, czyż nie tak?

- Otóż to, gówno w przerębli, ni mniej, ni więcej. A ciebie to obchodzi cokolwiek?

- No... ja to... strasznie się narobiliśmy przy tej sprawie i szkoda by było, żeby w ostatniej chwili...

- Wyluzuj się, przyjacielu, na cóż dobremu policjantowi zaszczyty tego świata?

Uniósł znacząco brwi i westchnął z rezygnacją.

Fotografie zwłok Marty Merchan, zrobione przez naszych kolegów, były naprawdę porażające. Krew jaskrawo kontrastowała z bielą skóry tej pięknej kobiety. Godne uwagi było to, że wszystkie ciosy zadane zostały w okolicy piersi i szyi, reszta ciała była nietknięta. Na twarzy denatki nie malowało się cierpienie, sprawiała raczej wrażenie pogrążonej w głębokim śnie. Dłonie miała zaciśnięte. Upadając, stłukła sobie jeszcze czoło, o czym świadczył spory siniak. Przyglądałam się jej wnikliwie.

- Absurdalna śmierć - orzekł mój kolega.

- A jaka nie jest? Ale my musimy założyć, że zrobiła coś, co przywiodło kogoś do morderstwa. Zastanawia mnie, co to było.

Milczeliśmy dłuższą chwilę.

- Może chciała wszystko ujawnić? - zasugerował Fermin.

Pokręciłam głową bez entuzjazmu.

- Idziemy?
- Tak, póki nie ma komisarza. Co teraz?
- Weź ze sobą zdjęcia. I nie chcę nawet wiedzieć, czy wolno nam je wynosić.

Encarnación Bermudez, służąca-skarbniczka, wcale się nie zdziwiła, widząc w drzwiach ponownie parę policjantów. Zdawała sobie doskonale sprawę, że dni jej swobody są policzone. Co oczywiście nie znaczy, że przyjęła nas z otwartymi ramionami. Odniosłam wrażenie, że wolałaby raczej od razu na progu zamienić nas wzrokiem w kamień.

Muszę przyznać, że wcale nie miałam jej tego za złe. W tych warunkach trudno było wymagać od niej ogłady. Domostwo miała mroczne, zimne, małe i przygnębiające. Ojej życiu wiedzieliśmy już co nieco z raportów. Samotna, pracowała dzień w dzień po dziesięć godzin. Jeszcze tylko brakowało, żeby trafić do kartotek wymiaru sprawiedliwości!

Szczerze mówiąc, kiedy przed nią stanęłam, nie wiedziałam, co robić: czy zaatakować ją potokiem słów, czy raczej uderzyć w ton współczucia. Najchętniej wyszłabym bez pożegnania.

- Pani Encarnación, potrzebujemy pani pomocy.
- To raczej ja tu potrzebuję pomocy, proszę pani.
- Postaramy się - odparłam i sama się zawstydydziłam tej odzywki.

Zaprowadziła nas do ciasnego pokoiku, zagraconego meblami. Z jednego z dalszych pomieszczeń dochodziła nastawiona na cały regulator muzyka heavymetalowa. Kobieta zamknęła drzwi, żeby nam nie przeszkadzało, i we trójkę usiedliśmy na plastikowych fotelach.

- Jak mogą mi państwo pomóc?

- Mogę napisać w raporcie, że wykazała pani maksymalną wolę współpracy, i zalecić, żeby zaprowadzono panią do sędziego śledczego.

- I to mi pomoże?

- Na pewno bardziej, niż gdybyśmy niczego nie zrobili.

Popatrzyła ze smutkiem na dłonie, które trzymała na kolanach.

- Chyba już wolałabym się w ogóle nie urodzić - powiedziała z teatralną rezygnacją, z jaką prości ludzie opowiadają o swoich nieszczęściach.

- Pani Encarnación, chcielibyśmy wiedzieć, co się stało z ostatnią częścią pieniędzy przekazanych Marcie Merchan. Czy ona prosiła, żeby pani je przechowała?

Zaniepokojona, złączyła dłonie w błagalnym geście.

- Koledzy państwa mi nie uwierzyli i szukali jeszcze jakichś pieniędzy po całym domu. Wyrócili tu wszystko do góry nogami i niczego nie znaleźli. To czego państwo jeszcze tu chcą szukać, co?

- Niczego, proszę się nie niepokoić. My wierzymy pani na słowo. Interesuje nas tylko, czy Marta zapowiadała, że przyniesie pani nową sumę do ukrycia, czy cokolwiek wspominała.

Umilkła i spuściła wzrok. Po chwili wyszeptwała:

- Jeżeli powiem, że tak, to zaraz będą państwo podejrzewać, że je gdzieś schowałam. Mam kałać własne gniazdo?

- Tak, pani Encarnación, o to właśnie nam chodzi, bo ten, co kała własne gniazdo, dowodzi przy okazji, że nie kłamie. A to, czy zapowiadała kolejne pieniądze, może się okazać kluczowe dla wyjaśnienia, kto ją zamordował.

- No dobrze, w takim razie zgadza się. Kilka dni przed śmiercią pani mówiła, że przyjdzie do mnie z kolejną wizytą. W ten sposób dawała mi do zrozumienia, że przyniesie pieniądze. Ale już niczego nie przyniosła, jak mamę kocham.

- A wspominała, że będzie jakieś opóźnienie, że jest jakiś problem, umawiała się na potem?

- Nic takiego nie powiedziała, ja też jej nie pytałam. Normalnie to mówiła, że przyjdzie, a po paru dniach tylko mnie prosiła: „Dziś wieczorem nigdzie nie wychodź, bo będę u ciebie”. I jeszcze, żeby w domu poza mną nikogo nie było, nawet dzieci. Ale wtedy to powiedziała tylko, że się zjawi za kilka dni, nic więcej. Myślałam, że przyjdzie prędzej czy później, nawet się nad tym nie zastanawiałam. Potem już nie wróciłyśmy do tego tematu.

- Może dlatego, że ją zabili?

- Nie wiem.

Wybuchnęła płaczem i przez łzy wykrztusiła:

- Czasami to budzę się w środku nocy i wydaje mi się, że to tylko zły sen, że pani dalej żyje...

- Niestety, pani Encarnación, to nie sen.
- Napisze o mnie pani dobrze temu sędziemu?
- Obiecuję.

- Tak naprawdę to nie wierzę, że to coś pomoże. Wsadzą mnie do więzienia, a moje najmłodsze dadzą do jakiegoś ośrodka. A wszystko dlatego, że człowiek chciał zarobić kilka peset.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, równie ciasną i mroczną jak mieszkanie służącej, zwróciłam się do podinspektora.

- Nawet nie trzeba było jej pokazywać zdjęć.
- Jak pani sądzi, mówi prawdę?
- Mogę się założyć. To uczciwa osoba, inaczej Marta Merchan by jej nie zaufała.
- Osoba uczciwa domyśla się, że to jakieś podejrzone pieniądze, i idzie na policję.

Spojrzałam na niego kpiąco.

- Jak sądzisz, jaki procent społeczeństwa tak by postąpił?

Odparł z taką samą kpinią w głosie:

- Nie wiem, a co, z osiemdziesiąt?

- Widzę, że nie masz zaufania do Hiszpanów, Fermin. Czemu nie powiedziałaś, że sto procent?

- Bo uznałem, że to przesada.

- Kto wie.

- No i dobrze, pani inspektor, ma pani, co pani chciała. Była sobie koperta z pieniędzmi i co się z nią stało?

- Może nigdy nie dotarła do Marty Merchan, a nawet do Valdesa, może ta kobieta kłamie. Albo może nawet forsa dalej jest gdzieś w mieszkaniu Marty. Może byśmy się tam przeszli?

- Ale cała willa została już przeszukana! - zaoponował Garzon.

Machnęłam ręką. Z pewnością nie miałam ochoty spotkać się teraz z Molinerem i Rodriguezem, którzy być może mieli za sobą kompletnie bezowocny dzień.

Pierwszy kłopot polegał na tym, że dom został opieczętowany przez sędziego. Zwróciliśmy się więc do Coronasa, choć tego akurat podinspektor chciał uniknąć. Komisarz już nie znajdował w ustach przekleństw, jakie jeszcze mógłby na nas rzucić. Przekonywałam, że chcę tylko powtórzyć wszystkie kroki, jakie wcześniej zrobił Moliner pod naszą nieobecność. Coronas miał wielką ochotę odesłać nas w cholere, ale się powstrzymał. Zamiast tego wynegocjował z sędzią prowadzącym sprawę Marty Merchan, żeby ten zezwolił na jeszcze jedną wizję lokalną. Na przeszukanie jednak nie wyraził zgody. Tym samym zostaliśmy ostrzeżeni, że żaden przedmiot nie może być wyniesiony z domu ani dołączony do akt bez osobistej asysty sędziego na miejscu zbrodni.

- W porządku - odrzekłam, patrząc mu zmęczonym wzrokiem w oczy. Po czym dodałam: - Dziękuję, panie komisarzu, naprawdę ma pan podejście do sędziów.

Zdaje się, że nabrał dla mnie współczucia, widząc, że osiągnęłam skraj wyczerpania i upadłam na duchu. Garzon ciągnął mnie za rękaw, żebyśmy wyszli, zanim komisarz się zorientuje i odezwie się w nim dawna brutalność.

Było już późno, z trudem dźwigałam ciężar zmęczenia. W samochodzie przysnęłam z głową opartą na zagłówku. Mój partner, zobaczywszy, w jakim jestem stanie, postanowił mnie nie budzić aż do Sant Cugat. Kiedy zaparkował, otworzyłam oczy w ciemności i rozejrzałam się, usiłując sobie przypomnieć, co to za miejsce.

- Pani inspektor, mam wejść sam? Skoro to tylko zwykła wizja lokalna, może sobie pani jeszcze odpocząć w samochodzie.

- Nie, dzięki, idziemy razem.

Zbliżaliśmy się do drzwi Marty Merchan, skuleni w przejmującej wilgoci. Z sąsiedztwa dobiegały dźwięki muzyki. Przeszliśmy niewielki nieoświetlony ogród i zatrzymaliśmy się przed policyjnymi pieczęciami, które nasi koledzy niedawno założyli. Garzon zdjął je, po czym długo szukał kluczy. Kiedy wreszcie udało się nam wejść, podinspektor stoczył kolejną walkę, tym razem z włącznikami prądu. Minutę później szliśmy obydwój wzdłuż ścian, a mój kolega zapalał po kolei wszystkie światła. Naszym oczom ukazał się wreszcie widmowy salon i korytarze, po których snuł się nieokreślony, słodkawy zapach.

Miejsce zbrodni przedstawiało okropny widok. Plamy krwi na fotelu i dywanie, cisza pokryta kurzem. Na sofie leżała przewrócona lampa. Czas zatrzymał także pośpiech, z jakim morderca

przeszukiwał mieszkanie: pootwierane czasopisma, puste koperty...

Garzon poruszał się po domu dyskretnie i cicho jak kot. Nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem. W powietrzu czuło się obecność ducha zmarłej, może była tu też aura jej zabójcy. Na stoliku pośrodku pokoju leżała książka z zakładką mniej więcej w połowie. Jakiś amerykański kryminał. Marta nie zdążyła się dowiedzieć, kto zabił. Tak właśnie żyła Marta Merchan, w sposób wytworny i wydumany. Najważniejszy był odpowiedni styl życia, ważniejszy niż spokój, który zdołałaby zachować, gdyby nie mieszała się w mętne interesy.

Szukałam dalej.

- Co jest na górze? - zapytałam Garzona.

- Sypialnie, ale Moliner napisał w raporcie, że morderca nie mógł się tam dostać. Wszedł tylko do gabinetu.

Nie odpowiedziałam. Zaczęłam wspinać się po schodach, zostawiając podinspektora sam na sam z segregatorem, który leżał na biurku. Na ścianie wisiały zasuszone kwiaty w ramkach.

Zatrzymałam się na górze, spoglądając na troje zamkniętych drzwi. Otwarłam pierwsze, zapaliłam światło. Sypialnia Raquel Valdes, pełna książek, młodzieżowych plakatów, trochę lalek... Po pozostałości dzieciństwa, z którym teraz musiała się definitywnie pożegnać. Nagle ogarnęła mnie wielka ochota sprawdzenia, jak spała Marta Merchan, co -miałam tego świadomość - było przejawem czystego wścibstwa. Zawróciłam na pięcie i udałam się do drugiego pokoju. Włączyłam światło. Wielkie łóżko małżeńskie dowodziło, że trafiłam właściwie. I nagle, jakby mnie piorun strzelił, doznałam objawienia. Patrzyłam, rozglądałam się po pokoju, chcąc się upewnić, że to, co mam przed oczami, to prawda. Z podniecenia aż głos odmówił mi posłuszeństwa. Powoli, walcząc z nerwowym skurczem, zbliżyłam się do schodów i krzyknęłam:

- Chodź, Fermin, szybko!

Podinspektor przybiegł momentalnie, dysząc, z pistoletem w pogotowiu.

- Co się dzieje?

- Spójrz. - Szerokim gestem pokazałam mu całą sypialnię.

Garzon rozglądał się, nieco naburmuszony.

- Co? - zapytał tępo.

Podeszłam do mebli i jak w jakimś wystudiowanym tańcu zaczęłam dotykać frędzelków związających dosłownie zewsząd: z baldachimu nad łóżem, z fotela do czytania, z toaletki, z zasłonek, z poduszczek leżących na kapie.

- Masz pojęcie, Fermin? Frędzelki w kolorze cytrynowym, wszędzie te obrzydliwe frędzelki! Założę się, że w ciągu ostatniego roku Marta Merchan zmieniała wystrój domu. Widziałeś coś może w rachunkach?

- No, nie wiem, nie zwróciłem uwagi.

Zbiegliśmy na dół. Tam rzuciłam się do segregatora domowego, który podinspektor dopiero co przeglądał. Kolejne pokwitowania łądowały na ziemi, tworząc bezkształtną stertę. Wreszcie znalazłam to, co mnie interesowało.

- Popatrz: rachunek za zasłony. Jaka data...? Pół roku temu! Masz pojęcie? - spytałam, oszołomiona własnym znaleziskiem. Garzon wciąż patrzył na mnie mętym wzrokiem, z otwartymi ustami. Położyłam mu dłonie na ramionach i niezwykle dumna z własnego sprytu dodałam: - Zdaje się, że serdeczne porozumienie, jakie tworzyła ta para rozwodników, było znacznie ściślejsze, niż się nam wydawało, drogi kolego. To była autentyczna rodzina!

Należało spokojnie rozważyć dalsze działanie, bo każdy fałszywy krok mógł nas drogo kosztować. Gdybyśmy z gwizdkami w ustach pobiegli do Pepity Lizarran i przedstawili jej frędzelki jako podstawę zatrzymania, Coronas zeżarłby moją wątrobę. Musieliśmy opracować strategię, która przewidywała między innymi, że chwilowo nie podzielimy się naszą niemal pewnością z Molinerem. Szczerze mówiąc, jeśli bym stanęła teraz przed doświadczonym policjantem i przedstawiła mu panoramę historii sztuki dekoratorskiej, byłoby to ze wszech miar dziwne. Ja sama raczej nie skłaniałam się ku takiemu obrotowi rzeczy, a co dopiero podinspektor! Dla niego cała afery z frędzelkami była jakimś kosmicznym szaleństwem, które mogliśmy słono przypłacić. Wprawdzie przypominałam mu z dumą dobry wynik uzyskany dzięki frędzelkom poprzednim razem, ale Garzon wciąż się obawiał, że staniemy przed Pepitą Lizarran z garścią posplatanych nici, a to jego zdaniem nie wystarczało. Wy tłumaczyłam mu więc dogłębnie i szczegółowo, by pojął wreszcie, że wszystko idealnie pasuje. W końcu poczuł się chyba zmęczony, a może przekonany, w każdym ra-

zie zakrył twarz dłońmi i rzekł:

- W porządku, pani inspektor, w porządku, wyjdźmy z tego punktu i opracujmy jakiś plan, jeżeli to w ogóle możliwe, ale błagam panią o jedno: niech pani nikomu nie wspomina o frędzelkach, dopóki nie będzie to sprawą życia i śmierci.

Właściwie nawet go rozumiałam: męska skala wartości nakazuje wystrzegać się ośmieszenia, choćby i pozornego. Przemilczałam więc kwestię frędzelków, powiedziałam tylko Coronasowi o moich poważnych podejrzeniach, że to Pepita Lizarran zrobiła wystrój sypialni Marty Merchan. Coronas miał już machnąć ręką na moje znalezisko, ale go zaszachowałam.

- A skoro robiła wystrój, panie komisarzu, to znaczy, że się znały, co dotąd nikomu nie przyszło do głowy. Skoro zaś się znały, mogła ją zabić. Budowa fizyczna mordercy odpowiada budowie tej kobiety.

- A motyw?

- Pieniądze. Doszła do wniosku, że ostatnie pieniądze, jakie wypłacono Valdesowi, powinny się znaleźć pod jej kontrolą. Bez wątpienia znała na wylot cały mechanizm, czemu swego czasu zaprzeczała.

Aresztowanie Pepity Lizarran na podstawie jej gustu dekoratorskiego graniczyło z prawniczym nieprawdopodobieństwem, ale Garzon i ja udaliśmy się do niej na rozmowę. Ręce jej się trzęsły, gdy zaprzeczała wszelkim naszym sugestiom, ale swoją drogą trudno też stawiać kogokolwiek przed sądem za stan ducha podczas przesłuchania. Dużo ważniejsza okazała się jej odmowa poddania się badaniom DNA. To spowodowało, że sędziego zainteresowały nasze podejrzenia. Wreszcie, w obawie, że możemy wykorzystać odmowę przeciw niej, zgodziła się na analizę. Może uznała, że to tylko fortel mający zmusić ją do zeznań.

Kilka dni później znelśmy już wyniki badań DNA, które wykazywały, że zakrwawiony włos znaleziony na miejscu zbrodni należał bez wątpienia do niej. Dopiero wówczas, mając pewność, że to nie kolejna pułapka, Pepita zeznała lakonicznie, że zabiła Martę Merchan.

Jak zwykle w momencie, kiedy wszystko już wiadomo, jej wina wydawała nam się teraz oczywista. Kobieta stanowiła jedyny element mozaiki, którego dotąd w ogóle nie zauważaliśmy. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że jej pierwotna wersja była kłamstwem. Ostatecznie przecież, jak tu wątpić, że mężczyzna usiłuje uchronić swoją kochankę przed brudem, w którym sam jest zagrożony? Jak można nawet przypuszczać, że jego nowa miłość zna się z byłą żoną? Kto by pomyślał, że dawni małżonkowie i aktualni kochankowie ściśle ze sobą współpracują? To w końcu Hiszpania, gdzie nigdy dotąd nie słyszano o takiej rozwiąźłości. Pepita Lizarran widywała Martę Merchan nieraz, doskonale wiedziała, jaką gra rolę w łańcuchu przestępstw. Nie znała tylko drobnego szczególu: gdzie skarbniczka przechowuje zainkasowane pieniądze. To kosztowało życie eks-małżonkę Valdesa, choć sama Lizarran zapewniała podczas składania zeznań, że zabiła Martę, ponieważ uważała, że to ona była winna śmierci Ernesta, że to ona sprowadziła go na złą drogę, że zawsze nienawidziła tej kobiety, że nigdy nie wybaczy odpowiedzialnym za śmierć największej namiętności jej życia.

- Możliwe, że faktycznie zamordowała ją bardziej z zemsty niż dla korzyści - zgodził się podinspektor. - Na oko Valdes i Pepita odnosili się do siebie z wielką czułością.

- To już mnie obchodzi tyle co zesłoroczny śnieg. Faktem jest, że próbując wyszarpać ostatnią dolę, którą wypłacił Nogales, Lizarran załatwiła byłą żonę - uciał zdecydowanie Coronas.

- Ten sam mężczyzna ich nie poróżnił, ale przez pieniądze stały się wrogami.

- Garzon, mógłbyś darować sobie te sentencje rodem z taniego romansu?

- Przepraszam, panie komisarzu, myślałem, że to uwaga jak najbardziej na miejscu.

Z trudem pohamowałam nagły atak śmiechu. Coronas jednak miał dziś fatalny humor.

- Otóż nie! Silisz się tu na jakieś słodkie frazy wobec sprawy, która dała nam ostro w dupę: komplikacje, dużo ofiar, dużo podejrzanych, rzecz zahacza o kręgi oficjalne i wyższe sfery, przez co długo jeszcze będę miał kłopoty...

- Ale wszystko zostało wyjaśnione, panie komisarzu - wtrąciłam.

- Co, mam paść na kolana i wyrazić głęboki podziw?

- Ale żeby od razu częstować nas reprimendą... - zauważyłam.

Komisarz zmitygował się i zredukował gaz.

- Wybaczcie, to prawda, że ciągle suszę wam głowę, ale pracuję cholernie dużo i w ogromnym napięciu. Oczywiście zarówno wy, jak i inspektor Moliner odwaliliście kawał porządnej roboty.

- Dzięki - odezwał się podinspektor.

- Ale, Petra, mam nadzieję, że wyjawisz mi, skąd, u diabła, przyszło ci do głowy, żeby podejrzewać tę Pepitę, i o co, kurwa, chodzi z tym wystrojem sypialni.

Spojrzałam na Garzona. Ten, nim zdążyłam przyznać się do frędzelków, rzucił:

- Kobieca intuicja, panie komisarzu.

- Właśnie, panie komisarzu, muszę coś panu powiedzieć. Niestety, byliśmy zmuszeni zawrzeć drobny układ z Encarnación, służącą Marty Merchan. Byłoby dobrze, gdyby to pan pogadał z sędzią śledczym i powiedział mu, że kobieta wzorowo z nami współpracowała. To w sumie biedna istota.

- Pieprzę, jeszcze tego brakowało! Petra Delicado chyba jest potwornie nieszczęśliwa, jeśli mnie nie wyprowadzi z równowagi!

- Skoro mowa o równowadze, przypominam panu z żalem, że cała nasza prasa czeka na pańskie słowo jak na zbawienie.

Spojrzał na mnie ze złością, podinspektor tymczasem wstrzymywał oddech. Wreszcie szef odalił się, mieląc pod nosem zniewagi, które pewnie uznał za zbyt ostre, by je wypowiadać w obecności damy. Garzon odetchnął z niejaką ulgą.

- Nieważne! Historii o frędzelkach toby naprawdę nie zniósł. Niech sobie pani wyobrazi, co się w nim działo w środku. Komisarz ma do pani świętą cierpliwość, ale obawiam się, że do czasu.

- Mam nadzieję, że będziesz wtedy w pobliżu, żeby stanąć w mojej obronie.

- Zastanowię się, jak przyjdzie co do czego.

- Będę ci wysoce zobowiązana.

Podinspektor oddalił się spieszenie. Jak mi potem wyznał, musiał porządnie zadbać o to, żeby Moliner nie zgarnął wszystkich honorów. Był przekonany, że ja w takich sprawach jestem dużo mniej asertywna, i być może miał rację. Bić się o laury po śledztwie, przy którym naharowałam się jak wół, wydawało mi się sporą przesadą. W grę nie wchodziła chyba pokora, tylko zwykły zmysł praktyczny.

Ja natomiast udałam się prosto do fryzjera, nawet nie patrząc przedtem w lustro. Bo i po co? Wiedziałam, że wyglądam potwornie, absolutnie nie obchodził mnie stopień tej potworności.

W salonie piękności rozkoszowałam się jak głupia. Straciłam głowę. Kiedy dziewczyna, która myła mi głowę, zapytała: „Zrobić pani masaż?”, zamówiłam potrójny. Co za przyjemność! Nadstawiałam się, żeby jej zwinne palce uciskały mi skórę pod włosami, a następnie czułam, jak ten rytmiczny ruch przenika mnie do wewnątrz. Zapomniałam o Valdesie, o Rosario Campos, o ministrze, o Marcie Merchan i o wszystkich denatach, którzy kiedykolwiek padli z czyichś rąk. Ogarnął mnie spokój, bo jeżeli pozostajesz w harmonii z własną skórą, co cię obchodzi cała reszta? To odwieczna reguła rządząca, urodą i troską o własną osobę: polubić siebie, zaspokoić potrzebę luksusu. „Podać jakieś kolorowe czasopismo?” - spytała kosmetyczka. „Nie!” - odparłam może trochę gwałtowniej niż zwykle. Wzruszyła tylko ramionami i rzuciła filozoficzną uwagę: „Nawet lepiej dla pani, bo tam same bzdury piszą”.

Zrobiły mi makijaż, umalowały oczy, spiłowały paznokcie, po czym zanurzyłam dłonie w kąpieli parowej. Z każdą chwilą czułam się coraz lepiej, coraz bardziej pewna siebie. Ale przecież fryzjer to nie wszystko.

Po wyjściu udałam się do kilku sklepów. I kupowałam, kupowałam jak najęta, jak oszalała: sweterek, spódnica, czarne pończochy, buty na obcasie... Dyskretne i porządnie, takie, w których, czułam, będzie mi dobrze. Następnie wróciłam do domu, położyłam torby na sofie i zrobiłam sobie kąpiel. Umyłam się, posmarowałam od góry do dołu wonnym kremem i wypachniłam drogimi perfumami. Teraz mogłam się już ubrać. Kiedy podziwiałam pod światło doskonałość czarnych pończoch, zadzwonił telefon. To Moliner.

- Petra, nawet nie zamieniliśmy słowa.

- Jeżeli w sprawie pracy, to bardzo dobrze, bo właśnie na gwałt usiłuję się ze wszystkiego wyłączyć.

- Przepraszam cię najmocniej, przykro mi, zadzwonię jutro! Jeżeli chcesz się wyłączyć... Jestem cały wieczór sam. Może byśmy zjedli kolację?

- Moliner, samotność nigdy nie jest taką złą opcją. Mówię ci to z własnego doświadczenia.

- Podejrzewam, że mężczyznom samotność nie sprawia takiej frajdy.

- Tego można się nauczyć, uwierz mi!

Zrozumiał. Spędzić z nim ten wieczór byłoby skrajną głupotą. Wspaniale jest zadbać o siebie! Od razu wzrasta wewnętrzna siła, od razu potrafisz powiedzieć „nie” bez podnoszenia głosu. Dla uczczenia własnej determinacji nalałam sobie whisky.

Ostatni etap tego spektaklu stanowiło włożenie butów. Czarne, aksamitne pantofelki. Elegancie, wygodne i prześliczne. Pozwalały wzniesić się nieco ponad codzienność.

Kiedy skończyłam, usiadłam i sięgnęłam po telefon.

- Amanda?

- Petra, myślałam, że nigdy nie zadzwonisz!

- Dlaczego?

- Bo tak cię zdręczałam.

- E, zapomnij! Aha, rozwiązałyśmy sprawę.

- Świetnie, nareszcie odpoczniesz!

- Nie wiem, czy mi się uda. Ale musisz wiedzieć jedno: całe popołudnie spędziłam w salonie piękności, kupiłam sobie nowe ciuchy i jestem zrobiona na bóstwo.

- W twoim przypadku to naprawdę nowina! Wychodzisz na kolację?

- Jeszcze pytasz? Nie wiem, czy sama, czy z kimś, ale na pewno wyjdę.

- Cieszę się, że masz taki świetny nastrój.

- A ty jak?

Siostra zamilkła na dłuższą chwilę. Wreszcie rzekła:

- W porządku. Enrique się wyprowadził. Trochę się zdenerwowałam, patrząc, jak się pakuje, ale... Dam sobie radę. Szukam pracy.

- Genialny pomysł.

- Mam tylko nadzieję, że praca nie wessie mnie tak jak ciebie.

- Na pewno nie, ty dostaniesz pracę normalną! Policjant to nie jest normalny zawód, to jakiś szczyt koszmaru, to... Nieważne, sama widziałaś.

- Ja tam nie uważam, żeby policjanci byli koszmarowi.

- Wiem, lepiej mi nie przypominaj!

Amanda wybuchnęła śmiechem. Cieszył mnie jej śmiech, cóż lepszego mogła robić? Po co pstrzyć historię życia kleksami tragedii, skoro i tak wszystko okazuje się takie codzienne, powtarzalne, zwyczajne?

Adresatem kolejnego telefonu był Fermin Garzon. Zgodnie z przypuszczeniami, siedział wciąż w komisariacie.

- Czy mogę wiedzieć, co ty, do cholery, robisz w gabinecie, skoro dochodzi dziewiąta?

- Pracuję, kurwa mać! Dopracowuję raport, zanim inspektor Moliner napisze go po swoim.

- Uciszyć nerwy, Fermin. To nasza sprawa, choćbyśmy musieli zlinczować winnych, by zdobyć dowód.

- Kurwa, czemu nie? A po co pani dzwoni?

- Zaprosić cię na kolację. Co ty na to?

- Że tak. A co mam niby powiedzieć?

- Skoro to dla ciebie takie poświęcenie...

- Sama pani dobrze wie, że małe poświęcenie raz na jakiś czas łagodzi charakter, umacnia ducha i czyni człowieka lepszym.

- W takim razie idziemy. Uważam, że jesteś świetnym materiałem do ulepszeń.

Dosłyszałam, że z trudem hamuje ognisty śmiech.

- Będę po ciebie za pół godziny - powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

I co, tak się wyelegantowałam, żeby teraz pójść na kolację z kolegą z pracy, z którym w życiu nie poszłabym na randkę? Odpowiedź brzmiała: nie. Wyelegantowałam się, ponieważ musiałam zmyć z siebie ostatnie resztki zbrodni, śmierci, podejrzeń i win. No i zapach - musiałam też pięknie pachnieć.

Nieprzypadkowo zjadłam kolację w towarzystwie podinspektora. Obydwoje byliśmy samotni i znaliśmy się od dłuższego czasu. Staraliśmy się jednak zazwyczaj nie wchodzić w bliższe kontakty towarzyskie, co uważam za zupełnie normalne. Tego wieczoru jednak rozmawialiśmy o komplikacjach, jakie narastają między ludźmi. Poruszyliśmy temat byłych małżonków, którzy postanawiają ze sobą współpracować, kochanków, którzy chcą wymierzać sprawiedliwość, porzuconych mężów, zrozpaczonych żon, które usiłują stanąć na nogi. Wiadomo, że trudno tu dojść do wiążących wnio-

sków poza jednym, dość banalnym, że na świecie jest coraz więcej samotności. Oczywiście samotność podinspektora i moja nie miały nic wspólnego z samotnością wymuszoną, która na ogół spada na ludzi niespodziewanie. Nie wszyscy przecież mogliby znaleźć się w naszym elitarnym klubie. Mowy nie ma, do tego potrzebny jest właściwy back-ground, muśnięcie *savoir-vivre*'u, szczypta *numerus clausus*. Do grona samotników wybrańców nie można wejść ot, tak sobie.

Tak czy owak, był to przyjemny wieczór. Garzon chwalił moją urodę, ja wysławiałam jego poczucie obowiązku. Zakończyliśmy spotkanie, skubiąc szynkę w jakimś barze w *Barceloneta*^{*}, który on sam wybrał. Powiedział, że jeśli spotka kogoś z wyższych sfer, to mu kolacja zaszkodzi, a w restauracji dla zwykłych ludzi raczej nam to nie groziło. Wino w każdym razie było fantastyczne, ludzie mili, a szynka wyborna. Rozwiązaliśmy sprawę, ocaliliśmy skórę. Noc była ciepła, tuż obok szumiało Morze Śródziemne. Czułam miłą woń perfum, które miałam na nadgarstkach, zmieszana z zapachem wina i kawy. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby chcieć czegoś więcej.

Barcelona, 19.11.1999

*